

JANICE CARTER

Gdy zakwitnie róža

Rozdział 1

- I to ma być cały mój spadek? Tylko krzew róży?

Randall Taylor, prawnik i wykonawca testamentu Idy Mae Petersen, aż westchnął po drugiej stronie słuchawki.

- Panno Baines, pani ciotecznej babce zależało, żeby dom pozostał w rękach rodziny.

- Na to już chyba za późno - zachnęła się Rosalyn.

- Poza tym nigdy w życiu nie widziałam ani babki Idy, ani nikogo z tamtej gałęzi rodziny. Nawet nie wiedziałam o ich istnieniu - ciągnęła, oparłszy łokcie o blat biurka.

- I tego właśnie nie jestem w stanie pojąć. Dlaczego postanowiła nawiązać kontakt po tylu latach? I dlaczego ze mną? Może pan potrafi mi to wyjaśnić, panie Taylor?

- Proszę zwracać się do mnie po imieniu. Tak będzie prościej, zwłaszcza że jeszcze nieraz przyjdzie nam ze sobą rozmawiać. Róża Iowy jest w posiadaniu rodziny od wielu pokoleń. Idzie bardzo zależało, żeby krzew nie został zmarnowany przez nieodpowiednią pielęgnację. A jeśli chodzi o inne rodzinne perturbacje, niestety, niewiele mogę ci powiedzieć.

- Rozumiem, że nie chcesz wypowiadać się na ten temat, ale przynajmniej, w przeciwieństwie do mnie, miałeś okazję poznać Idę Mae i resztę rodziny z Iowy. Naprawdę nie widzę powodu, dlaczego miałyby mi cokolwiek zapisywać. Moi rodzice nie utrzymywali żadnych kontaktów z krewnymi z tamtych stron. A już najbardziej dziwi mnie to, co mam odziedziczyć. Krzew róży? Czyżby moja cioteczna babka była jakąś żyjącą z daleka od ludzi dziwaczką?

Słowa Rosalyn najwyraźniej rozbawiły prawnika.

- Niektórzy rzeczywiście uważali ją za zdziwaczalą starą pannę. Ale możesz mi wierzyć, że umysł miała tak sprawny, że niejedyn mógłby go jej pozazdrościć.

- I w całym Plainsville nie znalazła nikogo, kto by się zajął rośliną?

- Nie w tym rzecz. Ida Mae chciała mieć pewność, że róża pozostanie w rękach rodziny Petersenów. Kiedy w zeszłym roku przeczytała nekrolog zawiadamiający o śmierci twojej mamy, postanowiła zmienić testament. Jesteś jej najbliższą żyjącą krewną. Poza tym powiedziała mi, że w ten sposób właśnie chce zakończyć kilka zaległych spraw.

- Nadal nic z tego nie rozumiem. Wiesz, o co mogło jej chodzić?

- Prawdę mówiąc, nie - westchnął Randall. - Ida Mae była osobą zamkniętą i nie znosiła żadnego wtrącania się w jej życie. Przypuszczam, że miała na myśli jakieś rodzinne problemy.

- Szkoda tylko, że nie mam o nich zielonego pojęcia. Jediną rodziną, jaką znałam, byli moi rodzice i dziadkowie tutaj, w Chicago. Nawet nie wiedziałam, że babcia miała siostrę, i to w dodatku bliźniaczkę.

- Muszę przyznać, że sam o tym nie miałem pojęcia do chwili, kiedy Ida nie poprosiła mnie o pomoc przy spisaniu testamentu. Dopiero kilka lat temu przejąłem jej sprawy po poprzednim właścicielu naszego biura w Des Moines.

- No dobrze - rzekła Rosalyn po chwili namysłu. - Mógłbyś jeszcze powtórzyć, co właściwie należy do masy spadkowej?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że się nie spieszysz, bo to chwilę potrwa.

- Mam czas do trzynastej trzydzięci - zapewniła Rosalyn.

Po co ma mu wyjaśniać, że właśnie na tą godzinę umówiła się z szefem na lunch?

- Ida była jedyną właścicielką siedziby Petersenów w Plainsville, której obecna wartość rynkowa wynosi około trzystu tysięcy dolarów. Mam na myśli wartość samego budynku, położonego na działce o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych najlepszego gruntu w mieście. Do tego trzeba jeszcze dodać kilka hektarów gruntu sąsiadującego z samą działką i rozciągającego się po obrzeża Plainsville, które powoli staje się jakby rekreacyjną dzielnicą Des Moines. Z czasem wartość ziemi może tu zdecydowanie wzrosnąć.

- Rozumiem. - Rosalyn spojrzała na zegarek. - To wszystko?

- Właściwie tak. Poza kilkoma starymi obligacjami, no i pieniędzmi w banku. W sumie jest tego około trzydziestu tysięcy dolarów, plus oczywiście dom i grunt, którego wartość trudno mi w tej chwili oszacować. W tej sprawie powinnaś się zwrócić do kogoś z własnej branży.

- Oczywiście.

Przymknęła powieki i rozmasowała dłonią brwi, po czym znowu zerknęła na zegarek. Zostało jej już tylko dwadzieścia pięć minut. Po co w ogóle marnuje czas, przysłuchując się tym wywodom, zamiast powiedzieć: „Dziękuję, ale nie skorzystam”, i odłożyć słuchawkę.

Randall jakby czytał w jej myślach.

- Rozumiem, że to może za dużo jak na jeden raz, ale pozwól, że zanim wrócisz do swoich zajęć, jeszcze raz wyjaśnię ci warunki, na jakich możesz przejąć spadek. - Odchrząknął, a Rosalyn wyobraziła sobie, jak w okularach opuszczonych do połowy nosa wertuje plik dokumentów. - Jak mówiłem, możesz odziedziczyć całą posiadłość pod warunkiem, że zamieszkas w domu ciotecznej babki i zajmiesz się krzewem. Jeśli nie zgodzisz się przenieść na stałe do Plainsville, twoim udziałem w spadku będzie tylko pojedynczy pęd róży.

Rosalyn westchnęła. Coś takiego mogła wymyślić tylko całkiem zbzikowana osoba.

- A co wtedy stanie się z posiadłością?

- Zostanie przekazana Jackowi Jensenowi z Plainsville. Oczywiście, pod tym samym warunkiem.

- Kto to jest? Jakiś kuzyn?

- Nie. W ogóle nie jest spokrewniony z Idą Mae. Ale rodzina Jensenów jest równie stara i ogólnie szanowana jak Petersenowie. O ile wiem, w ciągu ostatnich kilku lat młody Jack i Ida bardzo się zaprzyjaźnili.

- To dlaczego po prostu nie zapisała mu wszystkiego?

- Bo nie należy do Petersenów. A Ida chciała przede wszystkim dać szansę komuś z rodziny.

Rosalyn zamyśliła się.

- Ale przecież mogę się zgodzić, a jak już prawnie dom znajdzie się w moim posiadaniu, wystawić go na sprzedaż.

- Niezupełnie. Nabierzesz prawa do spadku dopiero po upływie roku od momentu zamieszkania w Plainsville.

- Całego roku?

- Twoja ciotka uważała, że osoba, która wejdzie w posiadanie domu, musi poczuć się szczerze związana z lokalną społecznością i rodzinnym dziedzictwem. Może byś wpadła do nas na kilka dni, zanim podejmiesz decyzję? W końcu takich spraw nie załatwia się przez telefon.

Prawie nie słuchała tego, co mówił. Miałaby spędzić cały rok w Plainsville? Że też ciotecznej babce w ogóle przyszedł taki pomysł do głowy.

Rosalyn z grubsza zrelacjonowała swoją rozmowę z prawnikiem, podniosła kieliszek i spojrzała na szefa.

Ed Saunders wlał resztę wina do swojego kieliszka i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, skąd wyjął aluminiowy pojemnik.

- Nie będzie ci przeszkadzało, że zapalę?

- Ależ skąd. W końcu po to przyszliśmy na lunch do klubu, żebyś mógł swobodnie wypalić cygaro, prawda?

- Nic się przed tobą nie ukryje. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Ale wracając do sprawy, z twojej ciotecznej babki musiał być niezły numer. - Pokręcił głową. - Krzew róży. Też coś!

- Już myślałam, że los się do mnie uśmiechnął, a tu okazuje się, że z całego spadku należy mi się pęd jakiegoś starego krzaczora.

Ed kilkakrotnie obrócił cygaro w dłoniach, po czym zwilżył końcówkę ustami. Rosalyn wpatrywała się w kieliszek. Wolałaby, by szef przy niej nie palił, lecz nie miała odwagi oponować. Nie doszli jeszcze przecież do zasadniczego tematu spotkania, a Rosalyn nie zamierzała narażać na szwank swoich udziałów w firmie Saunders, McIntyre and Associates Investments z tak błędnego powodu.

Usłyszała metaliczny dźwięk zapalanej zapalniczki i podniosła wzrok na obłok błękitnego dymu unoszący się nad stołem.

- Dzięki Bogu za ten klub. Nie ma nic przyjemniejszego jak dobre kubańskie cygaro po jedzeniu.

- A czy te dobre kubańskie cygara nie trafiły tu aby nielegalnie?

Ed rozejrzał się wokół siebie.

- Oczywiście, ale jestem pewien, że w tej chwili nie ja jeden tu je palę. To, że sprowadzanie kubańskich cygar jest u nas nielegalne, bynajmniej nie oznacza, że nie można ich zdobyć.

- Zakazany owoc zawsze lepiej smakuje, prawda?

- To właśnie najbardziej w tobie lubię. Przenikliwość i inteligencję. Co przywodzi mi na myśl główny powód naszego spotkania.

Rosalyn zacisnęła palce na nóżce kieliszka, odchyliła głowę i zapytała z udawanym zaskoczeniem:

- Właśnie, więc o co chodzi?

- Wspominałem ci już jakiś czas temu, że dzięki dobrej koniunkturze nasza firma odnotowała w zeszłym roku spore zyski i zarząd zdecydował, że powinniśmy rozszerzyć działalność. Zamierzamy otworzyć filię na południu i chcielibyśmy, żebyś nam pomogła. W związku z tym chciałem ci zaproponować stanowisko

młodsze go wspólnika, z wszelkimi korzyściami, jakie z tego wynikają.

Rosalyn ledwo skryła gwałtowny przyływ emocji.

- Tak więc - Ed znowu zaciągnął się cygarem - będziesz musiała zdecydować, co zrobić ze spadkiem.

- Sądzę, że nie będzie to trudne. Powiedz sam, czy możesz sobie wyobrazić mnie zaszytą w Plainsville, małej miejscinie w stanie Iowa?

- Chyba cię rozumiem. - Ed wyraźnie aprobował jej punkt widzenia. - Zanim wyjdziemy - dodał - jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym z tobą przedyskutować.

Ton, jakim wypowiedział te słowa, nie wróżył niczego dobrego. Czyżby miała spełnić jakieś dodatkowe warunki, zanim wzniesie się po szczeblach kariery?

Jadąc metrem do domu kilka godzin później, Rosalyn zastanawiała się, dlaczego nie czuje pełnej satysfakcji. Przecież od momentu, gdy pięć lat temu związała swoją karierę z firmą, liczyła na to, że kiedyś zawita do grona wspólników.

Wsparała głowę o plastikowe oparcie siedzenia i przebiegła wzrokiem po twarzach pasażerów wracających po pracy do domu. Wszyscy wyglądali tak, jakby i im udzielił się jej podły nastrój. Skarciła się w duchu za to, że akurat w dniu najważniejszego wydarzenia w jej dotychczasowej karierze dopuściła do tego, by ogarnęła ją chandra.

Przecież tak lubi swój zwariowany tryb pracy. Ten ciągły pośpiech. Tu kupić, tam sprzedać, nie kończące się, nie cierpiące zwłoki telefony, migające ekrany komputerów, notowania giełdowe z całego świata. I te chwile przestoju, w czasie których, podobnie jak inni pracownicy firmy, nabiera siły przed kolejną burzą.

Lubisz tę pracę, powtarzała sobie w duchu. Lubisz jej nieprzewidywalność. Więc skąd te czarne myśli? Przed oczami znowu stanęła jej twarz Eda Saundersa.

- Mamy pewien kłopot w firmie - powiedział. - Chyba ktoś podbiera pieniądze z rachunków naszych klientów.

Rosalyn była zszokowana. A kiedy Ed dodał jeszcze, że osobą podejrzaną o sprzeniewierzenie funduszy jest Jim Naismith, zrobiło się jej wręcz słabo. Kilka razy spotkała się z Jimem prywatnie i bardzo go lubiła.

Wróciła myślami do pewnego wieczoru sprzed pięciu tygodni, kiedy została w biurze dłużej niż zwykle, by zakończyć sprawę Wallisa. Wpadła na Jima przy kopiarce. Nawet pokazał jej, gdzie może znaleźć dodatkową ryzę papieru.

Wtedy właśnie zaprosił ją na kolację. Rosalyn starała się unikać prywatnych kontaktów ze współpracownikami, lecz Jim ujął ją bezpośrednim stylem bycia i nawet umówiła się z nim kilka razy w mieście. Utrzymywała te kontakty na płaszczyźnie czysto koleżeńskiej, a gdy odrzuciła propozycję wspólnego wypadu na Karaiby, w ogóle przestali spotykać się poza biurem.

Pociąg zatrzymał się na jej stacji i wysiadła zasepiona na peron. Myśl o nadchodzącym weekendzie przestała ją cieszyć. Co prawda czekało ją sporo zaległej pracy, ale w obecnym stanie ducha nie miała na nią najmniejszej ochoty. Nawet uświadomienie sobie, że zamiast biec do biura, będzie mogła rano powylegiwać się w łóżku, nie poprawiło jej nastroju.

Prawie całkiem zapomniała o dziwnym spadku, lecz przez cały czas brzmiało jej w uszach żądanie, jakie Ed wysunął pod koniec rozmowy.

- Rozumiem - powiedział - że trudno ci uwierzyć, że Naismith jest nieuczciwy, ale jedno musisz mi obiecać. Jeśli tylko zauważysz coś podejrzanego w jego zachowaniu, natychmiast dasz mi znać, dobrze? Oczywiście, w całkowitym zaufaniu. Między nami współnikami.

Czyżby Ed sugerował, że Rosalyn ma większe rozeznanie w poczynaniach Jima niż ktokolwiek w biurze?

Poza tym myśl o tym, że niedawna bliższa znajomość z podejrzanym może zaszkodzić jej karierze, też ją nieco niepokoiła. Zdawała sobie sprawę, że niezależnie od tego, co nastąpi, sama nie wyjdzie z tej przykrej sytuacji bez uszczerbku. Z jednej strony, nie może przecież szpiegować kolegi, z drugiej, trudno jej było odmówić pierwszej prośbie szefa, który traktuje ją jak przyszłą współpracownicę.

I tak źle, i tak niedobrze, pomyślała. Jak mam się z tego wyplątać?

Rozejrzała się po ulicy w nadziei, że złapie taksówkę, ale jak na złość wszystkie się gdzieś rozjechały. Trudno, musi iść na piechotę.

Z westchnieniem postawiła kołnierz, żeby osłonić głowę przed powiewami ostrego, kwietniowego wiatru i wymijając kałuże, które

pozostały na chodniku po niedawnej ulewie, ruszyła w kierunku domu.

Wieść o jej awansie musiała się już rozejść, bo zewsząd zaczęły napływać gratulacje. Ci, którym nie udało się dodzwonić, przesyłali wyrazy uznania pocztą elektroniczną. Kiedy w poniedziałek rano Rosalyn weszła do biura nieco później niż zwykle, nawet sekretarka rzuciła jej pełne zdziwienia spojrzenie.

- Już myślałam, że w ogóle się dziś nie pojawisz. Czyżbyś za długo świętowała sukces?

- Niestety, nic z tych rzeczy. Po prostu utknęłam w korku. A w dodatku leje jak z cebra.

- Wiem. Co za koszmarna pogoda! A przecież zapowiadali piękną wiosnę. Aha, wszyscy oczywiście już wiedzą, że awansowałaś i na sekretarce nagrało się sporo osób z prośbą, żebyś oddzwoniła. Zaparzyć ci kawę?

Zanim Rosalyn zdążyła odpowiedzieć, w jej gabinecie rozległ się dzwonek telefonu. Skinęła tylko głową i przerzuciwszy płaszcz przez oparcie krzesła, pobięła podnieść słuchawkę.

- Panna Baines? Tu Randall Taylor.

Randall Taylor? Rosalyn przymknęła powieki. Piątkowe wydarzenia spowodowały, że całkiem zapomniała o ciotecznej babce i jej nieszczęsnych różach.

- Dzień dobry, panie Taylor. Przepraszam, ale nie spodziewałam się, że zadzwoni pan tak szybko.

- Naprawdę proszę zwracać się do mnie po imieniu. Muszę wyjechać z Des Moines na kilka dni, więc chciałem dowiedzieć się, czy może już podjęłaś decyzję.

- Obawiam się, że jeszcze nie. W piątek po południu otrzymałam pewne wiadomości, które zaprzętały moją uwagę przez cały weekend. A do kiedy powinnam dać ostateczną odpowiedź?

- Nie ma wielkiego pośpiechu - rzekł prawnik po chwili zastanowienia. - Ale nie ukrywam, że im szybciej, tym lepiej. Kiedy testament się uprawomocni, chciałbym w miarę prędko zakończyć tę sprawę. Pozwolisz, że coś ci poradzę?

- Oczywiście.

- Rozumiem, że dla kogoś, kto spędził całe życie w Chicago, Plainsville w stanie Iowa nie stanowi szczególnej atrakcji. Nawet Des

Moines może ci się wydać dziurą zabita dechami - dokończył ze śmiechem.

Rosalyn w pełni podzielała ten punkt widzenia i z niecierpliwością czekała, aż prawnik przejdzie do rzeczy.

- Mimo to uważam, że powinnaś wziąć kilka dni urlopu i przyjechać tu, zanim podejmiesz decyzję.

- Mam przyjechać do Plainsville?

- Owszem. Naprawdę uważam, że to dobry pomysł. Niestety, w kwietniu Iowa nie wygląda najlepiej, ale i tak sędzę, że powinnaś zobaczyć dom swojej ciotecznej babki, zanim z niego zrezygnujesz.

Znowu jakby czytał w jej myślach, bo właśnie zamierzała poprosić, żeby poinformował tego Jacksona czy Johnsona, czy jak mu tam, że spadek należy do niego.

- Jestem strasznie zajęta i rzadko udaje mi się wyrwać stąd nawet na jeden dzień.

- Rozumiem, ale uwierz mi, że to nie jest zwyczajny dom, tylko prawie zabytek, dobrze znany w całej okolicy.

- Akurat ten argument nie bardzo trafia mi do przekonania. Nie wyobrażam sobie życia w domu obleganym przez turystów.

- Źle mnie zrozumiałaś. Tutejsi mieszkańcy szanują cudzą prywatność. Ale nazwisko Petersen jest tu równie słynne jak sam dom. Zapewne chciałybyś też poznać historię rodziny.

- Nie sędzę. Musi przecież istnieć jakiś powód, dla którego ani moi dziadkowie, ani rodzice nie utrzymywali żadnych kontaktów z rodziną w Plainsville i uważam, że powinnam uszanować ich wybór.

- Rzeczywiście, trudno mi cię przekonać. Ale sama wiesz, że nie odrzuca się oferty, zanim się jej nie pozna. Przecież możesz potraktować dom w Plainsville jako potencjalną inwestycję.

Rosalyn była pełna uznania dla strategii, jaką zastosował prawnik. Gdyby znajdowała się na jego miejscu, z pewnością zrobiłaby to samo.

- Posłuchaj, Randall. Obiecuję, że się nad tym zastanowię. Mam tu gdzieś twoją wizytówkę. Rozumiem, że jest na niej adres twojego e-maila.

- Niestety nie. Staram się trzymać z daleka od komputerów. Ale wydam odpowiednie polecenia sekretarce na wypadek, gdybyś miała przyjechać.

Rosalyn pożegnała się, przez moment jeszcze rozważała możliwość wyjazdu, po czym znowu pochłonął ją wir pracy. Parę minut po przerwie na lunch ktoś delikatnie zapukał do drzwi jej gabinetu.

- Proszę wejść.

W progu ukazał się Jim Naismith z tuzinem czerwonych róż w dłoni. Rosalyn poczuła ściskanie w żołądku.

Próbując ukryć zmieszanie, uśmiechnęła się z udawanym zdziwieniem. - To dla mnie?

Aż do późnego popołudnia nie miała okazji porozmawiać z Edem Saundersem. Siedziała w biurze ze wzrokiem utkwionym w róże wetknięte w słoik po kawie i raz po raz wracała myślami do dziwnego zachowania Jima, kiedy przyszedł złożyć jej gratulacje.

Zmiana w jego stylu bycia była wręcz uderzająca. Jim, jakiego wcześniej znała, zabawiłby u niej dłużej, prawiać żartobliwe złośliwości na temat wspinania się po drabinie sukcesu, choć w gruncie rzeczy cieszyłby się, że została nagrodzona za lata ciężkiej pracy. Tak przynajmniej się jej wydawało. Tymczasem dzisiaj wpadł tylko na chwilę, pogratulował jej zdawkowo i natychmiast wycofał się na korytarz.

Unikał odpowiedzi, kiedy zapytała go jak spędził weekend. Wreszcie przyznał, że był w biurze, a gdy okazała zdziwienie, zareagował wręcz agresywnie, twierdząc, że niektórzy pracownicy mają więcej obowiązków niż inni. Nigdy wcześniej nie słyszała by Jim uskarżał się na nawał pracy. Gdy spytała, nad czym tak ciężko pracował, wzruszył tylko ramionami wyszedł z pokoju.

Kiedy późnym popołudniem przekroczyła próg gabinetu Eda Saundersa, zaczynała wątpić czy przypadkiem nie obdarzyła kolegi zbyt wielkim zaufaniem.

- Zastanawiałam się nad tym, o czym rozmawialiśmy w piątek.

Ed uniósł brwi.

- Chodzi o Jima Naismitha.

Szef odłożył długopis na blat biurka.

- Słucham cię.

Rosalyn zawahała się nad doborem słów. Mimo że sprawdziła, że Jim, o dziwo, spędził w pracy ostatnie trzy weekendy, nie potrafiła wystąpić przeciwko niemu. Może po prostu, podobnie jak wszyscy,

miał dużo zleceń i zaczęło mu zależeć na dodatkowych prowizjach od zakończonych transakcji?

Poza tym, przypatrując się przystojnej twarzy Eda, który mimo włosów przyprószonych siwizną nadal cieszył się sporym powodzeniem u kobiet, doszła do wniosku, że byłoby nie fair, gdyby zaczęła teraz donosić na kolegę. Trochę się także obawiała, że może utracić szansę upragnionego awansu. Wiedziała z doświadczenia, że prawda wyjdzie na jaw i bez jej pomocy.

- Nie sądzę, żebym mogła ci pomóc w sprawie Jima - odezwała się w końcu. - Postaraj się mnie zrozumieć. Kilka razy spotkałam się z nim prywatnie i mimo że łączy nas jedynie przyjaźń, uważam jednak, że nasza znajomość mogłaby...

- Utrudnić ci obiektywny osąd, tak? - wyręczył ją prędko Ed.

Potaknęła, zwilżając językiem spierzchnięte usta. Ed podparł ręką podbródek i popadł w zadumę, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że zastanawia się, czy nie cofnąć propozycji przystąpienia do spółki.

- Doceniam twoją szczerość i uczciwość - powiedział w końcu. - To jasne, że nie mogę cię prosić o informacje dotyczące kogoś, z kim utrzymujesz towarzyskie kontakty.

- Czysto koleżeńskie - wtrąciła Rosalyn, w obawie, że sprzeniewierzenie się zasadom panującym w firmie na dobre przekreśli jej przyszłość.

Ed tylko się uśmiechnął.

- Jakiegokolwiek by były, wolałbym nie stawiać cię w niezręcznej sytuacji. - Zawiesił głos i skierował wzrok na kartkę papieru na biurku. - Mimo to jest coś, o co muszę cię prosić.

Rosalyn poczuła, że zaczynają ją palić policzki.

- Chciałbym, żebyś utrzymała wszelkie rozmowy na ten temat w największej tajemnicy.

- Oczywiście.

- Zarząd spółki postanowił przeprowadzić wewnętrzne dochodzenie w sprawie kont prowadzonych przez Naismitha, zanim powiadomimy prezesa Komisji Papierów Wartościowych albo wręcz policję.

Słowo „policja” uświadomiło Rosalyn powagę sytuacji. Nie była w stanie wydobyć głosu.

- Jeśli nie masz rozpoczętych żadnych palących transakcji, może powinnaś wziąć teraz kilka dni wolnego. Niewykluczone, że sprawy

przyjmą dość nieprzyjemny obrót i twoja znajomość z Jimem spowoduje, że znajdziesz się w niezręcznym położeniu.

Czyżby insynuował, że i ona może mieć coś wspólnego z tą aferą? Weź się w garść, dziewczyno. Przecież Ed najwyraźniej stara się po prostu oszczędzić ci niepotrzebnych zmartwień. Już teraz się wahasz, czy słusznie zrobiłaś, przyjmując dziś od Jima bukiet róż.

Myśl o różach podsunęła jej pewien pomysł.

- Ten prawnik z Des Moines, o którym wspomniałam ci w piątek, dzwonił dzisiaj znowu i radził, żebym przyjechała do Plainsville obejrzeć dom, zanim podejmę ostateczną decyzję co do spadku.

- To się świetnie składa. Weź parę dni urlopu, albo nawet ze dwa tygodnie, i jedź. Tymczasem my zdecydujemy, czy skierować sprawę do Komisji Papierów Wartościowych, czy nie.

- Dobrze. - Rosalyn podniosła się z krzesła. - Poproszę Judy, żeby przekazała komuś moje sprawy.

- Tylko nie Naismithowi.

Wyszła na korytarz i oparła się o ścianę, żeby trochę ochłonać. Zdecydowanie nie podobał się jej poufny ton, jakim Ed z nią rozmawiał.

Nie mogła jednak odmówić mu racji. Rzeczywiście, powinna na jakiś czas opuścić biuro. W tej sytuacji wyjazd do Plainsville stanowił doskonały pretekst.

Rozdział 2

Kiedy podała adres, taksówkarz nie posiadał się ze zdumienia.

- Do domu Petersenów? Naprawdę? To pani krewni?

- Owszem, to znaczy niezupełnie... Sama nie wiedziała, co mu powiedzieć. Dojechawszy do celu, wysiadła i podała kierowcy dziesięciodolarowy banknot. Nareszcie dotarła na miejsce. Schyliła się po walizkę stojącą na chodniku, lecz zanim zdążyła odsunąć się od krawężnika, samochód ruszył, a fontanna brudnej wody, która trysnęła spod kół, ochlapała ją od stóp do głów. Tylko tego brakowało!

Od samego początku podróż nie układała się najlepiej. Tuż po starcie w Chicago rozpełtała się burza i samolot rzucało praktycznie bez przerwy przez całą drogę do Des Moines. Kiedy w końcu szczęśliwie wylądował, okazało się, że spóźniła się na autobus do Plainsville i ma przed sobą dwie godziny czekania na następny. Co prawda w informacji powiedziano jej, że w okolicach Plainsville jest prowizoryczny pas startowy na łące należącej do miejscowego farmera, więc może wyczarterować samolot używany do spryskiwania pól, ale na samą myśl o lądowaniu na nierównym terenie poczuła ciarki na plecach.

Korzystając z przerwy w podróży, zadzwoniła do biura Randalla Taylora, gdzie dowiedziała się, że klucz do domu ciotki czeka na nią pod słomianką przy wejściu.

Gdy po nużącym oczekiwaniu na przystanku pojawił się wreszcie autobus do Plainsville, Rosalyn gotowa była zrezygnować ze spadku nawet nie oglądając domu, żeby tylko jak najszybciej opuścić Iowę.

Przemoczona do suchej nitki, znalazła się wreszcie na werandzie tonącej w ciemnościach rezydencji. Z daleka połyskiwał lśniący od deszczu chodnik. Był wtorek wieczór, nieco po dziesiątej, i wszędzie wokół panowała kompletna cisza. W drodze ze stacji Rosalyn zauważyła, że mimo stosunkowo wczesnej pory miasto jest całkowicie wymarłe.

W panującym wokół mroku ledwie widziała ogólny zarys domu ciotki. Weszła na przykrytą wiatą werandę i rozejrzała się dookoła. Dopiero teraz zauważyła, że posiadłość otoczona jest niskim płotem, który niknie gdzieś w oddali.

Okolica bardzo się różniła od miejsc, jakie dotąd знаła.

Obszerne domy ginęły w starodrzewiu, a rozległe trawniki, niespotykane w dużych miastach, dawały poczucie przestrzeni. Dom Idy Mae znajdował się właściwie na obrzeżach Plainsville i Rosalyn mogła się założyć, że ulica, którą tu przyjechała, niknęła gdzieś na bezdrożach kilometr lub dwa dalej. Właściwie równie dobrze posiadłość ta mogła należeć do miejscowego farmera.

Uniosła krawędź słomianki i wyjęła spod niej niewielką, brązową kopertę, a z niej klucz.

Kiedy otwierała drzwi, ciszę zakłóciło skrzypienie dawno nie oliwionych zawiasów. Rosalyn wymacała dłonią kontakt i nacisnęła pstryczek. Jej oczom ukazał się przestronny korytarz, hol i schody prowadzące na górę.

Z głębi domu dobiegało głośnie tykanie zegara.

- Dobry wieczór! - zawołała, zupełnie jakby ktoś na nią tu czekał, mimo że wiedziała, że dom jest pusty i mogą tu krążyć jedynie duchy przeszłości.

Poczuła ciarki na plecach. Musi trzymać wyobraźnię na wodzy, zwłaszcza że zamierza spędzić tu noc.

Spojrzała na kopertę, którą wciąż trzymała w dłoni, i zauważyła wystającą z niej kartkę papieru.

Droga Panno Baines!

Niestety, nie mogłam powitać pani osobiście, ponieważ nie udało mi się znaleźć nikogo, kto odwiózłby za mnie syna na zajęcia karate. Poprosiłam dawną gospodynię pani ciotecznej babki, panią Warszawski, żeby przygotowała dom na pani przyjazd i posłała łóżko w jednej z sypialni. Obiecała, że kupi kawę, herbatę, mleko, itp. Pani Warszawski pracowała u panny Petersen przez dwadzieścia pięć lat i Randall Taylor zwrócił się do niej z prośbą, żeby nie odchodziła, dopóki nie zakończy się postępowanie spadkowe. Gospodyni mieszka po drugiej stronie miasta, ale przyjedzie rano, żeby się z panią spotkać.

Mam nadzieję, że miło pani spędzi swój pierwszy wieczór w Plainsville. Proszę zadzwonić do naszego biura, gdyby pani czegoś potrzebowała. Pozdrawiam,

Jane Baldwin

Rosalyn podniosła walizkę i udała się na górę. Była zbyt zmęczona, żeby zwiedzać dom. Marzyła teraz jedynie o małej

butelecze whisky, jaką przezornie zabrała z pokładu samolotu, i wygodnym, ciepłym łóżku.

Musi się odwrócić, żeby opalić się równomiernie. Słońce Karaibów było tak ostre, że raziło ją mimo zamkniętych powiek. Rosalyn zasłoniła ręką oczy. Męczyło ją okropne pragnienie. Na szczęście przypomniała sobie, że obok stoi szklanka mrożonego soku. Wystarczy po nią sięgnąć, pomyślała i otworzyła powieki.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że to tylko sen. Wpadające przez okno promienie słońca świeciły jej prosto w oczy. Przeciągnęła się i rozejrzała po sypialni, próbując przypomnieć sobie, gdzie się właściwie znajduje.

Widok połyskliwych kotar, ciężkich, ciemnych mebli i starych portretów w złoconych ramach, zdobiących ściany pokryte tapetą w drobne fiołki, sprowadził ją na ziemię. To nie Karaiby, tylko Plainsville w stanie Iowa.

Uniosła się na łokciach, strącając niechcący z nocnego stonka buteleczkę po whisky, po czym opadła z powrotem na poduszkę, uderzając przy tym głową w metalowe wezglowie białego, podniszczonego łóżka. Roztarta dłonią obolałe miejsce. Wskazówki na jej podróznym budziku wskazywały dziewiątą. Normalnie już od godziny siedziałyby w pracy.

Co mnie podkusiło, myślała, żeby jechać do tej zapadłej dziury gdzieś na środkowym zachodzie? Teraz mam za swoje. Obudziłam się w jakimś przedziwnym łóżu, w cudzym domu, nie znam tu nikogo i nie mam zielonego pojęcia, czym zdołam wypełnić następne pięć dni.

Jęknęła. Że też dała się wmanewrować w tak idiotyczną sytuację! Pamiętała z lekcji geografii, że Iowa to głównie zielone wzgórza, nie kończące się pola i całe mnóstwo farm. Może przynajmniej mają tu jakąś księgarnię?

Przeciągnęła się jeszcze raz, chwytając dłońmi metalową poręcz łóżka. Kołdra z patchworku osunęła się na podłogę, odsłaniając jej szczupłą sylwetkę, spowitą w jedwabną nocną koszulę na cienkich ramiączkach. Nic dziwnego, że w nocy było jej zimno. Mimo że zaczęła się wiosna, w Iowie trzeba nosić nie jedwab, tylko grubą flanelę, pomyślała.

Teraz jednak promienie słońca zachęcały do wstania. Właśnie opuszczała nogi na podłogę, kiedy gdzieś za oknem rozległo się

głośne stukanie. Poprzedniego wieczoru uznała, że nie ma sensu zasłaniać okien, skoro w pobliżu nie stoi żaden dom.

Podeszła do okna, by sprawdzić, skąd dochodzi hałas, i aż podskoczyła z wrażenia, gdy w prostokącie szyby nieoczekiwanie ukazała się twarz mężczyzny.

Cofnęła się szybko, zasłaniając dłonią usta, a wolną ręką usiłując zakryć gołe ramiona. Mężczyzna za oknem uśmiechnął się i pomachał przyjaźnie w jej kierunku. Zauważyła, że stoi na najwyższym szczeblu drabiny. Nagle jej oczom ukazała się druga dłoń intruza, uzbrojona w jakieś ciężkie narzędzie.

Rzuciła się w kierunku łóżka, chwyciła kołdrę i wybiegła z sypialni. Biegła na dół po dwa schodki naraz. Gdzie do diabła może być telefon?

Nie miała najmniejszych szans na znalezienie go w tym wielkim domu. Najlepiej zrobi, wychodząc frontowymi drzwiami na dwór. Szybko wsunęła bose stopy w buty stojące przy wyjściu, otworzyła zasuwę i szarpnęła klamkę. Zbiegła po schodach prowadzących do ogrodu i wąską ścieżką ruszyła przez kałuże na tyły domu, skąd dochodziły głosy.

Za węglem dostrzegła dwóch mężczyzn. Jeden podtrzymywał aluminiową drabinę, drugi właśnie schodził już na dół.

- Czy mogę wiedzieć, co panowie tu robią? - zapytała z nie ukrywaną irytacją.

Od razu domyślił się, z kim ma do czynienia. Prawnik Idy Mae poinformował go telefonicznie w czasie weekendu, że siostrzenica, a właściwie córka siostrzenicy zmarłej, może wpaść do Plainsville na kilka dni, by obejrzeć dom. Jednak nawet nie przyszło mu do głowy, że pojawi się tak szybko.

Wczorajsza ulewa uzmysłowiła mu, że nie oczyścił rynien po zimie. Poza tym jeszcze jesienią zauważył, że rury spustowe są w kilku miejscach uszkodzone i obiecał Idzie, że zajmie się tym na wiosnę. Akurat dzisiaj udało mu się namówić Lenny'ego, by mu pomógł.

Skąd mógł wiedzieć, że może kogoś przestraszyć?

- Żałuj, że nie widziałeś jej miny - powiedział do Lenny'ego, krztusząc się ze śmiechu.

Dopiero wtedy zauważył zbliżającą się Rosalyn. W świetle dnia wyglądała jeszcze ładniej niż w sypialni. Płonące w słońcu

kasztanowe włosy otaczały jej głowę niczym aureola, a jasna, lśniąca skóra na odkrytych ramionach przywodziła na myśl wiosnę.

Upuścił dłuto na ziemię i podniósł do góry dłonie.

- Niezmiernie panią przepraszam, ale właśnie zaczynałem czyścić rynny...

- Rynny?

Powiedziała to z taką miną, jakby nigdy nie słyszała o podobnym zajęciu albo uznała jego tłumaczenie za co najmniej wykrętne.

- Pracowałem u panny Idy Mae. Poza tym byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Często pomagałem jej przy różnych naprawach, więc po ostatnich deszczach uznałem, że najwyższy czas przeczyścić...

- Rynny, tak? - groźnie podniosła głos. Niesamowity błysk w oczach Rosalyn świadczył

o tym, że jest naprawdę wściekła. Jack poczuł się tak zmieszany, jakby to on został przyłapany na paradowaniu po ogrodzie w nader skąpym odzieniu.

Przeniosła spojrzenie na drabinę, narzędzia, potem na Lenny'ego, aż w końcu dostrzegła furgonetkę zaparkowaną przy podjeździe.

- Centrum Ogrodnicze J.J. - przeczytała napis na karoserii.

- Właśnie. J.J. to ja, Jack Jensen - przedstawił się. - A to mój bratanek, Lenny. Pani pewnie jest siostrzenicą...

- Siostrzenicą? - Rosalyn wciąż jeszcze nie doszła do siebie.

- No, raczej córką siostrzenicy...

- Jack Jensen? - Przyglądała mu się z niedowierzaniem. - To znaczy, że to pan jest moim konkurentem do spadku?

- Można to tak ująć. A pani zapewne jest panną...

- Baines. Rosalyn Baines.

Wyciągnęła do niego dłoń, wypuszczając kołdrę, której krawędź przez cały czas zaciskała przed sobą. Cieniutki jedwab, poruszany delikatnie powiewami wiatru, podkreślał smukłość jej sylwetki i uwydatniał kształty. Jack i Lenny odruchowo spuścili wzrok. Kiedy po chwili ośmielili się podnieść głowy, Rosalyn oddalała się szybkim krokiem w kierunku domu z nieszczęsną kołdrą zarzuconą na ramiona.

- Dokończę przy następnej okazji! - krzyknął Jack w ślad za nią.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Wejdźcie do domu, jak pozbieracie swoje rzeczy - powiedziała i zniknęła za węglem.

- O rany! - jęknął Lenny.

Jack tylko kiwał głową, wciąż zapatrzony w punkt, w którym stracili ją z oczu.

Chyba się wcale nie spieszą, stwierdziła, wyglądając przez okno sypialni, po czym wyjęła z walizki czyste rzeczy i udała się do łazienki. Przynajmniej tam nikt jej nie będzie podglądać.

Nie mogła pohamować uśmiechu. Tam, w ogrodzie, musiała przedstawiać naprawdę zabawny widok.

A potem ogarnęło ją poczucie zażenowania. Na widok intruza za oknem przestraszyła się przecież nie na żarty. W Chicago ludzie wspinający się po drabinie do cudzych okien to czasem strażacy, ale częściej złodzieje lub jeszcze bardziej niebezpieczni przestępcy. Kiedy zobaczyła rozbawione twarze tych facetów na dole i przeczytała napis na furgonetce, zrozumiała, że się wygłupiła. Chyba dlatego ogarnęła ją wściekłość.

W innych okolicznościach jej gniew zapewne zrobiłby większe wrażenie na nieproszonych gościach. Jednak tego dnia, spowita jedynie w kawałek cienkiego jedwabiu, musiała wyglądać raczej śmiesznie niż groźnie.

Przez okno w łazience zobaczyła przód furgonetki. Mężczyźni rozmawiali wsparci o maskę. Pewnie już zdążyli pozbierać sprzęt, ale nie bardzo się im spieszy, żeby wejść do domu. Nic w tym dziwnego. Po takim powitaniu!

Zapięła na suwak czarne dzinsy, włożyła bluzkę w kolorze lawendy i ściągnęła włosy gumką. Niestety, nie zabrała z sypialni kosmetyczki, więc musi obywać się bez makijażu. Ochlapała jedynie twarz zimną wodą i wyczyściła zęby.

Teraz może się im pokazać. Sama nie wiedziała, dlaczego szczerze żałuje, że jej znajomość z Jackiem Jensenem zaczęła się tak niefortunnie.

Właśnie schodziła na dół, kiedy usłyszała nieśmiałe pukanie. Roześmiała się w duchu. Czyżby jednak napędziła im stracha?

- Proszę wejść - powiedziała, otwierając drzwi.

W progu stała pulchna, mniej więcej sześćdziesięcioletnia kobieta.

- Panna Baines?

- Tak, dzień dobry. Przepraszam, ale myślałam, że to ktoś inny.

- To niemożliwe. - Kobieta patrzyła na nią z niedowierzaniem. - Sekretarka pana Taylora prosiła, żebym była tu najpóźniej na dziewiątą. - Spojrzała na zegarek. - To znaczy, że jestem pięć minut przed czasem.

- Ale pani mnie nie zrozumiała...

- Chyba że zmieniła pani polecenia, nie zadając sobie trudu, żeby mnie poinformować.

Rosalyn bezradnie wzruszyła ramionami.

- Proszę do środka. Zapewne była pani gospodynią mojej ciotki, pani...

- Warszawski, ale wszyscy mówią mi Sophie.

- Bardzo mi miło panią poznać, Sophie. Jestem Rosalyn. - Wyciągnęła dłoń na powitanie, lecz kobieta zignorowała jej gest. - Sekretarka pana Taylora zostawiła mi wiadomość, że przyjdzie pani rano.

- A więc jednak! - Sophie nie kryła satysfakcji.

Za jej plecami nagle pojawiły się głowy obu mężczyzn, którzy przystanęli na stopniach werandy. Rosalyn odniosła wrażenie, że na ustach Jacka Jensa błąka się uśmiech politowania. Wymienił z bratankiem porozumiewawcze spojrzenie. Zapewne obaj doszli do wniosku, że okropna z niej niezguła.

Nie wdając się w dalsze wyjaśnienia, Rosalyn otworzyła szeroko drzwi.

- Proszę, wejdźcie wszyscy.

Pani Warszawski ze zdziwieniem spojrzała za siebie i uśmiech natychmiast rozjaśnił jej twarz.

- Jack! Nie spodziewałam się tu ciebie.

- Dzień dobry, Sophie. Mam nadzieję, że przyniosłaś kawę.

- Oczywiście! - zapewniła serdecznie. - I kilka bułeczek prosto z piekarnika.

Lenny szybko wbiegł na werandę i wyjął torbę z dłoni gospodyni.

- Umieram z głodu. Chodźmy. - Ujął Sophie pod rękę i zamasztył krokiem wszedł do środka.

Jack zatrzymał się w progu. Dopiero teraz Rosalyn zorientowała się, jak bardzo jest wysoki. Rzadko zdarzało się, by mając metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, czuła się przy kimś jak krasnoludek. Tymczasem Jack był od niej chyba ze dwadzieścia centymetrów wyższy.

- Sophie słynie w okolicy ze swoich wypieków - wyjaśnił z przepaszającym uśmiechem, jakby chciał usprawiedliwić dość obcesowe wtargnięcie bratanka.

Zdjął z głowy wypłowiałą baseballową czapkę, odsłaniając gęste, krótko przycięte czarne włosy.

- Może pójdziemy za nimi - zaproponował i zanim zdążyła odpowiedzieć, był już w połowie korytarza.

Rosalyn z ociąganiem zamknęła skrzypiące drzwi. Ogarnęło ją przykre uczucie, że jest bohaterką powieści, na której akcję nie ma właściwie wpływu. Niczym Alicja w Krainie Czarów.

Podążając w kierunku, z którego dochodziły głosy, weszła do obszernej, jasnej kuchni. Spostrzegła, że goście zachowują się tak swobodnie, jakby spędzili tu większość życia. Już po chwili kubki i talerzyki stały na stole pośród słoiczków dżemu i plastikowych pojemników przyniesionych przez Sophie. Przez cały czas prowadzili przyciszoną rozmowę, której strzępy dochodziły do uszu Rosalyn.

„Słyszeliście, że...”, „Nigdy bym nie przypuszczał...”, „Chyba wiedziałaś...”.

W końcu zauważyli Rosalyn stojącą w progu. Jack, który właśnie wyjmował sztuce z szuflady ciężkiego, jakby wiejskiego stołu stojącego pośrodku kuchni, uczynił krok w jej kierunku.

- Proszę do środka, panno Baines. Przepraszam, ale przez moment poczuliśmy się jak za dawnych czasów, kiedy w sobotnie przedpołudnia, po zrobieniu porządków w ogrodzie, spotykaliśmy się tu wszyscy przy kawie, razem z panną Idą Mae. Sophie zawsze miała dla nas tacę kruchych ciastek albo cynamonowych bułeczek, a my z Lennym parzyliśmy kawę. Ale chyba za bardzo się rozgadałem - skonstatował, odsuwając krzesło o oparciu w kształcie drabinki. - Proszę usiąść. Jeszcze raz przepraszam, że zapomnieliśmy o dobrych manierach. Przecież teraz to pani dom.

W kuchni zapadła grobowa cisza. Sophie zacisnęła usta, a Lenny utkwiał wzrok w szybie. Rosalyn usiadła sztywno na krześle. W końcu, zakończywszy przygotowania, pozostała trójka również zajęła miejsca przy stole.

Rosalyn ostrożnie zanurzyła usta w gorącej kawie.

- Nie mam zbyt wiele czasu, bo zamierzam spędzić tu zaledwie kilka dni, ale chciałabym poznać Plainsville - odezwała się po chwili, próbując nawiązać rozmowę.

Twarz Sophie rozjaśniła się w uśmiechu.

- Niewiele tu atrakcji, ale Lenny na pewno może zawieźć panią do miasta. Mamy kilka sklepów i restauracji, które przyciągają gości z samego Des Moines.

Rosalyn zaprotestowała pośpiesznie.

- Lenny na pewno ma własne plany na dzisiaj. Z przyjemnością sama wybiorę się do centrum. W końcu to nie tak daleko, bo taksówka od stacji jechała nie dłużej niż dwadzieścia minut.

Popatrzyli po sobie ze zdziwieniem.

- Musiała pani trafić na Morty'ego Hermanna - stwierdził Lenny. Sophie nie posiadała się z oburzenia.

- Co za okropny człowiek! Okradłby nawet własną matkę.

- To jeden z naszych trzech taksówkarzy - wyjaśnił Jack. - Niestety, ma zwyczaj nabierania przyjezdnych. Droga z dworca nie zajmuje więcej niż pięć, najwyżej dziesięć minut.

- W Chicago też się to zdarza, jak ktoś nie wie dokładnie, którądy chce jechać.

- Ma pani rację. Sam kilka razy dałem się nabrać.

- Mieszkał pan w Chicago?

- Owszem, prawie przez dziesięć lat.

- Ach tak. - Rosalyn zrobiło się głupio, że założyła, iż ma do czynienia z prowincjuszem, który przez całe życie nie wytknął nosa poza Plainsville.

- Lenny jest dzisiaj trochę zajęty. Za to ja mam sporo wolnego czasu - ciągnął Jack. - Chętnie oprowadzę panią po posiadłości Petersenów. Co pani na to?

Uśmiechał się zachęcająco.

- Bardzo chętnie.

- Świetnie. Tylko proszę wziąć kurtkę, bo czeka nas dość długi spacer.

- Zanim wyjdziecie - wtrąciła Sophie - chciałabym wiedzieć, czy mam zrobić jakieś zakupy na lunch i kolację. Z przyjemnością coś przygotuję.

- To bardzo miło z pani strony, ale na razie dziękuję. Jak obejrzymy okolicę, pewnie wybiorę się do miasta. Może zajrzę do którejś z tych modnych restauracji, o których pani wspomniała. - Rosalyn skierowała kroki do drzwi. - Spotkajmy się za chwilę na werandzie.

Wychodząc, poczuła na plecach spojrzenie trzech par oczu.

- Całkiem niepodobna do ciotki - usłyszała za sobą głos Sophie.

- Na pierwszy rzut oka rzeczywiście nie. Ale jak się bliżej przyjrzeć, to pewne podobieństwo istnieje - zauważył roztropnie Jack.

- Może i tak - zgodziła się z westchnieniem Sophie.

- To dopływ rzeki Iowa - wyjaśnił Jack.

Rosalyn stała na drewnianym pomoście wpatrzona w wodę o barwie zielonego groszku. Osłoniła dłonią oczy przed słońcem i rozejrzała się wokół. Po horyzont ciągnęły się pola poprzetykane kępami drzew, które właśnie zaczynały wypuszczać bladozielone pąki.

- Jak daleko za rzekę sięga posiadłość Petersenów?

- Myślę, że około kilometra. Poza tym ciągnie się jeszcze dość daleko na wschód. Jest tego ze trzydzieści hektarów pól uprawnych, a do tego kawałek lasu i terenów nadbrzeżnych. Stąd mamy jeszcze ponad półgodzinny spacer, a i tak nie uda nam się zobaczyć wszystkiego. Oczywiście, to teraz należy do pani.

- No niezupełnie - zachnęła się Rosalyn. - Nie spełniłam przecież warunków testamentu.

Nagle poczuła się niewyraźnie. Możliwość wejścia w posiadanie takiej połaci ziemi wydała się jej niewyobrażalna. To zbyt wiele dla pojedynczego człowieka, pomyślała. Zbyt wiele dla mnie.

- Chciałabym już wrócić do domu - zaproponowała. - Nie miałam dotąd czasu go obejrzeć.

- W takim razie może obejrzymy resztę okolicy kiedy indziej?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba nie ma po co. I tak niedługo wyjeżdżam.

Twarz Jacka nagle pociemniała. Rosalyn odniosła wrażenie, że chciał coś powiedzieć, lecz szybko zmienił zdanie, i ruszył przez pola w kierunku domu. Zastanawiała się, czym na Boga mogła go urazić.

Szedł tak szybko, że już po kilku minutach przestała próbować dotrzymywać mu kroku. Kiedy w końcu dotarli na ścieżkę prowadzącą do rezydencji, miała nogi po kostki oblepione błotem.

Oparła się ręką o pień kwitnącej jabłoni, zdjęła buty i skarpetki i bosobiegała przez trawnik. O dziwo, obuwie Jacka było prawie czyste.

- Przepraszam, ale to i tak była to najkrótsza droga do domu.

Nie bardzo wierzyła w szczerłość tych zapewnień, a nawet podejrzewała, że złośliwie wybrał okrężną trasę. Tylko zupełnie nie mogła zrozumieć dlaczego.

- Nie ma sprawy - zapewniła, podając mu rękę na pożegnanie. - Bardzo dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu. Naprawdę, będę miło wspominać ten dzień.

Spojrzał na nią z nie ukrywanym zdziwieniem i przez dłuższą chwilę przytrzymał jej dłoń, aż pochyliła się zmieszana, pod pretekstem oczyszczenia butów z błota.

- Proszę dać mi znać, kiedy znowu przyjedzie pani do Plainsville - powiedział, kiedy ruszyła w stronę werandy.

- Nie jestem pewna, czy w ogóle tu wrócę.

Z trudem powstrzymał się od komentarza i tylko spojrzał na nią tak, jakby znowu powiedziała coś złego. Stał tak przez chwilę, tłamsząc w rękach czapkę, aż w końcu wskazał na prawo.

- Nie rozumiem. - Rosalyn zatrzymała się nagle.

- Powinna pani przed wyjazdem popatrzeć na różę. O, tam.

- Różę?

- Tak, różę Iowy - przytaknął, nie kryjąc zniecierpliwienia. - To przecież z jej powodu pani tu przyjechała. Wypadałoby chociaż raz na nią spojrzeć, zanim wróci pani do Chicago.

Ruszył przez trawnik w kierunku klombu z krzewem obsypanym drobnym, jaskraworóżowym kwieciem. Z tego, co Rosalyn wiedziała o ogrodnictwie, na pewno nie była to róża. Wokół wyrastało całe mnóstwo różnych roślin, wśród których zdołała rozpoznać jedynie rząd tulipanów.

- Gdzie jest to cudo? - zapytała.

Jack wskazał na wystającą z ziemi wiązkę kolczastych badyli.

- I to ma być róża Iowy? - zapytała, nie kryjąc rozczarowania.

- Powinna pani zobaczyć ją w czerwcu. Te zielono - brązowe nabrzmienia to pączki liści, które rozwiną się za parę tygodni. A za trzy miesiące cały krzew okryje się kwiatami wielkości pani dłoni.

- Jakiego koloru?

- To najbledszy róż, jaki jest pani w stanie sobie wyobrazić, z ciemno karminowymi żyłkami wokół cytrynowożółtych pręcików. W niczym nie przypomina tych modnych ostatnio hybryd, ale i tak zapiera dech w piersi.

Zupełnie nie rozumiała, skąd bierze się ten zachwyty w jego głosie.

- Inaczej ją sobie wyobrażałam - odezwała się.

- Nic nie jest takie, jak sobie wyobrażamy. Przyjrzała mu się z uwagą. Najwyraźniej miał na myśli

nie tylko róże. Cała postać Jacka zdawała się mówić: „Jak możesz z tego wszystkiego zrezygnować?” Przeniosła spojrzenie na dom.

- To piękna rezydencja - zauważyła. - Umieram z ciekawości, co jest w środku. Ida Mae chyba lubiła kolekcjonować stare przedmioty. Nie znam się zbyt dobrze na antykach, ale gołym okiem widać, że meble w sypialni mają już swoje lata.

- O, tak. - Z przekonaniem pokiwał głową. - O ile wiem, to poza częścią instalacji niewiele tu zmieniła od momentu, kiedy odziedziczyła dom po rodzicach. Szkoda, że w dzisiejszych czasach ludzie na ogół nie lubią starych rzeczy, bo są ciemne i ciężkie.

Rosalyn powędrowała myślami do własnego mieszkania wyposażonego w lekkie, obite białą tapicerką meble.

- Mimo to rynek antyków radzi sobie całkiem nieźle - powiedziała przewrotnie, wprawiając go, o dziwo, w istny popłoch.

- Tylko ktoś całkiem bez serca może sprzedać rodzinne pamiątki - zauważył.

- Nie przesadzajmy. W końcu nie wszyscy muszą ulegać sentymentom - roześmiała się i wróciła na werandę.

- Poza tym - zawołał w ślad za nią - testament na to nie zezwala. Żeby wejść w posiadanie spadku, trzeba mieszkać tu przynajmniej przez rok.

A więc o to mu chodzi! Sam ma ochotę na spadek, mimo wszelkich prób zainteresowania Rosalyn tą posiadłością.

Odwróciła się na pięcie.

- Idę o zakład, że inteligentny prawnik z Chicago jest w stanie bez większego trudu obalić testament.

Twarz Jacka poczerwieniała z emocji. W dłoniach nerwowo obracał czapkę.

- Może to i prawda, ale zapewniam panią, że po roku mieszkania w tym domu nie chciałaby się pani rozstać nawet z najmniejszym przedmiotem - oznajmił na odchodnym.

Rosalyn zdawała sobie sprawę, że posunęła się nieco za daleko. Sama nie wiedziała, dlaczego, bo przecież nie zamierza walczyć o spadek. Po co więc, zamiast traktować Jacka z chłodną obojętnością,

zaczęła go prowokować. Bez wątpienia jest atrakcyjnym mężczyzną, ale co z tego? W końcu zna go zaledwie od dwóch godzin.

Rozdział 3

Jack wyjechał już na ulicę, kiedy przypomniał sobie, że nie zabrał Lenny'ego. Za nic nie chciał teraz zawracać i znów stanąć z twarzą w twarz z Rosalyn. Na szczęście chłopak usłyszał warkot silnika i sam wybiegł przed dom.

- Myślałem, że odjedziesz beze mnie - wysapał, wskakując na miejsce przy kierowcy.

Jack nacisnął z impetem pedał gazu i ruszył z piskiem opon w kierunku centrum.

- Coś się stało?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Nie wiem, ale myślałem, że jedziemy na farmę.

- Pomyślałem, że najpierw wpadnę jeszcze na pocztę sprawdzić, czy nie przyszły nowe katalogi.

Lenny kiwnął głową i zapatrzył się na drogę.

- I co? - zapytał po chwili. - Myślisz, że jednak się wprowadzi?

- Kto?

- No wiesz, Rosalyn.

- A skąd, do cholery, mam wiedzieć? - zachnął się Jack. - Naprawdę nie mam pojęcia. Sądzę, że musi lepiej poznać posiadłość i okolice, nim podejmie decyzję - dodał już łagodniej, widząc zmieszanie na twarzy bratanka.

- Oboje z Sophie uważamy, że się nie zdecyduje. Jest za młoda, żeby przenieść się na stałe do Plainsville.

- Nie przemawia przez ciebie lokalny patriotyzm, co?

- Oj, stryjku, sam wiesz, że to jest miejsce dla starszego pokolenia.

- Takiego jak moje, tak?

- Nieprawda, ty wcale nie jesteś stary. Przecież masz całe sześć lat mniej niż tata.

- Który, twoim zdaniem, jest już zmurszałym, czterdziestoletnim staruszkiem.

Lenny nie zaprotestował.

- A jeśli chodzi o Rosalyn Baines, to nie wiem, co postanowi, ale bez wątplenia musi być dobra w biznesie, skoro mimo młodego wieku zaszła tak wysoko w nie byle jakiej firmie w Chicago.

- No właśnie! - wykrzyknął chłopak. - I na pewno z niej nie zrezygnuje po to, żeby przeprowadzić się do tej nudnej miejsciny.

- Być może, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz.

- Jest w końcu siostrzenicą, a raczej córką siostrzenicy Idy Mae. Pewnie będzie chciała utrzymać dom w posiadaniu rodziny.

- Akurat. Jakiej rodziny? Ida Mae nigdy nie wspominała o żadnych krewnych. Jej jedynym prawdziwym przyjacielem był pradziadek Henry.

- Któż to może wiedzieć, Lenny. Tak naprawdę to niewiele wiemy o Petersenach, a jeszcze mniej o panie Baines. Wszelkie gdybanie pozbawione jest sensu.

Lenny spojrzał na stryja z niedowierzaniem.

- Zachowujesz się tak, jakby nic cię to nie obchodziło, a właściwie, jakby ci wręcz zależało, żeby tu zamieszkała.

Jack poczuł, że oblewa go fala gorąca. Patrzył wprost przed siebie, unikając podejrzliwego spojrzenia bratanka. To jasne, że wolałby, by Rosalyn zrezygnowała ze spadku, ale nie mógł znieść myśli, że mogłaby to zrobić pod wpływem nacisków z jego strony. W końcu Ida Mae obdarzyła go zaufaniem. Jeśli posiadłość ma przypaść właśnie jemu, chce ją przejąć z całkowicie czystym sumieniem.

- Może mogę pani w czymś pomóc, panno Baines? Sophie Warshawski stała pośrodku korytarza ze ścierką kuchenną w ręku.

Rosalyn właśnie oglądała kolekcję bibelotów na półeczce nad kominkiem.

- Wejdz, Sophie. Będzie mi miło, jeśli będziesz zwracać się do mnie po imieniu.

Gospodyni kiwnęła głową, lecz nie powiedziała ani słowa, tylko przyglądała się jej podejrzliwie. Rosalyn poczuła się jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku.

- Podziwiałam właśnie zbiory ciotecznej babki. To całkiem spora kolekcja.

- Większość tych przedmiotów pochodzi z czasów, kiedy panna Ida Mae była jeszcze młodą dziewczyną. Z tego, co wiem, nigdy nie wyjeżdżała z Plainsville, chyba że do Des Moines po zakupy.

Rosalyn trudno było wyobrazić sobie, żeby jakakolwiek młoda kobieta chciała spędzić życie w takiej zapadłej dziurze.

- Naprawdę? Nawet do college'u?

- Nie. Stary pan Petersen prawdopodobnie uważał, że to niestosowne, żeby bogate panienki musiały zdobywać wykształcenie.

- Na szczęście czasy się zmieniły.

- Być może, choć z drugiej strony ukończenie drogiej uczelni wcale nie gwarantuje szczęścia.

Rosalyn nie dała się łatwo zbić z tropu.

- Wiesz co, Sophie? Nic z tego wszystkiego nie rozumiem - powiedziała, zmieniając temat.

Gospodyni zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli?

- Przede wszystkim nawet nie wiedziałam, że moja babcia miała siostrę. Przez całe życie sądziłam, że była jedynaczką, tak jak moja mama i ja sama. Nie rozumiem, dlaczego nikt nie powiedział mi nigdy o istnieniu Petersenów. A teraz nagle dowiaduję się, że cioteczna babka zapisała mi wszystko... - Rosalyn powróciła do oglądania bibelotów. - Możesz oprowadzić mnie po domu? - poprosiła po chwili. - I opowiedzieć mi wszystko, co wiesz o Idzie Mae.

- To może zaczniemy od kuchni, bo właśnie tam spędzałam większość czasu, kiedy pracowałam w tym domu - uśmiechnęła się gospodyni.

Rosalyn udała się we wskazanym kierunku.

- Nie masz ze sobą notesu? - zapytała nagle Sophie.

- Nie, ale dlaczego pytasz?

- Bo wydawało mi się, że jak się jest kobietą interesu, to trzeba wszystko notować.

Rosalyn zorientowała się w porę, że gospodyni żartuje.

- Wszystkie te nowoczesne urządzenia zamontowane zostały gdzieś ze dwadzieścia pięć lat temu, wkrótce po tym, jak zaczęłam tu pracować - zaczęła Sophie. - Panna Ida miała wtedy około sześćdziesięciu pięciu lat. To Henry Jensen, to znaczy dziadek młodego Jacka, znalazł mi tę pracę. Henry i Ida Mae przyjaźnili się od lat, a właśnie wtedy panna Ida zaczęła narzekać na zawroty głowy i Henry obawiał się, że może się przewrócić, uderzyć o coś głową i leżeć bez pomocy przez kilka dni, zanim ktoś ją znajdzie. Dlatego poprosił, żebym podjęła tu pracę, pomogła coś ugotować, przeprać, posprzątać, jak to w domu. Wieczorem wracałam do siebie. Henry uważał, że w nocy nic panie Idzie nie grozi, a ja musiałam pomóc

siostrze przy dzieciach, więc takie rozwiązanie bardzo mi odpowiadało.

Gospodyni przysiadła na krześle.

- Rozumiem.

- Tak tu trafiłam. Jeśli chodzi o samo urządzenie kuchni, to stół i krzesła są z prawdziwego drzewa tekowego. O ile wiem, przyplłynęły tu razem z dziadkami panny Idy, z Danii.

- Kiedy Petersenowie osiedli w Plainsville? Sophie wzruszyła ramionami.

- Dziadek panny Idy założył w mieście pierwszy bank, który pozostał w rękach rodziny do śmierci jej ojca. O ile wiem, to przyjechali tu z Danii albo z Norwegii w tysiąc osiemset którymś roku, podobnie jak przodkowie Jacka. Zauważyłaś, że jego nazwisko też kończy się na „en”. Późniejsza fala emigrantów pochodziła głównie ze wschodniej Europy i miała już inne nazwiska.

Sophie wskazała dłonią na ścianę nad zlewem i kuchennym blatem.

- Popatrz na te niebiesko - białe kafelki. Ida Mae mówiła, że jej rodzice kupili je w Europie podczas miodowego miesiąca - rzekła z wyraźnym wzruszeniem. - Panna Ida uwielbiała opowiadać o tych wszystkich zebranych w domu przedmiotach. Była niesamowicie dumna. Niektórzy uważali ją za snobkę i pewnie mieli trochę racji. Ale przede wszystkim była bardzo przywiązana do wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z domem i rodziną.

Rosalyn opuściła wzrok. Nie na tyle, pomyślała, żeby utrzymywać kontakt z krewnymi w Chicago.

- Prawdę mówiąc - ciągnęła Sophie - twoje pojawienie się zaskoczyło mnie chyba w takim samym stopniu, jak ciebie wiadomość o spadku. Dopiero w ostatnim roku życia panny Idy dowiedziałam się o istnieniu drugiej gałęzi rodziny Petersenów. Któregoś wieczoru siedzieli przy kawie razem z Henrym. Już nie pamiętam, dlaczego zostałam dłużej niż zwykle. W każdym razie, przed wyjściem, zajrzałam do saloniku, żeby powiedzieć im dobranoc. Henry właśnie mówił, że panna Ida powinna pozwolić mu się skontaktować z siostrzenicą w Chicago. Dokładnie pamiętam jego słowa, bo zazwyczaj był bardzo łagodnym człowiekiem, a tym razem mówił niezwykle stanowczo. „Ido”, powiedział, „musisz wreszcie zapomnieć o przeszłości. Kilkadziesiąt lat nienawiści to i tak za długo. Skontaktuj

się z siostrzenicą". A wtedy twoja cioteczna babka odezwała się ze smutkiem: „Za późno, Henry. Lucille nie żyje”.

Rosalyn poczuła dławienie w gardle.

- Miała na myśli moją mamę. Umarła nieco ponad rok temu.

Sophie pokiwała głową.

- Sama widzisz. Wiedziała, że ma krewnych w Chicago, a oni na pewno też byli świadomi jej istnienia. Jednak nikt nie pojawił się na pogrzebie.

- Zostałam tylko ja - wyjaśniła Rosalyn. - I wierz mi, że nie miałam najmniejszego pojęcia o jej istnieniu.

- Przecież cię nie obwiniam. Ale to naprawdę okropne, kiedy na pogrzeb dziewięćdziesięcioletniej staruszki przychodzi tylko kilku dalekich krewnych i Jensenowie, którzy nawet nie należą do rodziny zmarłej.

Rosalyn nie spuszczała wzroku z gospodyni. Przez ułamek sekundy zobaczyła siebie samą za kilkadziesiąt lat. Czyżby miała zakończyć życie równie samotnie jak cioteczna babka?

Sophie najwyraźniej poczuła się niezręcznie pod wpływem jej spojrzenia.

- Co było, to było, a życie toczy się dalej. Może przejdziemy teraz do saloniku?

- Jeśli masz ochotę...

Rosalyn nagle poczuła, że ogarnia ją zmęczenie. Chyba miała już za dużo przeżyć jak na jeden dzień. Najpierw przygoda z intruzem za oknem, potem długi spacer, a teraz ta poruszająca opowieść.

- Zapewne chciałabyś odpocząć. Może jutro przejrzymy rzeczy panny Idy? Szkoda by było, gdyby te wszystkie ubrania miały się zmarnować, kiedy mogą się jeszcze komuś przydać. - Sophie oparła się dłońmi o blat stołu i podniosła z krzesła. - Upiekę babeczki z jabłkiem, to jutro posiedzimy sobie i znowu powspominamy.

Rosalyn zauważyła, że gospodyni po raz pierwszy uśmiechnęła się do niej życzliwiej.

- Dziękuję, Sophie - powiedziała, odwzajemniając uśmiech. - Może jeszcze pokręcę się trochę sama po domu.

- Oczywiście. I mam nadzieję, że będziesz miło wspominać tych kilka dni w Plainsville.

- Jeszcze raz wielkie dzięki.

Rosalyn patrzyła z pewnym rozbawieniem w ślad za wychodzącą kobietą. Najwyraźniej Sophie jest przekonana, że niedoszła spadkobierczyni wróci do Chicago na dobre i zapomni o całej sprawie.

Po godzinie bląkania się po domu zrozumiała, że nie znając historii poszczególnych przedmiotów z porcelany i kryształu oraz najróżniejszych innych sprzętów, mogłaby równie dobrze zwiedzać muzeum. W końcu poczuła znużenie, więc postanowiła pójść na spacer do miasta.

Dom ciotki był rzeczywiście fascynujący. Zarówno kształt budynku, jak i wystrój wnętrza świadczyły dobitnie o tym, że przy budowie nie szczędzono pieniędzy. Przebogata stolarka na ścianach, drewniana balustrada, stiuki i plafoniery stanowiły świadectwo nie tylko wyszukanego smaku, ale i dbałości o każdy, najmniejszy nawet detal.

Dopiero na drugim piętrze, który zaprojektowano w kształcie litery T, Rosalyn dostrzegła pewne ślady zaniedbania. Wilgotne zacieki szpeciły sufity w dwóch sypialniach i niewielkiej alkowie przekształconej w trzecią, dodatkową łazienkę. Gdźieniegdzie odlepiła się tapeta i złuszczała farba. Domyśliła się, że zapewne dawniej mieszkała tu służba. Rosalyn jeszcze raz przyjrzała się zaciekom. Najwyraźniej dach wymagał pilnej naprawy.

Od razu pomyślała o Jacku i jego porannych zabiegach przy rynnie. Jeśli rzeczywiście, jak mówił, przez ostatnie lata opiekował się domem, to powinien był zauważyć, że dach przecieka. A może zajmował się tylko ogrodem? Jeśli tak, to po co dziś przyszedł? Czyżby chciał zobaczyć, jak wygląda konkurentka do spadku?

Uśmiechnęła się w duchu. Mimo wszystko trudno jej było wyobrazić sobie, że ktoś taki jak Jack podlizuje się starszym paniom, by odziedziczyć ich majątek.

Wąskimi schodami zeszła powoli na pierwsze piętro, które było w dużo lepszym stanie. Obejrzawszy wszystkie pomieszczenia, zastanowiła się, którą sypialnię wybrałaby sobie, gdyby przyszło jej zamieszkać w Plainsville. Na pewno tę w bocznym korytarzu, po drugiej stronie holu. Był to widny pokój o dwóch alkowach i czterech dużych oknach, za którymi rozciągał się isticie sielankowy widok na okoliczne pola i lasy.

Skarciła się w duchu. Po co w ogóle wdaje się w takie rozważania, skoro nie zamierza się tu sprowadzać. Aż roześmiała się na myśl, że mogłaby zostać posiadaczką ziemską. Kompletny absurd!

Ledwie otworzyła drzwi baru, zorientowała się, że popełniła błąd, pytając nastolatkę o miejsce, w którym mogłaby coś przekąsić. Najstarszy z gości nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, z głośników płynęły ogłuszające rytmy rocka, a kelnerki w niebieskich fartuszkach uganiały się między stolikami z tacami pełnymi drinków w niesamowicie wysokich szklankach i odstrasząco tuczących deserów.

Na dźwięk otwieranych drzwi kilka głów odwróciło się w kierunku Rosalyn, szacując beznamiętnie jej postać.

Poczuła się nagle, jakby miała nie trzydzieści dwa, a co najmniej sześćdziesiąt dwa lata. Nie musiała się długo zastanawiać, by opuścić ten lokal.

Stojąc pośrodku głównego deptaka Plainsville, nie mogła się zdecydować, czy zrobić zakupy i wrócić na lunch do domu, czy poszukać innej restauracji. Jednak perspektywa przygotowywania posiłku w cudzej kuchni wydała się jej na tyle odstrasząca, że postanowiła kontynuować poszukiwania.

Ruszyła ulicą w kierunku obsianego trawą placu, który bez wątpienia stanowił centralny punkt miasteczka. Na samym środku wznosił się posąg jeźdźca z sokołem na ramieniu. To zapewne założyciel Plainsville, pomyślała, i choć gustowała raczej w sztuce współczesnej, musiała przyznać, że pomnik całkiem nieźle wpasowuje się w otoczenie. W ogóle miasto zrobiło na niej dobre wrażenie. Było schludne, zadbane i pełne drzew i kwiatów hodowanych w specjalnie przystosowanych skrzynkach ustawionych na chodnikach. Uliczne latarnie, imitujące stare lampy gazowe, z wdziękiem pochylały się nad jezdnią.

- Jak widzę, udało się pani odszukać najlepszą knajpkę w miasteczku - powiedział ktoś za jej plecami.

Rosalyn aż podskoczyła z wrażenia. Odwróciła się i omal nie wpadła na Jacka.

- Przestraszył mnie pan.

- Przepraszam, ale naprawdę nie miałem takiego zamiaru.

- Właśnie podziwiałam ten pomnik.

- Ach tak. Myślałem, że wyszła pani od Laverny - powiedział, wskazując głową za siebie.

„Kawiarnia u Laverny” - przeczytała szyld nad wejściem do niewielkiego lokaliku.

- Proszę się nie obawiać. To nie jest jedna z tych modnych kawiarni, w której podają kawę w wymyślnych filiżankach i nieprawdopodobnych rozmiarów ciastka pozbawione wszelkiego smaku.

- Właśnie szukałam miejsca, gdzie mogłabym coś zjeść, kiedy ten jeździec przykuł moją uwagę. Wygląda trochę jak bohater jakiegoś westernu, prawda?

Jack spojrział na nią spod przymrużonych powiek.

- Jest symbolem wszystkich pionierów i osadników, którzy odważyli się opuścić bezpieczny dom, żeby ruszyć w nieznaną - wyjaśnił, a Rosalyn poczuła, że się czerwieni. - A jeśli chodzi o sokoła, to chyba każdy, kto uczył się geografii, wie, że właśnie z Iowy pochodził słynny wódz indiański Sokole Oko. To tyle, jeśli chodzi o historię. Może teraz pójdziemy coś zjeść.

- Świetnie, bo naprawdę umieram z głodu.

Cofnął się, żeby puścić ją przodem. Nagle zatrzymał się w pół kroku.

- O rany, całkiem bym zapomniał. Miałem się spotkać z Lennym.

- U Laverny?

- Skąd. To miejsce jest na jego gust zbyt staroświeckie. Miał na mnie czekać przy parkingu na placu - wyjaśnił, rozglądając się uważnie wokół.

Rosalyn skorzystała z okazji, by mu się lepiej przyjrzeć. Był wysokim i szczupłym mężczyzną o wysportowanej sylwetce i interesującej twarzy, która w najmniejszym stopniu nie przywodziła na myśl hollywoodzkich idoli. Mógł się podobać kobietom.

Spojrział na nią ukradkiem i poczuła, że znowu się czerwieni.

- A niech to! - mruknął niechętnie na widok bratanka, który właśnie pędził w ich kierunku.

- Myślałem, że znowu chcesz odjechać beze mnie - wysapał chłopak. - O przepraszam, dzień dobry. - Widok Rosalyn wyraźnie go speszył.

- Właśnie natknąłem się na pannę Baines, więc pomyślałem, że może przekąsimy coś u Laverny.

Lenny natychmiast się nastroszył.

- Tutaj? Mówiłeś, że pójdziemy do Murphy'ego. Jack utkwił w bratanku lodowate spojrzenie. Czyżby, pomyślała, dał mu do zrozumienia, że ma się nie wtrącać?

- Nie powinniście zmieniać planów. Na pewno macie jeszcze dużo pracy.

- Właśnie - przytaknął Lenny skwapliwie. - Mieliśmy przecież przystrzyc żywopłot u pana Watsona.

Jack był wyraźnie zakłopotany.

- Możemy to zrobić kiedy indziej.

- Nieprawda. W przyszłym tygodniu zaczynają mi się egzaminy, więc nie będę miał czasu ci pomóc.

- Naprawdę nie ma sprawy - powiedziała. - Tylko proszę polecić mi jakieś smaczne danie.

- Cokolwiek pani zamówi, będzie pyszne. Ale proszę zacząć od kanapki na pełnoziarnistym pieczywie. To ich specjalność - odrzekł Jack z niemrawym uśmiechem.

- Dzięki.

- W takim razie... - Nie ruszał się z miejsca, tylko nerwowo obracał w dłoniach czapkę.

Lenny miał wyraźnie dosyć.

- Stryjku, zaraz będziesz drugi raz opłacał postój. Jack znowu zmroził go wzrokiem. Cała ta sytuacja zaczynała być krępująca i Rosalyn uznała, że czas najwyższy się pożegnać.

- Może wpadnie pan do mnie jutro? Jest kilka spraw, które chyba powinniśmy omówić - zaproponowała.

- O której? Wzruszyła ramionami.

- Sophie ma przyjść rano, żeby przejrzeć ze mną ubrania Idy Mae. Więc może koło jedenastej?

- Świetnie - zgodził się, nie kryjąc zadowolenia. - W takim razie do jutra.

- Stryjku, może się w końcu ruszymy! Jack ujął w dłonie rękę Rosalyn.

- Bardzo się cieszę, że będziemy mieli okazję porozmawiać. Naprawdę.

Rozdział 4

Rosalyn nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czuła się tak niespokojna. Czyżby zaczynała jej dokuczać samotność?

Nie, to niemożliwe. Po prostu to nudne miasteczko zaczyna jej działać na nerwy.

Podniosła się z wyplatanego fotela, jaki znalazła na werandce obok kuchni, i zaczęła przechadzać się po tarasie. Co prawda chłodny, kwietniowy wieczór nie zachęcał do przesiadywania na zewnątrz, ale cisza panująca w domu stała się nie do zniesienia. W końcu zrobiło się jednak tak zimno, że mimo iż okryła plecy wełnianym afgańskim kocem, zdecydowała się wrócić do środka.

Teraz nie pozostało jej już nic, tylko pogasić światła i pójść spać, choć na zegarze dopiero wybiła dziewiąta.

Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni położyła się o tak wczesnej porze. Chyba z rok temu, zaraz po śmierci mamy, kiedy próbowała znaleźć ukojenie we śnie.

Przed oczami stanęła jej śliczna twarz matki. Lucille Dutton Baines, wyszeptwała, starając się przywołać w pamięci szczęśliwe, wspólnie spędzone chwile. To było tak dawno, jeszcze przed rozwodem rodziców. Rosalyn nigdy nie poznała prawdziwego powodu ich rozstania. 2 dzieciństwa pamiętała liczne sprzeczki o pieniądze. Z biegiem lat nieporozumienia narastały, aż w końcu ojciec zaczął spędzać noce poza domem.

Przeprowadzka do rodziców matki przekreśliła wszelkie szanse na pojednanie. Na wspomnienie surowej twarzy, sokolego nosa i kościstej, drobnej postury babki, Rosalyn poczuła ciarki przechodzące po grzbiecie. Starsza pani Dutton nie należała do tych babć, którym wnuki z radością zarzucają ręce na szyję. Może nie powinna się dziwić, że babka nigdy nie wspominała o rodzinie? Czy krewni w ogóle chcieliby utrzymywać kontakt z tak przykrą osobą?

To pytanie miało na zawsze pozostać bez odpowiedzi. Nawet tutaj, w Plainsville, rodzinnym mieście Petersenów, nie ma już nikogo, kto znałby historię rodziny. Myśl o tym, że została jedyną pozostałą przy życiu spadkobierczynią jej dziedzictwa, sprawiła, że poczuła się jeszcze gorzej. Zanim zamknęła za sobą drzwi, jeszcze raz spojrzała w głąb ogrodu.

Róża Iowy majaczyła w świetle padającym z werandy.

Gdyby tylko potrafiła mówić! - pomyślała smętnie Rosalyn i zaraz skarciła się w duchu. Stajesz się sentymentalna, panno Baines. Jeszcze chwila, a uwierzysz w tajemną moc tego krzewu.

Sophie zmarszczyła czoło i rozpoczęła swoją opowieść:

- Ten krzak przyłynął tu z Danii ze sto pięćdziesiąt lat temu. To czysta odmiana, nie jakaś tam współczesna hybryda. Tak przynajmniej twierdzi Jack. W każdym razie przodkowie twojej ciotecznej babki przywieźli ją ze sobą do Stanów. Już wtedy musiała być dla nich czymś bardzo ważnym, bo przecież, płynąc niewielkim statkiem przez Atlantyk, nie mogli zabrać zbyt wiele bagażu.

Urwała i popadła w zamyślenie. Czyżby próbowała wyobrazić sobie trudy takiej podróży?

- Przepraszam - rzekła po chwili z oczami przepelnionymi łzami wzruszenia - ale przypominałam sobie, jak moi rodzice przyłynęli tu przed laty. A wracając do tego krzewu, to został posadzony dokładnie w tym miejscu, gdzie rośnie w tej chwili, i od tamtej pory kolejne pokolenia Petersenów troskliwie się nim opiekowały.

- I co dalej?

W odpowiedzi Sophie rozłożyła ręce.

- To chyba wszystko. Pytałaś, co takiego szczególnego widzieli w tych różach...

- Więc przywieźli krzew z Danii - wtrąciła Rosalyn - jednak wciąż nie rozumiem, dlaczego ciotka Ida zapisała go akurat mnie.

Gospodyni spojrzała na nią wzrokiem, z którego wynikało, że zapewne przeceniła bystrość jej umysłu.

- Ta róża wpisała się w życie rodziny niczym człowiek. Ilekroć któraś z dziewcząt wychodziła za mąż, jej ślubny bukiet układano z tych kwiatów. A kiedy ktoś z Petersenów umierał w czasie kwitnienia krzewu, na grobie kładziono wiązanek bladoróżowych róż. Każdy członek rodziny, który postanowił osiąść gdzie indziej, dostawał pojedynczy pęd na pożegnanie - oznajmiła Sophie i odstawiła na blat stołu pusty kubek po kawie.

- Skąd o tym wiesz?

- Panna Ida opowiadała mi tę historię wiele razy. Troszczyła się o ten krzew jak o własne dziecko. Biedna Ida Mae...

- Dlaczego biedna?

- Bo jej samej nie przyszło skorzystać z tradycji. Nawet po śmierci, gdyż zmarła w styczniu. Wcześniej też nie, bo przecież nigdy nie wyszła za mąż.

- Zastanawiam się, czy moja babcia miała róże w ślubnym bukietcie.

Sophie aż uniosła brwi ze zdziwienia.

- To nawet tego nie wiesz?

- Wygląda na to, że wiem o wiele mniej niż ty. Pamiętam fotografię elegancko ubranej babci, jak stoi przed jakimś dużym budynkiem, trzymając dziadka pod rękę. Mama mówiła, że to ich ślubne zdjęcie. Chyba pobrali się w urzędzie stanu cywilnego w Chicago. Ale zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, czy babcia w ogóle miała jakiś bukiet.

- Masz jeszcze to zdjęcie?

- Chyba zostało w skrzyni razem z innymi drobiazgami mojej mamy. Po jej śmierci zabrakło mi odwagi, żeby je przeglądać, więc oddałam wszystko do przechowalni - wyjaśniła Rosalyn nieco łamiącym się głosem.

Po chwili milczenia Sophie podniosła się od stołu.

- A propos. Chyba już czas, żebyśmy posegregowały rzeczy w pokoju panny Idy.

Rosalyn z ociąganiem podążyła na górę za gospodynią. Przez okno na klatce schodowej wpadały do wewnątrz promienie porannego słońca, a korony drzew za szybą poruszały się nieznacznie na lekkim wietrze. Ciekawe, jak będą wyglądać, kiedy się zazielenią, pomyślała Rosalyn i natychmiast przywołała się do porządku. A jak mogą wyglądać? Zwyczajnie, jak drzewa.

- Kiedy panna Ida i jej siostra były jeszcze dziewczynkami, zajmowały wspólnie tę wielką sypialnię na końcu korytarza.

- To piękny pokój. Sama bym go wybrała, gdybym miała tu zamieszkać.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić - mruknęła Sophie.

Rosalyn aż się zaczerwieniła. Gdyby nie to, że dopiero co udało się jej nawiązać jakieś takie stosunki z gospodynią, nie omieszkałaby powiedzieć, że wcale jeszcze nie wie, co postanowi.

Sophie chyba też żałowała, że w porę nie ugryzła się w język.

- Może chcesz przeprowadzić się tam na noc lub dwie, tak po prostu, żeby zaspokoić ciekawość?

- Chyba nie miałyby to większego sensu - odparła Rosalyn z wymuszonym uśmiechem i weszła do sypialni, którą Ida Mae zajmowała przed śmiercią.

- Ciekawe, dlaczego wybrała właśnie ten pokój. Przecież tamten jest o niebo ładniejszy.

- Po pierwszym ataku panna Ida stwierdziła, że musi mieć możliwość spoglądania na swoje róże z łóżka. „Muszę mieć je na oku”, twierdziła. Jack nawet podejrzewał, że starsza pani nie darzy go pełnym zaufaniem.

- Stąd naprawdę mogła podziwiać krzew w pełnej okazałości - zauważyła Rosalyn, stojąc u wezłowania łóżka.

- Panna Ida była od ciebie znacznie niższa i żeby zobaczyć róże, musiała mieć plecy wsparte wysoko o poduszki. Próbowaliśmy przysunąć łóżko bliżej okna, ale nawet Jack wspólnie z bratem mieli problemy, żeby ruszyć je z miejsca.

Łoże było rzeczywiście przeogromne.

- Nic dziwnego, jest takie wielkie. A przy tym piękne. Szczególnie to wysokie, wygięte oparcie.

- Prawda? Prawie jak w saniach. To dzieło miejscowego rękodzielnika - wyjaśniła z dumą gospodyni, zbliżając się do przepastnej komody stojącej obok wysokiego lustra. - Zacznę od tych szuflad, a ty tymczasem zajrzyj do szafy. Nie wiem, czy damy radę znieść to wszystko na dół.

- Koło jedenastej powinien przyjść Jack. Z pewnością chętnie nam pomoże.

- Aha. - Sophie co prawda powstrzymała się od komentarza, lecz Rosalyn nie miała wątpliwości, że oczekuje na dalsze informacje.

- Musimy omówić parę spraw - wyjaśniła.

- Rozumiem.

Nie wdając się w dalsze dyskusje, Rosalyn otworzyła drzwi szafy.

- To dziwne uczucie, kiedy grzebie się w rzeczach kogoś, kogo się w ogóle nie znało. Jakbym naruszała czyjąś prywatność - powiedziała.

Na długiej półce nad prętem, z którego zwisały wieszaki z ubraniami ciotki, spostrzegła drewnianą szkatułkę. Zdjęła ją i postawiła na podłogę.

Miała kolor mahoni, zaokrąglone na brzegach wieko i wyrafinowane, srebrne zamknięcie.

- Jaka piękna! - zachwyciła się Rosalyn, wodząc dłonią po wypolerowanej powierzchni.

Sophie odwróciła głowę znad szuflady.

- Panna Ida była bardzo przywiązana do tej szkatuły. Zawsze trzymała ją obok łóżka. Po pogrzebie schowałam ją w szafie, żeby się nie kurzyła. O ile pamiętam, w środku jest jakiś pamiętnik.

- Nie wiesz, gdzie jest klucz? -

- Chyba go widziałam, ale zupełnie nie pamiętam gdzie. Wiesz co, może jednak sama zajmę się szafą, a ty idź do sypialni na końcu korytarza.

Rosalyn przyjęła propozycję z wdzięcznością.

- Dobrze - powiedziała i schowała szkatułę do szafy.

Przeglądanie osobistych przedmiotów należących do zmarłej przypomniało jej smutne chwile, które spędziła w mieszkaniu matki, segregując jej rzeczy po pogrzebie.

Mimo że teraz w dawnym pokoju dziecięcym stało tylko jedno podwójne łóżko, Rosalyn domyśliła się, że za dawnych czasów łóżeczka bliźniaczek umieszczone były w dwóch alkowach o mansardowych oknach. Poza tym urządzenie sypialni pozostało chyba nie zmienione od lat. Obszerne wnętrze bez trudu pomieściło dwa komplety białych mebli: toaletki z lustrami, komody, szafki i dwa bujane dziecięce foteliki. Dwa chodniki z wyblakłej plecionki przykrywały część drewnianej podłogi.

Stare koronkowe firanki, które już dawno utraciły swą nieskazitelną biel, zdobiły mansardowe okienka we wnękach. Oprócz nich w pokoju były jeszcze dwa wielkie okna, wychodzące na okoliczne pola i lasy.

Mimo kwietniowego wiatru Rosalyn zdecydowała się wpuścić trochę świeżego powietrza do wnętrza. Zastanowiła się, od czego zacząć. Na prawo od wejścia dostrzegła dwoje mniejszych drzwi, za którymi zapewne mieściły się wbudowane w ścianę szafy, gdzie małe księżniczki zwykły trzymać swoje skarby.

Oczami wyobraźni zobaczyła dziecięcy pokój tonący w pastelowych barwach. Czy to możliwe, że ktoś o tak surowym usposobieniu jak jej babka spędził dzieciństwo w tym przyjaznym otoczeniu? Była prawie pewna, że obie szafy wypchane są po brzegi starymi lalkami i zwierzątkami z pluszu.

Odczuła pewien zawód, kiedy otworzywszy drzwi, ujrzała jedynie stertę kartonowych pudeł wypchanych po brzegi pismami, książeczkami dla dzieci i kalendarzami sprzed lat. Ani śladu dziewczęcych pamiątek. A przecież ciotka podobno uwielbiała kolekcjonować stare przedmioty. Skoro tak, musiała je gdzieś schować. Tylko gdzie?

Mimo początkowego rozczarowania zdecydowała się sprawdzić zawartość pudeł z większą dokładnością. Niektóre mieściły zawinięte w bibułę stare, winylowe płyty gramofonowe, w innych piętrzyły się równo poukładane, pożółkłe gazety.

Na pierwszy rzut oka zawartość drugiej szafy przedstawiała się jeszcze mniej interesująco. Kolejne pudła wypełnione były po brzegi sfatygowanymi książkami kucharskimi, przepisami na kartkach pocztowych, nieważnymi kuponami uprawniającymi do zniżkowych zakupów. Dopiero na samym dnie Rosalyn dostrzegła oprawioną w ramkę z tektury, czarno - białą fotografię. Z zaciekawieniem podniosła znalezisko.

Zdjęcie przedstawiało dwie dziewczynki - dwie małe księżniczki.

Jedna siedziała na bujanym foteliku, druga stała po prawej stronie tuż obok i czule obejmowała siostrę ramieniem. Były absolutnie identyczne. Jasne loki okalały ich uśmiechnięte buzie, koronkowe sukienki kończyły się nieco poniżej kolan, a na stopach połyskiwały skórzane lakierki. Każda z dziewcząt trzymała w dłoni gałązkę kwitnącej róży.

Rosalyn delikatnie wyjęła zdjęcie z ramki. Wciąż jeszcze wyraźny podpis na odwrocie głosił: „June Rose i Ida Mae, 12 czerwca 1915, w ich piąte urodziny”.

- Znalazłaś coś ciekawego?

Odwróciła głowę. W progu stała Sophie ze szklankami wypełnionymi sokiem. Rosalyn podała jej zdjęcie.

- Mój Boże! - westchnęła gospodyni, odstawiając tacę na toaletkę. Odwróciła fotografię i przeczytała podpis. - Przecież one wyglądają zupełnie jak...

- Księżniczki, prawda?

- Nigdy nie przyszłoby mi nawet do głowy, żeby myśleć o panie Idzie w ten sposób. Ale na tym zdjęciu rzeczywiście tak wygląda. Gdzie je znalazłaś?

- Na samym dnie szafy. Powiedz mi, Sophie, jak to możliwe, że ciotka zachomikowała tyle starych, niepotrzebnych przedmiotów, a nigdzie nie widać nawet śladu pamiątek z dzieciństwa? Nawet moja mama, która nigdy nie przejawiała szczególnych skłonności do sentymentów, zachowała dla mnie swoje ukochane zabawki.

Sophie odłożyła fotografię i usiadła na brzegu łóżka.

- Panna Ida często opowiadała mi o rodzinie i różnych pamiątkach znajdujących się w domu, ale ani razu nawet nie wymówiła imienia siostry. Tylko ludzie w mieście wspominali przed laty, że ma siostrę bliźniaczkę w Chicago, z którą nie utrzymuje żadnych kontaktów.

- Musiało wydarzyć się coś strasznego, skoro tak kompletnie wymazała ją z pamięci - stwierdziła Rosalyn ze smutkiem.

- Pewnie nie czujesz się najlepiej, wiedząc, że cała ta historia dotyczy twojej babci?

Rosalyn przypomniała sobie surową twarz June Dutton. Jakże niepodobna była do dziecięcej buzi spozierającej ze starej fotografii. Jeszcze raz z uwagą przyjrzała się zdjęciu.

- Próbujesz zgadnąć, która z dziewczynek to twoja babcia? - domyśliła się gospodyni, uśmiechając się ze zrozumieniem.

- Tak, ale to raczej niemożliwe.

- Pomyślmy. Podpis zaczyna się od June Rose, więc możliwe, że to właśnie ona stoi po lewej stronie. Oczywiście, jeśli ktoś w ogóle się nad tym zastanawiał.

- Być może, ale tak naprawdę jakie to ma znaczenie? Przecież one są zupełnie identyczne.

- To prawda. Ciekawe, czy im to nie przeszkadzało? - zastanowiła się Sophie.

Rosalyn popadła w zadumę. Czy łatwo jest żyć ze świadomością, że jest się lustrzanym odbiciem własnej siostry? Wciąż widzieć przed sobą własne oblicze i nie móc się od niego uwolnić? Z czasem taka sytuacja może stać się nie do wytrzymania, pomyślała, czując, że ciarki przechodzą jej po plecach.

Ciszę przerwał warkot podjeżdżającej furgonetki.

- To Jack! - rozpromieniła się gospodyni. Podniosła się z łóżka i chwyciła tacę. - W takim razie zjemy coś w kuchni - obwieściła i zniknęła za drzwiami.

Rosalyn nadal wpatrywała się w roześmiane, ufnie twarzyczki na zdjęciu. Bliźniaczki miały wtedy po pięć lat i całą przyszłość przed sobą. Co mogło przerwać tak silną więź, zwaśnić je do tego stopnia, że wzajemnie wykreśliły siebie z życiorysu?

Z westchnieniem skierowała się do wyjścia. Wizyta w Plainsville uświadomiła jej, jak niewiele wie o własnych przodkach. Co gorsza, nic nie wskazuje na to, żeby ktokolwiek znał odpowiedź na trapiące ją wątpliwości.

Kiedy weszła do kuchni, Jack siedział przy stole ze szklanką soku w dłoni i pałaszował babkę z owocami. Na widok Rosalyn zerwał się na równe nogi.

- Proszę siedzieć - zaprotestowała. - A w ogóle to proponuję, żebyśmy przeszli na ty, bo zaraz zacznę się czuć jak na zebraniu zarządu. Tymczasem wciąż jeszcze jestem na urlopie.

Wspomnienie o pracy spowodowało, że Jack wyobraził sobie, jak Rosalyn, ubrana w elegancki, nienagannie skrojony kostium, w profesjonalnie uprzejmy sposób wita się z klientem. Nagle zdał sobie sprawę z przepaści dzielącej Chicago i Plainsville, i nie wiedząc czemu, raptem stracił apetyt.

- Sophie mówi, że spędziłyście całe przedpołudnie, robiąc porządki w szafach - odezwał się, kiedy Rosalyn zajęła miejsce po przeciwnej stronie stołu. - Ida Mae zapewne zgromadziła całe mnóstwo różnych rzeczy.

- Owszem, tylko nie to, na czym by mi naprawdę zależało. Z jakiegoś powodu poza starym zdjęciem, zrobionym, kiedy siostry miały po pięć lat, nie znalazłam niczego ciekawego. Przynajmniej na razie.

- Pamiętam, że panna Ida miała jakieś albumy ze zdjęciami. Kiedyś widziałam, jak je przeglądała - wtrąciła Sophie.

- Chyba widziałam je w jednym z tych pudeł na górze. Chętnie zabiorę je do Chicago.

Jack aż bał się spojrzeć na gospodynię. Jeszcze zacznie się porozumiewawczo uśmiechać. Od chwili odczytania testamentu Sophie bynajmniej nie kryła, komu według niej powinien przyspaść dom Petersenów, mimo że to Rosalyn była prawowitą spadkobierczynią.

Uparcie twierdziła, że posiadłość winna znaleźć się w rękach osoby, która się nią zajmowała i darzyła sentymentem, a Jack

oczywiście nie mógł zaprzeczyć, że to właśnie on spełnia te kryteria. Jeszcze jako dziecko, kiedy przychodził tu z dziadkiem Henrym, polubił dom babki Idy. Zwykli wtedy pić mrożoną herbatę na werandzie. Miał swoje ulubione miejsce na bujanym fotelu, mimo że wtedy ledwie sięgał nogami podłogi.

Próbował przekonać Sophie, że nie jest w żadnym stopniu spokrewniony z Petersenami, a w końcu to rodzinna posiadłość. Jednak gospodyni pozostała nieprzejednana. Skoro panna Ida tak kochała rodzinę, przekonywała, to dlaczego nie utrzymywała z nią żadnych kontaktów? Dlaczego miałyby zostawić dom córce siostrzenicy, której nigdy w życiu nie widziała na oczy? Z braku argumentów Jack wyraził przypuszczenie, że być może osoba ta pokocha Plainsville, kiedy tu przyjedzie, lecz Sophie tylko prychnęła w odpowiedzi.

A teraz owa konkurentka do spadku siedzi po przeciwnej stronie stołu i uśmiecha się do niego, mrużąc przy tym te niesamowite oczy koloru morskiej toni. Ni to zielone, ni niebieskie, zmieniające się pod wpływem kąta padania światła. Właśnie zastanawiał się, jakie farby należałoby mieszać, by uzyskać ten efekt, kiedy głos Rosalyn wyrwał go z zadumy.

- Tak, słucham? - zreflektował się.

- Mówiłam, że powinniśmy porozmawiać o testamencie. Mam bilet powrotny na niedzielę, więc...

- Może pójdę na górę i dokończę sprzątać - przerwała jej Sophie i z rzadką u niej werwą zniknęła z kuchni.

Fakt, że Rosalyn od razu przeszła do rzeczy, wprowadził go w pewne zakłopotanie. Chociaż, z drugiej strony, nie powinien się dziwić. Już na pierwszy rzut oka widać było, że panna Baines nie należy do osób, które zwykły cokolwiek owijać w bawełnę. I właśnie to, choć nie tylko, tak bardzo mu się w niej podobało.

- Ten dom jest naprawdę piękny i jak sądzę, niejedną osobę zachwycałaby perspektywa zamieszkania na stałe w Plainsville.

Od razu zorientował się, dokąd zmierza.

- Jednak - ciągnęła Rosalyn - jeśli o mnie chodzi, to właśnie dostałam awans, na który czekałam od lat. Poza tym warunki, jakie postawiła moja cioteczna babka, są co najmniej dziwne. Czyżby naprawdę sądziła, że rzucę wszystko, żeby się tu wprowadzić? Chyba że - spojrzała mu prosto w oczy - nosiła się z innym zamiarem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Rosalyn nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Być może wiedziała od początku, że nie zaakceptuję warunków i spadek przypadnie tobie. Może właśnie tego sobie życzyła.

Jack nie wierzył własnym uszom. Znał Idę Mae na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdyby zależało jej na tym, by to on przejął dom, po prostu zapisała by mu go w testamencie. Musi być jakiś inny powód, dlaczego postawiła takie, a nie inne warunki. Ale jaki?

Oparł plecy o krzesło i z niecierpliwością czekał, aż Rosalyn skończy swą tyradę. Tymczasem ona ciągnęła opowieść o tych wszystkich rzeczach, z jakich musiałaby zrezygnować, gdyby wyjechała z Chicago. Zupełnie jakby była przekonana, że on sam nigdy w życiu niczego nie musiał poświęcić.

W końcu zdecydował się wtrącić.

- Panna Ida była prostolinijną kobietą i o ile wiem, zawsze grała czysto. Wydaje mi się, że chciała naprawić jakieś błędy z przeszłości i dlatego życzyła sobie, żebyś dostała ten dom.

- Jakie błędy masz na myśli?

- Coś musiało spowodować, że drogi waszej rodziny się rozeszły. Pamiętaj, że Ida Mae miała dziewięćdziesiąt lat i była bardzo dumna i uparta. Myślę, że pierwsza nie wyciągnęła by do ciebie ręki, z obawy, że możesz ją odtrącić. Zamiast tego zapisała ci dom. W ten sposób nigdy nie dowie się, czy przyjąłś jej gest, czy nie.

Rosalyn wydeła usta. Najwyraźniej słowa Jacka nie trafiły jej do przekonania.

- Możemy bawić się w psychologię i próbować zrozumieć motywy jej działania, tylko nie bardzo wiem, co nam z tego przyjdzie. Nawet nie jestem już pewna, czy w ogóle mnie to interesuje - powiedziała, podnosząc się od stołu. - Zapewne zrezygnuję z tego domu, co, jak sędzę, powinno cię ucieszyć. Tymczasem zachowujesz się tak, jakbym robiła coś złego.

Jack zerwał się jak oparzony.

- To nie tak. Źle mnie zrozumiałaś. Chcę tylko, żebyś wszystko dokładnie przemyślała i nie podejmowała pochopnych decyzji.

- Boisz się, że później mogę zmienić zdanie?

- Częściowo tak - przyznał.

- Zapewniam cię, że zwykłam nie zmieniać raz podjętych decyzji.

Spojrzał jej prosto w oczy, które w tej chwili miały ponury odcień mórz północy. Chyba w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin rzeczywiście postradał zmysły. Skoro Rosalyn jest na tyle niemądra, by w imię niepewnej przyszłości rezygnować z tak wspaniałej posiadłości, po co usiłuje ją przekonać, że powinna tu zostać?

Podniósł czapkę z krzesła i skinąwszy głową na pożegnanie, skierował się do drzwi.

- Zrobisz, jak zechcesz - rzucił przez ramię. Wiedział, że jego słowa musiały ją zaskoczyć, więc

postanowił wyjść szybko, zanim pozbiera myśli i zaleje go kolejnym potokiem kwiecistej wymowy. Po drodze ledwo uniknął zderzenia z Sophie, która właśnie schodziła z góry. Bąknął niewyraźnie „do widzenia” i zniknął za frontowymi drzwiami.

Sprawy przybrały całkiem inny obrót, niż Rosalyn się spodziewała. Wyobrażała sobie, że Jack okaże radość, podziękuje jej za wspaniałomyślność, a może nawet zaproponuje, by wspólnie uczcili tę chwilę. Co mogło sprawić, że nagle się tak zirytował? Przecież nie powiedziała nic, co mogłoby go urazić.

- Poszedł sobie? - W głosie Sophie brzmiało autentyczne niedowierzenie.

Rosalyn wiedziała, że gospodyni oczekuje jakiegoś wyjaśnienia, lecz sama nadal gubiła się w domysłach. Jeszcze przez dłuższą chwilę nie była w stanie wydobyć słowa, a potem ogarnęło ją wzburzenie.

- Kompletnie nie rozumiem mężczyzn - oznajmiła w końcu.

- Masz na myśli Jacka?

Rzuciła Sophie zaskoczone spojrzenie. A kogóż to innego mogła mieć na myśli?

- Nie uwierzysz, ale musiałam go wręcz błagać, żeby wziął ten dom. I wiesz, jakiej doczekałam się odpowiedzi? Niemal mnie oskarżył, że nie doceniam złożonej mi oferty.

Jakby mu się wydawało, że mogę tak po prostu porzucić swoje życie w Chicago, zrezygnować z pracy, awansu, mieszkania...

- Trzeba poznać Jacka, żeby go zrozumieć.

- Naprawdę? Dlaczego to wszystko jest takie skomplikowane? Niby dziedziczyć ten ogromny dom po ciotecznej babce, której nigdy nawet nie widziałam na oczy, bo z jakiegoś powodu znenawidziła moją rodzinę. Tylko żeby go dostać, musiałabym tu spędzić okrągły rok, zajmując się krzakiem róży. Gdyby Idzie choć trochę zależało,

żeby właśnie mnie przypadł ten dom, nigdy nie postawiłaby takiego warunku. Trudno, jakoś to przeżyję. Ale nie jestem w stanie pojąć, dlaczego w chwili, kiedy zgodnie z jej wolą decyduję się przekazać spadek Jackowi, ten nagle dostaje szału i rzuca oskarżenie, że nic mnie to wszystko nie obchodzi! - Zatoczyła ręką łuk w powietrzu.

- Jack nigdy by nie... - usiłowała wtrącić gospodyni, lecz Rosalyn zignorowała jej słowa.

- Fakt, co mnie to wszystko obchodzi! A skoro już się zdecydowałam, nie ma najmniejszego sensu, żebym siedziała tu aż do niedzieli. Zadzwoń na lotnisko i postaram się przełożyć lot na jutro - obwieściła i wymaszerowała z kuchni, zanim Sophie zdążyła się odezwać.

Niestety, wszystkie miejsca w samolocie wylatującym w piątek do Chicago były już zajęte. Mogła ewentualnie skorzystać z czarteru, lecz doszła do wniosku, że zanim podejmie ostateczną decyzję, zadzwoni do biura i sprawdzi, co zaszło w firmie podczas jej nieobecności. Może dowie się czegoś o toczącym się dochodzeniu?

Sophie weszła na palcach do pokoju i wyjaśniwszy, że skończyła na dzisiaj, pożegnała się i zniknęła za drzwiami. Na widok wyraźnie spłoszonej gospodyni Rosalyn poczuła pewne wyrzuty sumienia. Nie powinna była tak wybuchnąć w jej obecności. Nawet nie mogła oczekiwać, że Sophie przyzna jej rację. Prawie się nie znały, a z Jackiem łączyła ją wieloletnia przyjaźń.

W biurze bardzo długo nikt nie podnosił słuchawki, aż w końcu przełączono ją na inny numer wewnętrzny. Po chwili usłyszała głos Judy.

- Saunders and McIntyre, dzień dobry - powiedziała koleżanka.

Odetchnęła z ulgą. Nareszcie porozmawia z kimś znajomym, z kimś, kto ją zrozumie.

- Cześć, Judy. Tu Rosalyn.

- Ach, to ty. - Powitanie zabrzmiało chłodniej niż zwykle.

- Dzwonię, żeby się dowiedzieć, co u was słychać. Sama też mam ci mnóstwo do opowiedzenia o Plainsville, ale zaczekam z tym do powrotu.

- Naprawdę? Umieram z ciekawości. - Beznamiętny ton głosu sekretarki zdawał się zaprzeczać jej słowom.

- Próbowałam przelożyć lot na jutro, ale w Des Moines twierdzą, że nie ma już wolnych miejsc. Mogłabyś dowiedzieć się w Chicago, czy ktoś czasem nie odwołał rezerwacji?

- Chodzi o to, że jestem okropnie zajęta. Ed Saunders przeniósł mnie do biura Boba, bo jego sekretarka jest na zwolnieniu.

- Jak to? Przecież dobrze wie, że wyjechałam tylko na parę dni.

- Mówił, że twój urlop może się przedłużyć.

- To dziwne. - Rosalyn starała się nie okazać zdenerwowania. - Szczególnie teraz, kiedy prosił mnie o pomoc przy organizacji nowego oddziału.

- Słyszałam, że z tym trzeba jeszcze poczekać.

- Słucham?

- To znaczy, nikt tego oficjalnie nie potwierdził, ale podobno firma znalazła się tarapatach.

Rosalyn przymknęła oczy i od razu pomyślała o Jimie.

- Nikt nie wspominał ci o jakimś dochodzeniu?

- Nie.

Odetchnęła z ulgą. To znaczy, że nic nowego się nie wydarzyło. W przeciwnym razie Judy z pewnością by o tym wiedziała.

- Posłuchaj. Jeśli nie uda mi się przelożyć lotu, to może wynajmę samochód. Szkoda, że o tym wcześniej nie pomyślałam. W każdym razie do zobaczenia w poniedziałek rano.

- Skoro tak mówisz... Ale naprawdę na twoim miejscu nie spieszyłabym się tak bardzo. Nic się właściwie nie dzieje, a Ed chyba nie spodziewa się, że tak szybko wrócisz. Tony twierdzi, że może spokojnie prowadzić twoje sprawy, więc naprawdę nie musisz się spieszyć.

- Tylko, szczerze mówiąc, mam już dosyć Plainsville. Na razie, Judy. Do zobaczenia w poniedziałek.

Rosalyn miała nadzieję, że nie dała poznać po sobie zdenerwowania. Coś dziwnego dzieje się w firmie. Szef zachowuje się tak, jakby w ogóle przestała istnieć, a własna sekretarka rozmawia z nią, jakby spadła z księżyca.

Cokolwiek się wydarzyło, pomyślała, dobrze, że już podjęłam decyzję w kwestii spadku. Rozejrzała się po pokoju. Przypomniała sobie, jak niesamowicie właśnie stąd wyglądał wczoraj zachód słońca. Dopiero po południu promienie zaczynały oświetlać ten pokój. Nawet w upalne, letnie dni musi tu panować przyjemny chłód. A przez

otwarte okna do kuchni zapewne wpada orzeźwiający powiew pachnącego rzeką powietrza.

Nerwowo przebierała palcami po blacie przykrytego koronkową serwetą stoliczka, na którym stał telefon. Co cię to obchodzi, skarciła się w duchu, jak tu będzie w lecie? Powiedz sobie raz na zawsze, że to nie twój dom. Należy do człowieka, który z siebie tylko znanych powodów wpędza cię w takie dziecinne rozterki.

Przypomniała sobie twarz Jacka, kiedy przed południem wychodził z kuchni, i aż się roześmiała na samo wspomnienie jego teatralnych gestów. To jakaś tragifarsa. „Zrobisz, jak zechcesz”, raczył powiedzieć, zanim wyszedł niczym bohater scenicznego przedstawienia.

A wszystko tylko dlatego, że nie zamierza zajmować się jakimś głupim krzakiem. Z drugiej strony musiała przyznać, że kiedy jego zaczerwienione policzki, potargane ciemne włosy i gniewnie zmarszczone brwi upodobniły go do małego chłopca, który nie jest w stanie uwierzyć, że spotyka go odmowa, wyglądał niezwykle pociągająco.

Trochę żałowała, że nie poznała Jacka wcześniej, najlepiej w Chicago. Wyobraziła go sobie w dobrze skrojonym, ciemnym garniturze i białej, wykrochmalonej koszuli. Świetna sylwetka, kruczoczarne włosy i duże oczy musiały niejedną dziewczynę przyprawić o zawrót głowy. Trudno, westchnęła. Widać wcześniejsze spotkanie nie było im pisane.

Rozdział 5

Rosalyn zatrzymała wynajęty samochód pod domem i aż jęknęła na widok furgonetki Jacka zaparkowanej na podjeździe. Nie miała najmniejszej ochoty na powtórkę wczorajszej kłótni. No, może nie kłótni, ale przynajmniej scysji, którą wywołał bez najmniejszego powodu.

Ustawiła samochód tak, żeby nie zagradzać mu drogi, i weszła po schodach na werandę. Z samego rana zniosła bagaże do holu na parterze, po czym udała się piechotą do miasta, by wypożyczyć samochód. Po drodze wstąpiła coś zjeść. Co prawda nie chciało się jej wędrować aż do Laverny i zatrzymała się w niewielkiej knajpce bliżej domu, ale i tak zjadła prawdziwe, „domowe” śniadanie, które przywiodło jej na myśl dziecięce lata.

Nie bardzo wierzyła, że w Plainsville mają wypożyczalnię samochodów, ale ku własnemu zaskoczeniu bez trudu znalazła adres w miejscowej książce telefonicznej. Jeszcze wczoraj umówiła się, że rano odbierze auto, i odwołała niedzielny lot. W tej chwili trudy podróży samochodem zdawały się jej niczym w porównaniu z męką, jaką byłoby spędzenie kolejnego dnia w Iowie na tłumieniu sprzecznych uczuć dotyczących spadku. Jeszcze wdałaby się w kolejną żenującą wręcz sprzeczkę z facetem, którego poznała zaledwie trzy dni temu.

Sophie powitała ją w drzwiach z obojętnym uśmiechem. Kiedy poprzedniego dnia Rosalyn zapowiedziała, że rano wyjeżdża do domu, gospodyni nie okazała podniecenia. Zachowała się tak, jakby wieść o tym, że dom przejdzie na własność jej faworyta, niewiele dla niej znaczyła.

- Wyjeżdżasz od razu? - zapytała.

- Raczej tak. Chciałabym zdążyć dojechać na miejsce i zwrócić samochód, zanim zaczną się korki. Potem wpadnę do domu, żeby się odświeżyć, i jeszcze zajrzę do pracy.

- Do pracy? Tak od razu?

Rosalyn uśmiechnęła się. Gdyby Sophie wiedziała, ileż to godzin w tygodniu spędza w biurze!

- Muszę wracać do kieratu - zażartowała, schylając się po walizkę.

- Poczekaj, Jack ci zaraz pomoże. Poszedł na chwilę za dom, żeby coś dla ciebie przygotować.

- Nie trzeba. Dam sobie radę.

Zanim Jack pojawił się na ścieżce, załadowała już rzeczy do bagażnika.

Na jej widok przyspieszył kroku.

- Nie słyszałem, kiedy podjechałaś. Sophie zadzwoniła dziś rano i powiedziała, że wyjeżdżasz.

- Owszem - odparła, myśląc, że gospodyni potrafi świetnie skrywać emocje. Ciekawe, w ile minut po jej odjeździe na stole pojawi się butelka szampana?

Jack odstawił na bok plastikową torbę, którą trzymał w ręku, zdjął z głowy czapkę i zaczął nerwowo obracać ją w dłoniach.

- Wolałbym, żebyś nie wyjeżdżała bez wyjaśnienia pewnych spraw. Wiesz, wczoraj...

- Posłuchaj, Jack. - Rosalyn zmarszczyła brwi. - Nie ma o czym mówić. Ty masz swoje zdanie, a ja mam swoje, więc dalsza dyskusja pozbawiona jest sensu. Podjęłam taką decyzję, jaką uważam za słuszną - oświadczyła, siląc się na uśmiech - i jak sądzę, powinno cię to ucieszyć.

Przymrużył powieki.

- Wiem, tylko to nie ja będę musiał z czegoś zrezygnować. Dlatego rozważ wszystko jeszcze raz i pamiętaj, że masz mnóstwo czasu. Taylor może poczekać. Zastanów się z tydzień lub dwa, zanim do niego zadzwonisz.

Mówił tak żarliwie, że Rosalyn nie miała innego wyjścia, jak ulec jego naleganiom.

- Dobrze - obiecała - ale nie sądzę, żeby to coś zmieniło. Jak tylko wrócę do pracy, zostanę zavalona robotą i nawet nie będę miała czasu na myślenie o Plainsville. Zresztą sam wiesz, jak to jest.

- Pewnie. - Uśmiechnął się niemrawo, po czym nachylił się po plastikową torbę stojącą na ziemi. - Mam tu coś dla ciebie. Zasadziłem ci w doniczce pęd róży. Tylko nie zapomnij go codziennie podlewać. Przynajmniej na razie nie musisz go przesadzać. Wiem, że mieszkasz w bloku i nie masz ogrodu, ale jak się ociepli, spokojnie możesz wystawić ją na balkon. Tylko dopóki się dobrze nie ukorzeni, powinnaś zabierać ją do domu na zimę.

- Dzięki.

Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Przygotowując się do wyjazdu, nawet nie pomyślała o ukochanym krzewie ciotki. Jednak

teraz chłopięcy zapal, z jakim Jack opowiadał o roślinie, prawie ją wzruszył.

Sophie zeszła z werandy i uścisnęła ją na pożegnanie.

- Zaglądaj do nas, kiedy tylko będziesz miała ochotę. Pan Taylor zna mój adres i numer telefonu, a poza tym zawsze możesz mnie znaleźć w książce telefonicznej.

Rosalyn uśmiechnęła się z wdzięcznością, choć wiedziała, że wszyscy troje zdają sobie sprawę, że to mało prawdopodobne, by miała ponownie zawitać do Plainsville. Ustawiała torbę z różą na siedzeniu pasażera i już miała wsiąść do samochodu, kiedy Jack położył jej dłoń na ramieniu. Przestraszyła się, że i on zamierza ją uściskać, ale na szczęście tylko podał jej rękę.

- Nie najlepiej wychodzą mi pożegnania i nie sądzę, żebyś szybko skorzystała z zaproszenia. Ale przemyśl to wszystko jeszcze raz, proszę, oczywiście jeśli znajdziesz czas...

Roześmiał się nerwowo. Wolną dłonią przez cały czas bezwiednie miętosił czapkę.

Nieśmiały uśmiech, nieporadność gestów i ciepło płynące z dłoni Jacka zrobiły na Rosalyn zaskakująco silne wrażenie. Musiał zadać sobie sporo trudu, by specjalnie przyjechać tu rano i przygotować sadzonkę. Nie miała wątpliwości, że przywiązywał dużą wagę do życzenia wyrażonego przez Idę Mae w testamencie i w jakimś niewielkim stopniu zaczynała żałować, że sama nie potrafi się na to zdobyć.

Jeszcze raz podniosła wzrok na rezydencję Petersenów. Z łatwością wyobraziła sobie gromadkę dzieci biegających po przestronnej werandzie i dorosłych, którzy rozsiadłszy się w wyplatanych fotelach, prowadzą jałową pogawędkę o codziennych sprawach. Pewnego dnia zamieszka tu Jack z własną rodziną i podzieli los innych, poczciwych mieszkańców Plainsville. Życie zapewne oszczędzi mu komplikacji i pozwoli czerpać radość z domowego ogniska i kwiatów w ogrodzie.

Poczuła łzy napływające do oczu. Cofnęła dłoń i szybko zajęła miejsce za kierownicą. Jednak kiedy przekręcała kluczyk w stacyjce, oczy miała już całkiem suche. Uspokoila się na tyle, by pomachać Sophie, która stała pośrodku ścieżki. Nie miała jedynie odwagi popatrzeć na Jacka.

Dopiero w momencie, gdy włączyła wsteczny bieg, podniosła wzrok. Zaskoczyła ją żarliwość jego spojrzenia.

Widząc, że się mu przygląda, kiwnął głową na do widzenia i niezdarnie pomachał ręką.

Zdjęła stopę z hamulca i skierowała samochód na jezdnię. Jeszcze raz odwróciła głowę. To dziwne, ale kiedy zobaczyła Sophie i Jacka stojących na podjeździe, z rękami uniesionymi w geście pożegnania, zdała sobie sprawę, że perspektywa powrotu do domu niespodziewanie przestała ją cieszyć.

Mniej więcej w kwadrans po tym, jak wyjechała za rogatki Plainsville, zaczął padać deszcz. Jeszcze rano właściciel wypożyczalni narysował jej mapę trasy, którą miała pokonać. Miała do wyboru dwie drogi. Jedną, podobno bardziej malowniczą, prowadzącą przez miasto, oraz obwodnicę, z której mogła skrócić prosto na autostradę prowadzącą do Chicago, bez konieczności przedzierania się przez Des Moines.

Mimo że w Plainsville zaczynało się chmurzyć, zdecydowała się na drogę przez miasto. Zapewne nie przyjdzie jej więcej znaleźć się w Iowie, więc powinna wykorzystać okazję, by nasycić oczy pięknem tutejszego krajobrazu. Wbrew temu, co dotąd utrzymywała, tak naprawdę wcale nie było jej spieszno do pracy. Poza tym portiernia w firmie czynna jest przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc może zajrzeć do biura o każdej porze dnia i nocy.

Dwupasmowa szosa wiła się pośród rozległych gospodarstw i pól, które niebawem miały pokryć się łąnami zbóż i kukurydzy. Ta część Iowy wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciach, które Rosalyn pamiętała ze szkoły. Liczne wzgórza o łagodnych zboczach powodowały, że droga skręcała to w prawo, to w lewo, odsłaniając coraz to nowe krajobrazy. Monotonny, regularny odgłos wycieraczek, które włączyła, gdy zaczynało kropić, tylko potęgował poczucie spokoju.

Gdyby nie ta ogarniająca ją senność, zapewne wcześniej zdałaby sobie sprawę z grającego jej niebezpieczeństwa. Wielka ciężarówka z przyczepą wyjechała z bocznej, żwirowej drogi około kilometra przed nią.

Rosalyn była przekonana, że tak dużym samochodom nie wolno poruszać się po bocznych drogach, tylko muszą korzystać z autostrad. Ale skoro już się pojawił, pomyślała, muszę zachować większą

ostrożność. Co gorsza, padało coraz silniej i przez zaparowane szyby widoczność stawała się coraz bardziej ograniczona. Rosalyn uchyliła okno i metodą prób i błędów odnalazła na desce rozdzielczej przycisk dmuchawy ciepłego powietrza.

Ulewa połączona z gradobiciem zaciągała tak gwałtownie, że wycieraczki nie nadążały. Ustawiła rozmrażanie szyb na najwyższy poziom i praktycznie przywarła głową do okna, by lepiej widzieć drogę. Sylwetka ciężarówki majaczyła zaskakująco blisko i Rosalyn lekko nacisnęła pedał hamulca. Przez boczną szybę zauważyła, że szosa prowadzi teraz pod górę. Zapewne dlatego ciężarówka jechała tak wolno.

Całe lata prowadzenia samochodu po zatłoczonych ulicach Chicago uczyniły z Rosalyn doświadczoną kierowcę. Mimo to nie znosiła jazdy przy złej pogodzie. Tymczasem, zanim jeszcze udało się jej pokonać wzgórze, nawierzchnię szosy pokryła gołoledź. Zakląła ze złością. Wiosna prawie w pełni, a tu rozpętała się prawdziwa zamieć. Coś takiego może zdarzyć się tylko w Iowie!

Ciężarówka zniknęła za szczytem wzniesienia. Mimo że dmuchawa pracowała na pełnych obrotach, widoczność w samochodzie pozostała mocno ograniczona. Rosalyn zaczynała żałować, że nie poczekała z wyjazdem do niedzieli. Teraz jednak nie miała już wyjścia. Pokonała w końcu wzgórze i z rosnącą prędkością zaczęła zjeżdżać w dół.

Przez ścianę śniegu z deszczem zauważyła nagle, że ciężarówka, która znajdowała się już u stóp wzniesienia, nagle jakby łamie się na pół i wpada w poślizg. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby jej dwie części zaczęły poruszać się w przeciwnych kierunkach. Podczas gdy przyczepa ustawiła się pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do kierunku jazdy, kabina kierowcy zrobiła obrót wokół własnej osi i sunęła wprost na nadjeżdżający samochód Rosalyn.

Pamiętając, że w tych warunkach nagle hamowanie niechybnie zakończy się poślizgiem, Rosalyn raz po raz delikatnie przyciskała pedał. Wiedziała, że nie może teraz ulec panice i przez cały czas panowała nad kierownicą.

Zorientowała się, że niestety kierowca ciężarówki całkiem przestał kontrolować swój pojazd i nie ma najmniejszych szans, żeby zdążył zatrzymać się w porę. Co gorsza, nie mogła nawet zjechać na lewy pas, żeby uniknąć zderzenia, bo był zablokowany przez

ustawioną w poprzek przyczepę. Rozejrzała się bezradnie, podczas gdy ciężka kabina pędziła zygzakiem wprost na nią.

Po prawej stronie szosy dostrzegła kawałek wolnej przestrzeni. Przez strugi deszczu nie była w stanie stwierdzić, czy to pole, czy pochyłe zbocze. Skręciła kierownicę i poczuła, że samochód wpadł w poślizg i posuwa się teraz siłą bezwładu. Kątem oka spostrzegła, że torba z sadzonką róży spada na podłogę i instynktownie przechyliła się na siedzenie pasażera, żeby ją pochwycić.

Moment nieuwagi i straciła panowanie nad kierownicą. Właśnie wtedy nastąpiło uderzenie. Rozpędzona ciężarówka wbiła się z całym impetem w bok jej samochodu, miażdżąc praktycznie tylne siedzenia. Ostatnią rzeczą, jaką Rosalyn zapamiętała, zanim zapadła się w nicość, była plastikowa torba owinięta wokół jej dłoni.

Na placyku przed Centrum Ogrodniczym zatrzymał się policyjny gazik. Jack rozpoznał w kierowcy szeryfa Maca Christensena, z którym niegdyś chodził do jednej klasy. Z jego miny wywnioskował, że musiało się stać coś okropnego. Czyżby ojciec miał następny wylew?

- Jack? - Policjant zdjął z głowy kapelusz. - Masz wolną chwilę?

- Pewnie. - Wskazał dłonią na skład obok sklepu i udał się przodem do wejścia. - Coś się stało?

- Owszem. - Mac szedł tuż za nim. - Ale nie martw się, nie chodzi o nikogo z twojej rodziny. Przepraszam, powinienem był to od razu wyjaśnić.

Jack poczuł się tak, jakby uchodziło z niego powietrze. Co za ulga! Oparł się plecami o tył zaparkowanego w składzie ciągnika.

- To w czym rzecz?

- Znasz niejaką Rosalyn Baines? Pytanie zaskoczyło go kompletnie.

- Tak. A o co chodzi? - zapytał z niepokojem. - Coś jej się przytrafiło? Wyjechała dziś około dziesiątej.

Mac uniósł rękę, jakby chciał uchronić się przed kolejnym pytaniem.

- Poczekaj chwilę. Wszystko po kolei. Po pierwsze, czy to twoja krewna?

- Nie. Ale co się, do cholery, stało?

- Nie wiesz, czy ma jakąś rodzinę? Kogokolwiek? Jack poczuł na czole krople potu. Jeszcze chwila, a zaciśnie palce na szyi policjanta.

- Posłuchaj, Mac, nie mam zielonego pojęcia. Pochodzi z Petersenów. Pewnie jest daleką krewną starego Jacoba Petersena z Walker Lane, ale do diabła...

- Może słyszałeś o kimś w Chicago? Jack pokręcił głową.

- O ile wiem, jest jedynaczką. Jej matka nie żyje. Nic nie wspominała o ojcu. Ale powiedz wreszcie, o co chodzi, zanim zapomnę, że nosisz mundur i ci...

Na twarzy szeryfa zawitał błydy uśmiech.

- Masz szczęście, przyjacielu, że chodziliśmy razem do szkoły, bo musiałbym cię zamknąć za zniewagę oficera na służbie - powiedział, wodząc dłonią po górnej wardze.

- Co się stało?! - wrzasnął Jack. Mac zmarszczył brwi.

- No to wygląda na to, że nie ma nikogo, kto zatroszczyłby się o jej interesy. Właściciel wypożyczalni powiedział, że zatrzymała się w mieście i podała twoje nazwisko, więc...

- Mac, przejdź wreszcie do rzeczy. Szeryf pokręcił głową.

- Zawsze twierdziłem, że powinieneś pracować w dochodzeniówce. W każdym razie, skoro rzeczywiście ją znasz, to chyba mogę ci powiedzieć, że miała poważny wypadek w drodze stąd do Des Moines.

Jack chwycił policjanta za poły koszuli.

- Gdzie ona jest? Czy jest ranna?

- Spokojnie. Zawieźli ją do szpitala Saint Mary's.

Z trudem panował nad nerwami. Może nie doznała poważnych obrażeń? Tak, musi wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

- Jadę do szpitala - powiedział. - Tylko zawiadomię sprzedawcę, że muszę wyjść.

- Podrzucić cię? - zaproponował policjant.

- Świetnie, bo musiałbym wziąć furgonetkę, a może być tu potrzebna - rzucił Jack przez ramię. - Powiedz mi, jak to się właściwie stało? - zapytał, kiedy zajął już miejsce w jeepie.

- Z tego, co się udało ustalić...

- To znaczy, że nie widziałeś się z Rosalyn?

- Jest nieprzytomna, Jack. Dlatego chciałem ustalić, czy ma jakiś krewnych. Na wypadek, gdyby...

- W jakim jest stanie?

- Szczerze mówiąc, nie wiem. - Mac zapuścił silnik i wycofał samochód na ulicę. - Rozmawiałem z sanitariuszami, jak wynosili ją z

karetki. Dali mi jej dowód, a ponieważ samochód pochodził z wypożyczalni, najpierw pojechałem sprawdzić, czy tam coś o niej wiedzą.

- Sanitariusze nic ci nie powiedzieli?

- Mówili, że obrażenia nie zagrażają jej życiu i funkcje życiowe są niezłe, ale wciąż nie odzyskała przytomności.

Jack zamknął oczy, próbując zapanować nad ogarniającą go falą mdłości.

- Rozumiem - powiedział po chwili. - A jak właściwie doszło do wypadku?

- Nie znam szczegółów, ale nie przejmuj się tak bardzo. - Szeryf położył mu dłoń na ramieniu. - Jej samochód zderzył się z ciężarówką, która zapewne miała za ciężki ładunek, bo inaczej po co jechałaby boczną drogą? Kierowca pewnie chciał uniknąć kontroli. Sanitariusze twierdzą, że ta Baines chyba próbowała zjechać do rowu, żeby uniknąć zderzenia. Całe szczęście, że skręciła, bo ciężarówka rzeczywiście uderzyła z całą siłą, ale trafiła w tył wozu.

Jack wyobraził sobie przerażenie w oczach Rosalyn.

- A co cię właściwie łączy z panną Baines?

Policjant najwyraźniej miał zamiar dowiedzieć się wszystkiego. Nie zamilknie, dopóki nie zaspokoi ciekawości, westchnął Jack.

- Mówiłem ci już, że jest córką siostrzenicy starej panny Petersen. To właśnie jej Ida Mae zapisała dom. Przyjechała do Plainsville we wtorek wieczorem.

- Domyślałem się, że to musi być ona! - zawołał Mac. - Sądysz, że się tu przeprowadzi?

Jack wiedział, że policjant nie posiada się z ciekawości, jednak nie miał najmniejszego zamiaru plotkować na temat Rosalyn. Zwłaszcza teraz, kiedy leży nieprzytomna w szpitalu.

- Bóg raczy wiedzieć - mruknął.

Mac musiał zorientować się, że Jack nie ma ochoty na dalsze wynurzenia, bo przestał drążyć temat.

Dosyć szybko dotarli do szpitala. Szeryf zaparkował samochód pod wiatą naprzeciwko wejścia i kiedy znaleźli się w środku, Jack miał okazję docenić znaczenie policyjnego munduru. To nie do wiary, pomyślał, jak obecność funkcjonariusza ułatwia uzyskanie informacji i otwiera kolejne drzwi.

Siostra oddziałowa powiedziała im, że Rosalyn odzyskała przytomność, ale znajduje się w szoku i nie może na razie odpowiadać na żadne pytania. Natomiast nie miała nic przeciwko temu, żeby odwiedził ją ktoś z rodziny, co oznajmiwszy spojrzała na Jacka, który bynajmniej nie zamierzał wyprowadzać jej z błędu.

- Zaczekam w poczekalni - obiecał Mac. - Ale jeśli mnie tam nie zastaniesz, jak wyjdiesz, to znaczy, że dostałem wezwanie i musiałem jechać.

- Dzięki. - Jack przestępował z nogi na nogę, czekając, aż pielęgniarka wskaże mu drogę.

- Nie ma powodu do obaw. - Jego zdenerwowanie aż nadto rzucało się w oczy. - Tylko proszę się nie przestraszyć jej wyglądem, bo to głównie niegroźnie potłuczenia i otarcia naskórka. Skaleczenie na twarzy to ślad po uderzeniu o spód deski rozdzielczej. Muszę powiedzieć, że panna Baines miała dużo szczęścia.

Oddziałowa uchyliła drzwi.

- Na razie położyliśmy ją w jednoosobowym pokoju, ale jeśli okaże się, że nie jest ubezpieczona, będę musiała ją przenieść na salę ogólną - dodała cicho.

- Nie będzie potrzeby. Na pewno ma doskonałą polisę, a jeśli nie, sam pokryję koszty.

- To pana siostra? - zapytała pielęgniarka z uśmiechem. - A może narzeczona?

- Mniej więcej. - Jack wykonał nic nie znaczący ruch głową. - I bardzo pani dziękuję.

- Tylko nie dłużej niż pięć minut, bardzo proszę. Poczekał, aż oddziałowa odejdzie. Potrzebował chwili, żeby wziąć się w garść. Przecież Rosalyn nie może zobaczyć, jak bardzo jest roztrzęsiony.

Leżała na plecach, z głową odwróconą w kierunku okna, tak że nie wiedział, czy przypadkiem nie zapadła w sen. Do prawej ręki miała podłączoną kroplówkę. Na niewielkim ekranie monitora umieszczonego nad łóżkiem regularnie zapalały się żółte i czerwone światełka. Co kilka sekund urządzenie wydawało cichy, piszczący dźwięk.

W obawie, że jego nagłe pojawienie się może ją przestraszyć, Jack zatrzymał się w drzwiach i cicho zakasłał.

Chyba go nie usłyszała, bo nawet się nie poruszyła. Spróbował jeszcze raz. Po chwili głowa na poduszce powoli odwróciła się w jego kierunku.

- Jack, to ty?

Głos Rosalyn był schrypnięty i słaby. Jej bladą jak ściana twarz okalały splątane, matowe kosmyki przepoconych rudych włosów, a wokół oczu malowały się fioletowe sińce, tak nienaturalnie, jakby ktoś wymalował je flamastrem. Jack poczuł dławienie w gardle i z trudem przełknął ślinę. Szeroka, czerwona pręga przecinała policzek Rosalyn od zewnętrznego kącika lewego oka do ust, a na szyi malował się wielki, fioletowoniebieski siniec.

Lewą rękę podwieszoną miała na temblaku. Leżała przykryta kocem do połowy, a spod niebieskiej, szpitalnej koszuli wystawały opatrunki.

Usta Jacka zadrżały niepokojąco. Wiedział, że Rosalyn czeka, aż się odezwie, ale nie był w stanie wydobyć głosu.

- Aż tak kiepsko wyglądam? - zapytała szeptem, zmuszając się do uśmiechu.

- No, raczej nie poznaliby cię teraz w biurze - wydusił w końcu.

Z ust Rosalyn dobył się ni to śmiech, ni kasznięcie.

- Nie rozśmieszaj mnie - poprosiła, z trudem łapiąc powietrze. - Moje żebra... - Uniosła rękę z podłączonym wenflonem i wskazała na lewy bok.

- Chyba nie powinnaś dużo mówić. - Jack rozejrzał się po pokoju i przystawił sobie krzesło do łóżka. Wzruszenie znowu odebrało mu głos. Wyglądała tak żałośnie jak zagubione, porzucone przez wszystkich dziecko.

Jak bardzo chciałby teraz wziąć ją w ramiona i usłyszeć bicie jej serca. Albo przynajmniej ogrzać dłońmi jej rękę. Sam nie rozumiał dlaczego. Przecież zna ją zaledwie od przedwczoraj.

- Mac, to znaczy nasz szeryf, przyjechał do mnie i opowiedział, co się stało.

Rosalyn wpatrywała się w niego oczami, które na tle bladej cery wydawały się jeszcze większe niż zwykle. Otoczone siną obwódka, przybrały teraz trudną do określenia barwę.

Nie odezwała się, więc Jack opowiadał dalej:

- Pytał, czy masz jakichś krewnych. To pewnie na wypadek, gdyby potrzebny był zabieg.

Przeraził się, że może niepotrzebnie ją przestraszył, ale Rosalyn leżała spokojnie, nie spuszczać z niego pozbawionego wyrazu spojrzenia.

- Nie wiedziałem, co mu powiedzieć - dodał nieco głośniejszym głosem. - To znaczy wiem, że twoja mama nie żyje, ale nie wspominałaś nic o ojcu ani o reszcie rodziny.

Zamrugła powiekami i przeniosła wzrok na ścianę.

- Mój ojciec... - wyszeptała prawie bezgłośnie i zamknęła oczy.

Przeraził się, że znowu straciła przytomność, ale po chwili uniosła powieki. Rzuciła mu krótkie spojrzenie i znowu utkwiała oczy w jakimś punkcie na ścianie.

- Nie mam pojęcia, gdzie on przebywa. Nie rozmawiałam z nim od... pogrzebu mamy. - Przerwała i znowu przymknęła powieki. - Ostatnio mieszkał gdzieś w Nowym Jorku.

- Nie martw się. Wyjaśnimy to później. - Delikatnie pogłaskała wierzch jej dłoni.

Kiedy odwróciła głowę, dostrzegł, że oczy ma pełne łez. Zagryzła wargi i zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Żałosne, prawda?

Zmarszczył brwi, próbując zgadnąć, do czego zmierza.

- Nie ma kogo zawiadomić - szepnęła, oddychając z wysiłkiem. - Żadnych bliskich, żadnej rodziny.

Odniósł wrażenie, że zaraz pęknie mu serce. Patrzył na bladą, posiniaczoną twarz Rosalyn, drżący podbródek i łzy mimowolnie spływające po policzkach, i nagle uświadomił sobie, że właśnie się zakochał.

Rozdział 6

Drzwi otworzyły się cicho i w progu stanął młody mężczyzna w okularach i białym fartuchu.

- Dzień dobry. Jestem doktor Barnett - przedstawił się i z uśmiechem zaprosił Jacka na korytarz.

Gdyby było naprawdę źle, nie miałyby tak wesołej miny, pomyślał Jack, ściskając dłoń lekarza.

- Jack Jensen - przedstawił się.

Lekarz przyjrzał się mu z zainteresowaniem.

- Jest pan spokrewniony z Jensenami z Hutton Side Road?

- Tak, to mój brat z rodziną.

- Więc to pewnie pan prowadzi Centrum Ogrodnicze w mieście?

- Wycelował w Jacka palec wskazujący. - Moja żona uwielbia to miejsce. Ciągle mi każe powiększać klomby w ogrodzie, a mnie wciąż brakuje czasu.

- Ktoś od nas mógłby się tym zająć - zaproponował Jack, starając się nie okazać zniecierpliwienia.

- Dzięki, choć z drugiej strony trochę ruchu na świeżym powietrzu pewnie dobrze mi robi. Jest pan spokrewniony z panną Baines? - zapytał, niespodziewanie zmieniając temat, jakby właśnie sobie przypomniawszy, po co tu przyszedł.

Znowu to samo, westchnął w duchu Jack.

- Nie, niezupełnie - zaczął, lecz lekarz nie dał mu skończyć.

- Przepraszam, zapomniałem. Siostra Henniger mówiła mi przecież, że jest pan narzeczonym pacjentki. Tak?

Już otworzył usta, żeby wyjaśnić nieporozumienie, ale doktor Barnett nie dał mu dojść do słowa.

- Muszę panu powiedzieć, że miała dużo szczęścia. Gdyby nie te kilka centymetrów...

Jeszcze chwila i albo okręcę mu ten stetoskop wokół szyi, albo zacznę wyć, pomyślał Jack.

- Jakie są rokowania? - zapytał.

Coś w jego głosie musiało zdradzić, że zaczyna tracić cierpliwość, bo lekarz wyraźnie się zmieszał.

- Przepraszam za te dygresje, ale niestety często zdarza mi się zbaczać z tematu. Panna Baines ma złamane dwa żebra i zwichnięty obojczyk, który już nam się udało nastawić. Poza tym stwierdziliśmy niegroźne pęknięcie kości lewej stopy i lekkie wstrząśnienie mózgu,

lecz na szczęście uraz głowy nie jest poważny. Oczywiście musi pozostać pod obserwacją przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Nic nie wskazuje na to, żeby doszło do wewnętrznych obrażeń. Za dwa, trzy dni wypuścimy ją do domu, ale przez jakiś czas nie powinna wracać do pracy. No i na razie musicie zachować abstynencję - zakończył konfidencjonalnym szeptem i mrugnął do Jacka porozumiewawczo.

Gdyby nie to, że drzwi do pokoju Rosalyn były zamknięte, Jack pewnie zapadłby się pod ziemię ze wstydu. Że też jedno niewinne kłamstwo może doprowadzić do tak niezręcznych sytuacji.

- Właściwie to... - Postanowił wyjaśnić lekarzowi sytuację, ale właśnie pojawiła się pielęgniarka z plastikową torbą w dłoni.

- Doktorze - powiedziała - mam wrażenie, że panna Baines chciałaby mieć to przy sobie.

Doktor Barnett zajrzał do torby i popatrzył na Jacka.

- Kiedy sanitariusze i strażacy rozcięli karoserię, żeby ją wydostać, pana narzeczona miała palce tak mocno zaciśnięte na tej torbie, że musieli zabrać ją do karetki. To chyba coś bardzo dla niej ważnego.

Wyciągnął dłoń przed siebie, by Jack też mógł obejrzeć zawartość torby. On zaś nie musiał patrzeć, by wiedzieć, co zobaczy. Przecież sam zapakował tę sadzonkę.

- Podobno pochyliła się, żeby złapać torbę, i właśnie wtedy straciła panowanie nad kierownicą - ciągnął lekarz. - Paradoksalnie, właśnie ten błąd uratował jej życie. Gdyby samochód się nie obrócił, ciężarówka uderzyłaby prosto w siedzenie kierowcy.

Jack odwrócił twarz, by ukryć wrażenie, jakie zrobiła na nim ta ostatnia wiadomość.

- Może napije się pan kawy? - Pielęgniarka położyła mu dłoń na ramieniu.

Odetchnął z ulgą, kiedy w końcu znalazł się sam. Ściskając w palcach styropianowy kubek ze szpitalnego barku, zastanawiał się nad rolą, jaką przyszło mu teraz grać. Rolą nie tylko opiekuna, ale i narzeczonego panny Baines.

Wróciła myślami do wypadku. W uszach wciąż miała potworny huk uderzenia i szczęk pękającej karoserii. Potem zapadła ciemność. Zaczęła przeżywać wszystko od nowa. Wydawało się jej, że zdjęta

paraliżującym strachem znów siedzi za kierownicą, a ciężarówka sunie wprost na nią. Wtedy właśnie wszedł Jack.

Stąpił bezgłośnie, żeby przypadkiem jej nie przestraszyć, a spojrzenie miał łagodne jak nigdy przedtem. I najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. A kiedy w pewnej chwili przyznała, że nie ma jednej osoby na świecie, do której mogłaby się zwrócić, z jego oczu biła taka jasność, jakby właśnie przeżywał objawienie.

Tylko że potem ktoś otworzył drzwi i Jack wyszedł, a ona została sama, próbując zgadnąć, co sprawiło, że spędził tyle czasu przy jej łóżku, zmartwiony niczym ktoś z najbliższej rodziny. Musi przyznać, że było jej naprawdę błogo, kiedy po prostu siedział tu obok i gładził delikatnie jej dłoń. Nie poczuła nawet, kiedy znowu zapadła w sen. Ocknęła się na dźwięk otwieranych drzwi.

- Pamięta mnie pani? Jestem Cathy Henniger - przedstawiła się pielęgniarka, podchodząc do łóżka. - Proszę spojrzeć, co pani przyniosłam. - Uniosła w górę białą plastikową torbę.

Rosalyn spróbowała usiąść, ale ból natychmiast wykrzywił jej twarz.

- Co też pani wyrabia! - skarciła ją pielęgniarka. - Przynajmniej przez tydzień nie powinna pani sama nic robić.

Ciekawe, jak ona sobie to wyobraża? Chyba że pozwolą mi tu zostać, pomyślała Rosalyn.

- Co pani ma w tej torbie? - zapytała, kiedy ból nieco zelżał.

- Tę roślinę, którą miała pani w ręku, kiedy wyciągnęli panią z samochodu.

- Jaką roślinę?

Siostra rozchyliła torbę, a Rosalyn wyciągnęła szyję, żeby obejrzeć zawartość.

- Ach, to! - westchnęła i opadła z powrotem na poduszkę.

Rozczarowana jej brakiem entuzjazmu, pielęgniarka mimo to umieściła doniczkę na parapecie.

- Proszę się nie martwić, jeszcze nie wyszła pani z szoku. Ale kiedy dojdzie pani do siebie, na pewno ucieszy się pani, że sanitariusze nie zapomnieli o kwiatku - powiedziała na odchodnym. - Aha, pani narzeczonego poszedł na chwilę napić się kawy, ale niedługo wróci.

- Narzeczonego? Przecież ja nie mam...

Drzwi za pielęgniarką zamknęły się, zanim zdążyła dokończyć zdanie. Po chwili rozległo się ciche pukanie i ktoś znowu nacisnął na klamkę. W progu pojawił się Jack. Mój narzeczonemu, pomyślała i gdyby nie lęk przed bólem, zapewne wybuchłaby śmiechem. Więc tylko skinęła głową w stronę krzesła, dając mu znak, by usiadł.

- Lekarz mówi, że za kilka dni będziesz mogła już wstać - powiedział.

- To dobrze.

Widziała, że wciąż jest zdenerwowany. Z braku czapki, którą zwykł miętosić w takich sytuacjach, bezwiednie bębnił palcami o uda. Rosalyn nie mogła oprzeć się pokusie, żeby wprawić go w jeszcze większe zakłopotanie.

- Pielęgniarka uważa, że jesteś moim narzeczonemu. Zaczerwienił się.

- Serio?

Milczała, więc nie miał wyjścia, tylko zaczął plątać się w wyjaśnieniach.

- To chyba moja wina, bo nie wyprowadziłem jej z błędu. Gdybym powiedział, że jestem tylko znajomym, tak łatwo by mnie tu nie wpuścili.

- A już myślałam, że przyleciał ktoś z Chicago.

Jack zaczerwienił się jeszcze bardziej i Rosalyn zaczęła żałować swojego niewyparzonego języka. Dlaczego nie potrafi powstrzymać się od zbędnych uwag?

- Myślałam, że może powiadomiono kogoś z biura - spróbowała naprawić błąd. - Mam tam kilkoro przyjaciół, a moja sekretarka...

Dobrze wiedziała, że jej tłumaczenia nie są w stanie nikogo przekonać. A w ogóle, skąd ktokolwiek w Chicago miałby już wiedzieć o wypadku.

- Właśnie w tej sprawie wróciłem. Może chcesz, żebym dał komuś znać? Chyba że wolisz zrobić to później osobiście.

Dać komuś znać? To dobre pytanie. Kogo właściwie miałby zawiadomić? Szefa? Wystarczy, że później zadzwoni do jego sekretarki. Judy? Przecież łączą je tylko stosunki służbowe i prawie nigdy nie kontaktują się prywatnie. Jima Naismitha? Jest ostatnią osobą, którą chciałaby teraz zobaczyć.

- Właściwie - odezwała się w końcu - powinnam tylko poinformować szefa, ale to może poczekać.

Kiedy uniosła głowę, miała wrażenie, że Jack przygląda się jej z niemym współczuciem. Tego tylko brakuje, żeby zaczął się nade mną litować, pomyślała z irytacją.

- Nie ma sensu nikogo niepotrzebnie martwić, bo mam nadzieję, że i tak za kilka dni będę już w domu.

Skinął głową, uderzył dłońmi w uda i podniósł się z krzesła.

- Sądzę, że powinienem już iść, bo musisz odpocząć.

- Zamilkł, jakby się wahał przez chwilę, a potem podjął:

- Problem w tym, że, jak powiedział lekarz, przez jakieś dwa tygodnie będziesz musiała mieć kogoś do pomocy.

Wiem, że nie możesz się już doczekać powrotu do Chicago - robił co mógł, żeby ukryć napięcie - ale pozwól, że coś ci zaproponuję. Mogę poprosić Sophie, żeby się przeprowadziła na trochę do domu Idy Mae i pomogła ci odzyskać siły.

Podniósł rozpostartą dłoń, jakby chciał powstrzymać jej odpowiedź.

- Widzę, nie przypadł ci mój pomysł do gustu, ale proszę, zastanów się jeszcze. Chyba że masz kogoś w Chicago, kto mógłby ci pomóc. - Skierował się ku drzwiom. - A tak przy okazji - dodał na zakończenie - to lekarz twierdzi, że ta sadzonka pewnie uratowała ci życie. Tylko dzięki temu, że nachyliłaś się, żeby ją podnieść, udało ci się uniknąć bezpośredniego uderzenia. - Wskazał głową w kierunku doniczki na parapecie. - W każdym razie pomyśl o tym, o czym mówiłem. Zajrzę do ciebie jutro.

Rosalyn poczuła pulsowanie w skroniach. Ma nabierać sił w domu Idy Mae? Spędzić kolejne dwa tygodnie w Plainsville? Spojrzała na kolczaste patyki sterczące z doniczki na parapecie. Czy to możliwe, że zawdzięcza życie róży Iowy? Sama nie wiedziała już, czy ma się śmiać, czy płakać.

Dopiero w poniedziałek, trzy dni po wypadku, poczuła się na tyle dobrze, by zadzwonić do firmy. Mimo że prawie ciągle spała, zdążyła się zorientować, że szpital nie należy do miejsc, w których można się choć trochę zrelaksować.

Ktoś bez przerwy wchodził do pokoju, żeby posprzątać, przynieść posiłek, zmierzyć temperaturę, zbadać dno oka albo przynajmniej zerknąć na kartę przy łóżku. Mimo to czuła się coraz lepiej. Tępy ból, który rozsadzał jej głowę od momentu odzyskania przytomności, nareszcie stał się mniej dokuczliwy. W dodatku, po wielu nieudanych

próbach, udało jej się w końcu opanować metodę samodzielnego podnoszenia się na łóżku.

Poczekwała na moment, kiedy była pewna, że Ed wrócił już z lunchu, i zadzwoniła do Chicago. Cierpliwie zaczekała, aż szef skończy przemowę pełną żalu i troski o jej zdrowie. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że potrafi doskonale zachować się w każdej sytuacji, lecz mimo to pewnie uwierzyłaby w szczerść jego słów, gdyby nie przytłumiony odgłos klawiszy komputera w słuchawce, co świadczyło, że jednocześnie zajmuje się czymś innym.

- Powtórz jeszcze raz, jak się nazywa szpital.

- Saint Mary's. Ale posłuchaj, naprawdę nie ma sensu, żeby tu ktokolwiek przyjeżdżał. Za kilka dni wracam do Chicago.

- No tak. Wiesz, rzeczywiście ten tydzień mam bardzo zajęty. Wciąż trwa dochodzenie.

- Udało się coś ustalić?

- Chyba ktoś się wygadał, bo całe biuro aż huczy od plotek. - Urwał na moment. - Mam nadzieję, że nie wspominałaś nikomu, o czym mówiliśmy przed wyjazdem.

- Oczywiście, że nie. - Przypomniała sobie rozmowę z Judy i własną wzmiankę o dochodzeniu. - Ale wiesz przecież, że w firmie nic się nie ukryje. Ktoś coś podsłucha i afera gotowa.

- Pewnie masz rację - odparł bez przekonania. - A jeśli chodzi o twój powrót, to czy przypadkiem nie wypisują cię za wcześnie? Czujesz się na tyle dobrze, żeby przyjść do pracy?

Rosalyn zawahała się. Co prawda czuła się o wiele lepiej, ale przecież większość czasu spędzała w łóżku. Natomiast każda wyprawa do łazienki, oddalonej o zaledwie kilka metrów, wciąż stanowiła nie lada problem. Już po kilku krokach zaczynało się jej kręcić w głowie.

- Pewnie nie będę od razu na pełnych obrotach, ale z pomocą Judy uda mi się wywiązać przynajmniej z części obowiązków.

- Rozumiem - odezwał się po chwili - tylko zapomniałem ci powiedzieć, że musiałem dać Judy zastępstwo u Boba. Do końca miesiąca.

Znowu poczuła pulsowanie w skroniach.

- Ed, dzwoniłam do Judy na dzień przed wypadkiem. Możesz mi powiedzieć, co ona robi u Boba? I dlaczego nikt mnie nie zapytał o zdanie?

W słuchawce zapadła cisza.

- Masz absolutną rację, że powinienem był cię zawiadomić - przyznał po namyśle. - Tylko trudno mi było o tym mówić. Wystąpiły pewne nowe, dość specyficzne okoliczności...

- Jakie okoliczności masz na myśli? - Dudnienie w skroniach stawało się nie do zniesienia.

- Nie denerwuj się. Miałaś okropny wypadek i jesteś daleko od domu. Rozumiem, że się niepokoisz, ale...

- Ed! Westchnął głęboko.

- Skoro chcesz wiedzieć, to mamy powody, żeby podejrzewać, że Judy spotykała się z Jimem poza biurem i przekazywała mu informacje.

Rosalyn przymknęła powieki i wsparła głowę o poduszkę.

- Przecież Judy jest szczęśliwą młodą mężatką.

- Być może, ale według danych z portierni zostawała w biurze po godzinach dokładnie w te same dni co Naismith, a jak sprawdziłem, nie miała wtedy żadnych dodatkowych zajęć.

- Rozmawiałeś z nią na ten temat?

- Oczywiście. Tłumaczyła się, że musiała nadrobić zaległości w pracy dla ciebie.

Słowa szefa przyprawiły Rosalyn o suchość w ustach. Dobrze wiedziała, że sekretarka nie miała aż tylu obowiązków, by musiała pracować po godzinach. Poza tym Judy wołała zrezygnować z lunchu, żeby tylko na czas wyjść z firmy. Droga do domu zajmowała jej prawie godzinę i zawsze spieszyła się, żeby zwolnić opiekunkę do dziecka.

- Rosalyn? - W głosie Eda dało się wyczuć wahanie. - Jesteś tam jeszcze?

- Tak. - Z trudem udawało się jej utrzymać słuchawkę. - Prawdę mówiąc, nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Ed odchrząknął.

- Skoro już mamy okazję rozmawiać, to wprowadzę cię nieco w to, co się u nas dzieje. Co prawda dochodzenie jeszcze się nie skończyło, ale już wiadomo na pewno, że na rachunkach prowadzonych przez Naismitha jest sporo dziwnych transakcji. W każdym razie musieliśmy go zawiesić w pełnieniu obowiązków. Teraz sprawdzamy jego konta z funduszy powierniczych.

Rosalyn zacisnęła dłoń na poręczy łóżka. Fundusze powiernicze dawały doradcom finansowym prawo swobodnego inwestowania pieniędzy klientów praktycznie bez ich zgody. W takich przypadkach nie ma potrzeby uzyskania podpisu pod dyspozycją przelewu. Transakcje właściwie odbywają się poza wszelką kontrolą i stwarzają mnóstwo okazji do nadużyć.

- Macie jakieś konkretne dowody przeciw Jimowi?

- Dostatecznie dużo, żeby zastanowić się, czy nie zawiadomić policji.

Rosalyn nie wierzyła własnym uszom.

- Ale przecież musi być jakieś wyjaśnienie.

Ed Saunders wyraźnie zaczynał się niecierpliwić.

- Wierz mi, że badaliśmy tę sprawę pod każdym możliwym kątem. Naprawdę lepiej zrobisz, trzymając się od tego wszystkiego z daleka. Pomyśl o własnej karierze.

Aż za dobrze zrozumiała aluzję.

- Dam ci znać, co postanowiłam - rzekła po chwili ochrypłym głosem. - Mam tu swojego laptopa, więc może uda mi się załatwić połączenie z biurem.

- Świetnie. I zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała. Może ci wysłać zaliczkę na pokrycie kosztów leczenia?

- Dziękuję, Ed, ale mam przecież ubezpieczenie. I przepraszam, ale muszę już kończyć, bo właśnie przyszedł lekarz. Do widzenia. - Opuściła słuchawkę na widełki i bezsilnie opadła na łóżko.

Zamknęła oczy, jakby chciała się odciąć od całego świata. Po co w ogóle przyjeżdżała do Plainsville? Gdyby nie ten przeklęty wyjazd, nie przytrafiłby się jej żaden wypadek, byłaby w biurze, żeby stanąć w obronie Judy, i miałyby szanse zadbać o własną opinię. A co najważniejsze, nie poznałaby żadnego Jacka Jensena, którego wbrew sobie samej zaczynała teraz darzyć uczuciem. O ileż byłoby lepiej, gdyby zrzekła się domu, nie wyjeżdżając z Chicago, i nie dała się wciągnąć w całe to zamieszanie.

Roześmiała się z goryczą. Zaczynam przypominać bohaterkę jednej z tych mydlanych oper, pomyślała. Niestety, w prawdziwym życiu po fali nieszczęść nie zawsze następuje szczęśliwe zakończenie.

Jack nie przestawał spoglądać na zegarek. W sklepie od rana panował ruch, a w dodatku jeden ze sprzedawców zachorował i całe przedpołudnie musiał sam spędzić za ladą. Potem zadzwonił Lenny z

wiadomością, że popsuła się furgonetka i musieli ją ściągać z Goshen Road do warsztatu.

Późnym popołudniem doszedł do wniosku, że nic gorszego nie może mu się dziś już przydarzyć, ale zaraz przypomniał sobie, że dotąd nie wie, co postanowiła Rosalyn. Obiecała wczoraj, że jeszcze dzisiaj, po rozmowie z szefem, podejmie decyzję w sprawie wyjazdu.

Nie miał w sobie żyłki hazardzisty, ale w tej chwili był w stanie założyć się, że będzie chciała wracać do Chicago. Wiadomo, taki typ. Urodzona i wychowana w mieście, na pewno nie zechce tu zostać. Przekonywał się w duchu, że musi się z tym pogodzić i przestać snuć marzenia o kobiecie, która w niespełna tydzień jakimś cudem zawróciła mu w głowie.

Po długich rozważaniach doszedł nawet do wniosku, że niezależnie od tego, co postanowi Rosalyn, on sam znajdzie się na przegranej pozycji. Jeśli Rosalyn postanowi wrócić do Chicago i przekaze mu spadek, dom Petersenów już zawsze będzie mu się z nią kojarzył. Co z tego, że wejdzie w posiadanie rezydencji, skoro mając stale przed oczami jej obraz, nie będzie w stanie się cieszyć?

Z drugiej strony, gdyby Rosalyn zamieszkała w Plainsville, a jemu z czasem udało się ją przekonać, że pełnię szczęścia zdoła osiągnąć jedynie u jego boku, czy nie zacznie podejrzewać, że nie kieruje nim prawdziwe uczucie, tylko chęć wejścia w posiadanie rezydencji?

Weź się w garść, chłopie, skarcił się w duchu. Życie z pewnością oszczędzi ci tego dylematu.

Kiedy o trzeciej udało mu się pożyczyć samochód od ojca, a w sklepie pojawił się kasjer zatrudniony na drugą zmianę, Jack zdecydował, że nie może już dłużej odkładać wizyty w szpitalu.

Zanim wyszedł, kupił jeszcze bukiet świeżych irysów - i tulipanów. Codziennie zanosił Rosalyn pęk kwiatów, żeby choć trochę umilić jej pobyt w szpitalnym łóżku.

Kiedy w końcu wszedł na oddział, wybiła czwarta. Z każdym krokiem ogarniał go coraz większy niepokój. Był już prawie przy drzwiach, kiedy z pokoju Rosalyn wyszedł Mac.

Policjant trzymał w jednym ręku niewielki notatnik, a w drugim długopis. Nie zapięta skórzana kurtka odsłaniała służbowy mundur. Na widok Jacka roześmiał się wesoło.

- Cześć. Co to, masz dzisiaj wolne?

- Zrobiłem sobie przerwę, żeby zajrzeć do Rosalyn. Mac przyjrzał mu się z uwagą.

- Ach tak? Muszę ci powiedzieć, że wygląda dziś o całe niebo lepiej niż w piątek.

Policjant znacząco spojrział na kwiaty. Najwyraźniej chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ugryzł się w język.

- Wypytywałeś Rosalyn o wypadek?

- Tak. Kierowca ciężarówki dalej nie odzyskał przytomności i w ogóle nie wiadomo, czy z tego wyjdzie. Musiałem więc spisać jej zeznania, żeby ustalić przebieg wypadku. A ty jesteś tu... w interesach czy prywatnie?

Jack roześmiał się.

- Subtelność nigdy nie była twoją mocną stroną, Mac. Ale jeśli chcesz wiedzieć, to po trosze z obu wymienionych przez ciebie powodów.

Mac uśmiechnął się pod nosem.

- Niezwykła z niej kobieta.

- Co przez to rozumiesz?

- Opowiedziała wszystko z największą dokładnością. Co prawda była blada jak ściana i chwilami drżał jej głos, ale nie uroniła ani jednej łzy. No i ma dobrą pamięć do szczegółów. Ludzie czasami przypominają sobie niektóre rzeczy dopiero po wielu tygodniach od zdarzenia, tymczasem ona wszystko pamięta. Może po prostu ciągle rozpamiętuje ten wypadek.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Jack tylko wzruszył ramionami. Świetnie rozumiał, co Mac ma na myśli. Rosalyn Baines jest rzeczywiście niezwykłą osobą. Chwilami wręcz żałował, że aż tak niezwykła. Gdyby, na przykład, była bardziej bezbronna, może chętniej zaakceptowałaby kogoś u swojego boku...

- W każdym razie - ciągnął Mac - mam już większość potrzebnych informacji. Daj mi znać, zanim wyjedzie do Chicago, na wypadek, gdyby trzeba było jeszcze coś wyjaśnić. No i trzymam za ciebie kciuki.

- Słucham? - nastroszył się Jack. Policjant roześmiał się od ucha do ucha.

- Nie wygłupiaj się. Przecież z daleka widać, że się zakochałeś.

Poklepał przyjaciela po ramieniu i ruszył przed siebie korytarzem, poprawiając po drodze spodnie. Jack wpatrywał się w plecy szeryfa jak urzeczony.

- Też mi coś! - mruknął i z wahaniem położył dłoń na klamce.

Może zamiast wchodzić do środka, powinien zwyczajnie zadzwonić? Rozmowa telefoniczna byłaby szybsza i mniej bolesna, a co więcej, Rosalyn nie miałaby okazji zobaczyć jego reakcji na wieść o tym, że wraca do domu. Zdjął rękę z klamki, zrobił zdecydowany krok w tył i wpadł prosto na pielęgniarkę.

- Strasznie pana przepraszam. Przez te szpitalne buty rzeczywiście poruszamy się bezszelestnie. Powinnam była pana ostrzec.

Jack zdjął stopę z czubka pantofla siostry Henniger.

- Jaki piękny wiosenny bukiet! - zawołała na widok kwiatów. - Zaraz przyniosę wazon.

Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, była już w połowie drogi do pokoju pielęgniarek.

Postawiony w sytuacji bez wyjścia, otworzył wreszcie drzwi. Rosalyn siedziała w łóżku, wsparta o poduszki. Wcale nie wyglądała tak dobrze, jak twierdził Mac. Wyglądała wręcz fantastycznie.

Lśniące, miedziane włosy, rozsypane bezładnie na poduszce, otaczały jej głowę niczym płomienna aureola. Sińce wokół oczu i na policzku nabrały teraz koloru sepji, dzięki czemu twarz Rosalyn przywodziła na myśl piękną, starą fotografię. Kiedy odwróciła twarz w kierunku gościa, w jej oczach odbiły się jasne promienie popołudniowego słońca.

- Jack? - powiedziała zmienionym głosem, w którym brzmiało nie tylko zaskoczenie, ale coś jeszcze, czego Jack nie był w stanie określić.

Jakaś duszna nuta, która czasami dobywa się z kominka, jeśli rzucić w ogień cedrowe szczapy...

Jakże była dziś inna od tej nieszczęsnej istoty, która w piątek spoglądała na niego szklanym wzrokiem. Nawet wczoraj nie wyglądała jeszcze tak dobrze. Tymczasem teraz rzeczywiście sprawiała wrażenie, jakby mogła zaraz wrócić do pracy. Najwyraźniej panowała nad sytuacją.

Jack poczuł gorycz rozczarowania. W piątek czuł się niczym rycerz walczący o życie wybranki, a dzisiaj jest już tylko zwykłym ogrodnikiem z Plainsville.

- Jak się czujesz? Wyglądasz znakomicie. Rozchyliła w uśmiechu usta, odsłaniając rząd białych zębów. Brzoskwinie i kość słoniowa. Następne kolory, które przyjdzie mu wspominać w długie, samotne, zimowe wieczory.

- Gorący prysznic jest w stanie zdziałać cuda. - Rosalyn nieznacznie wzruszyła ramionami, okrytymi jedynie lekko spłowiałą, błękitną tkaniną szpitalnej koszuli. Dłonią wskazała Jackowi krzesło. - Usiądź, proszę.

Nie spuszczać oczu z jej twarzy, przystawił krzesło do łóżka. Natarczywość jego spojrzenia musiała być widoczna, bo Rosalyn zarumieniła się i odwróciła głowę do okna.

- Na korytarzu spotkałem szeryfa - wyjąkał. - Prosił, żebym dał mu znać, kiedy wracasz do Chicago, bo może będzie chciał zadać ci jeszcze parę pytań.

Podniosła na Jacka oczy, w których teraz płonęły szafiry, niczym utrwalone odbicie wiosennego nieba. Natychmiast pomyślał o Karaibach. Morze musi mieć tam dokładnie ten odcień. A może to barwa laguny gdzieś na Oceanie Indyjskim? Nie potrafił oderwać od niej wzroku.

- Przemyślałam twoją propozycję - odezwała się w końcu.

Nieznacznie skinął głową, jakby się bał, że może ją spłoszyć.

- Tak?

- I doszłam do wniosku, że jest trochę racji w tym, co mówisz. Podobno mają mnie jutro wypisać. Dzisiaj rozmawiałam z szefem i odniosłam wrażenie, że... dadzą sobie beze mnie radę.

Jack starał się nadażyć za sensem jej słów. Kiedy wreszcie dotarło do niego ich znaczenie, poczuł, jak nagle opuszcza go całe napięcie.

- To świetnie! - zawołał radośnie. - To bardzo rozsądna decyzja.

Podniósł się z krzesła i zaczął niecierpliwie przestępować z nogi na nogę.

- Lenny powiedziałby, że to super - dodał i zachichotał jak dziecko.

Rosalyn śledziła uważnie każdy jego ruch, aż w końcu nie zdołała opanować uśmiechu.

- Więc gdybyś mógł zawiadomić Sophie...

- Słucham? Sophie, ach tak, oczywiście. Już pędzę.

Rzucił się do wyjścia, zderzając się w progu z pielęgniarką, która właśnie przyniosła wazon z kwiatami. Woda chlusnęła na podłogę, jednak Jack nawet się nie zatrzymał, tylko krzyknął przez ramię „przepraszam” i zatrzasnął za sobą drzwi, jakby obawiał się, że Rosalyn może jeszcze zmienić zdanie.

Znalazłszy się na korytarzu, oparł się o ścianę, żeby zaczerpnąć powietrza. Z pokoju dobiegły go rozbawione głosy. Nie szkodzi, niech się śmieją, pomyślał i z westchnieniem przymknął powieki. I po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że choć to mało prawdopodobne, może jednak nie ominie go szczęśliwe zakończenie.

Całkiem jak w kinie.

Rozdział 7

Rosalyn podniosła głowę znad książki i wciągnęła nosem powietrze. Wokół unosił się zapach korzennych przypraw. Domyśliła się, że Sophie znów coś piecze. Ciekawe, czy tym razem to kruche ciasteczka, czy maślane bułeczki z cynamonem? Jęknęła i oparła głowę o zagłówek bujanego fotela, który Jack przytargał tutaj z pokoju Idy. W ciągu tygodnia, jaki minął, odkąd wypisano ją ze szpitala, przybywało jej mniej więcej pół kilo dziennie.

Wciąż rumieniła się na wspomnienie dnia, w którym Jack przywiózł ją tu ze szpitala. Uparł się, że wniesie ją po schodach na werandę. W pewnej chwili, kiedy czekali na otwarcie frontowych drzwi, poczuła się jak panna młoda przenoszona przez próg przez świeżo poślubionego małżonka.

Na szczęście Sophie nie dała na siebie długo czekać, bo sytuacja zaczynała robić się krępująca.

A kiedy wsparta na kuli i ramieniu Jacka Rosalyn znalazła się wreszcie na piętrze, omal nie zachłysnęła się z wrażenia. Jej ulubiona sypialnia, ta w końcu korytarza, czekała na nią całkiem odmieniona po generalnych porządkach. W oknach wisiały nowiutkie, wykrochmalone zasłony, uszyte własnoręcznie przez Sophie, a na łóżku pyszniła się piękna, staromodna kołdra.

- Twoja cioteczna babka powiedziała mi kiedyś, że jej mama sama uszyła tę kołdrę. Miała być częścią jej ślubnej wyprawy. Niestety, biedna panna Ida nigdy nie wyszła za mąż i kołdra przez wiele lat leżała w kufrze na strychu. Tylko raz miałam okazję ją zobaczyć, kiedy kilka miesięcy przed śmiercią panna Ida poprosiła, żebym podała jej albumy ze zdjęciami, które trzymała w tym samym kufrze. - Sophie westchnęła ze smutkiem.

Gdyby nie Jack, który stał z walizką w progu, Rosalyn zapewne pociągnęłaby Sophie za język. Uznała jednak, że temat jest zbyt krępujący, by omawiać go w obecności obcego przecież mężczyzny.

Rozejrzała się po sypialni. Wszystkie sprzęty lśniły czystością w promieniach majowego słońca. Ileż pracy musieli włożyć, by doprowadzić stare wnętrze do tego stanu! W oczach Rosalyn zakręciły się łzy wzruszenia.

- To był pomysł Sophie - wyjaśnił Jack. Gospodyni skarciła go wzrokiem.

- Też coś! Sam mówiłeś, że trzeba ożywić to miejsce. W odpowiedzi Jack tylko wzruszył ramionami. Znowu

utkwiał oczy w Rosalyn, a że robił to ostatnio coraz częściej, właściwie przestała się już peszyć.

A poza tym jego codzienne wizyty w szpitalu sprawiły, że zaczęła go traktować prawie jak członka rodziny. Sama dziwiła się, że przez te kilka dni stał się jej aż tak bliski. Musisz być bardzo spragniona uczucia, mówiła sobie w duchu, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że tak przywiązałaś się do faceta, którego znasz od dwóch tygodni?

Ilekróć wracała myślami do dnia powrotu ze szpitala, robiło się jej ciepło na duszy i zachodziła w głowę, po co Jack zadaje sobie tyle trudu. Co prawda cynizm, jakiego nauczyły ją lata spędzone w wielkim mieście, ostrzegał ją, że kieruje nim pragnienie przejęcia domu i całości spadku, jednak z drugiej strony chciała wierzyć, że troskliwość Jacka to wynik bezinteresownej przyjaźni.

- Można? - Sophie właśnie ukazała się w drzwiach pokoju.

Rosalyn odłożyła książkę na kolana.

- Wejdz, proszę. Co za rozkoszne zapachy unoszą się w całym domu.

- Przyszłam zapytać, czy wolisz kawę, czy herbatę do ciasteczek.

- Upiekłaś ciastka?

- Tak. Makaroniki z imbirem. Rosalyn oblizwała się ze smakiem.

- Na pewno będą pyszne. W takim razie poproszę o kawę. Wiesz, ta książka zaczyna mnie nużyć. Pomyślałam, że może pójdę na strych i przejrzę zawartość kufra.

- To za wysoko jak na kogoś, kto się porusza o kulach, a poza tym tam jest kilka kufrów, i wszystkie są okropnie zakurzone i ciężkie.

- To może jak przyjdzie Jack, poproszę go, żeby przy - targał je na dół.

Sophie tylko wzruszyła ramionami. Najwyraźniej pomysł Rosalyn nie przypadł jej do gustu.

- Zrobisz, co zechcesz - mruknęła pod nosem i zniknęła za drzwiami.

Gospodyni wołała nie wdawać się w dalsze dyskusje. Wyraziła przecież swoje zdanie, a jeśli panna Baines jest na tyle niemądra, by nie wziąć sobie do serca dobrej rady, to już jej sprawa. Zresztą Jack zachowuje się podobnie, pomyślała Rosalyn, wracając myślami do ich

pierwszej rozmowy o spadku. Może w Plainsville wszyscy reagują w ten sposób?

Nieważne. Postanowiła, że aby nie drażnić gospodyni, wdrapie się na strych po jej wyjściu.

Przez pierwsze cztery dni Sophie zostawała na noc, lecz kiedy jej siostra zapowiedziała się z wizytą, Rosalyn zdołała ją przekonać, że nie wymaga już stałej opieki. Początkowo ani Jack, ani Sophie w ogóle nie chcieli o tym słyszeć, w końcu jednak zdołała pokonać ich opór. Poruszała się o kulach całkiem swobodnie, a unieruchomiona stopa na tyle przestała jej dokuczać, że w razie potrzeby mogła się nawet nią podeprzeć. Największy problem stanowiła codzienna kąpiel, ale Jack zamontował specjalne poręcze w łazience, dzięki którym i tu mogła dać sobie radę sama.

Minęło kilka dni, zanim uświadomiła sobie, że ludzie, których dopiero niedawno poznała, otoczyli ją bardzo troskliwą opieką, natomiast jeśli chodzi o dawnych znajomych, to co prawda dostała z biura kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia i ogromny bukiet kwiatów, który przekazała na rzecz miejscowego kościoła, ale na tym kontakt z Chicago się urwał.

Rosalyn zawsze uważała fakt posiadania przyjaciół za coś tak naturalnego, że nawet nie zadała sobie trudu, by ich policzyć. Tymczasem długie godziny spędzone w bujanym fotelu Idy Mae skłoniły ją teraz do głębszej refleksji. Naliczyła zaledwie kilka zaprzyjaźnionych osób, z którymi czasem umawiała się na drinka czy niedzielny obiad. Byli to zresztą głównie znajomi z biura, bo spędzając większość czasu w pracy, nie miała nawet okazji bliżej poznać sąsiadów.

Zawsze uważała Judy za przyjaciółkę, lecz teraz zdała sobie sprawę, że i w tym przypadku istnieje niewidoczna bariera, ograniczająca szczerotę ich kontaktów. Spojrzała na półkę nad kominkiem, na której umieściła kartkę z życzeniami od kolegów z biura. Podpisali się na niej wszyscy, nawet Jim Naismith. Ciekawe, pomyślała, czy dochodzenie ujawniło jakieś nowe dowody i czy Ed nie mylił się, twierdząc, że i Judy ma coś na sumieniu.

Rzuciła książkę na podłogę i westchnęła zrezygnowana. Czowała się jak zakładnik uwięziony gdzieś w samym środku Iowy, a w dodatku coraz bardziej doskwierała jej bezczynność. Tak dalej być nie może! Wstała i oparłszy się plecami o ścianę, sięgnęła po kule. Zanim doszła

do końca korytarza, w drzwiach kuchni pojawiła się Sophie z tacą w rękach.

- Aleś mnie nastraszyła! - krzyknęła. - Jesteś już tak głodna, że nie mogłaś zaczekać?

Rosalyn roześmiała się. Zdążyła się już przyzwyczać do cierpkich uwag gospodyni, która, choć może mało wylewna, naprawdę miała złote serce.

- Nie, ale mam powyżej uszu siedzenia w tamtym pokoju.

Pokuśtykała w kierunku krzesła, a Sophie postawiła tacę na stole.

- Wiesz, że czasem przypominasz mi swoją cioteczną babkę - powiedziała.

- Naprawdę?

- Tak, tylko że w ostatnich tygodniach życia biedna panna Ida całkiem opadła z sił i wszędzie trzeba było ją zanosić na rękach - dodała Sophie i przysiadła na krześle.

- Opowiedz mi o niej.

- Sama niewiele wiem. Była bardzo skryta. Co prawda opowiadała dużo historii o różnych przedmiotach zgromadzonych w domu, ale rzadko mówiła o sobie. Zupełnie jakby miała jakąś tajemnicę, której nie chciała ujawnić.

- Na przykład, że ma siostrę i innych krewnych w Chicago.

Sophie skinęła głową.

- Właśnie. Nikomu nawet to nie przyszło do głowy. Jack na pewno o niczym nie wiedział. Miejscowi krewni chyba też nie. Tylko staruszek Henry znał jej sekrety - wyjaśniła przyciszonym głosem.

- Pewnie znali się od dzieciństwa?

- Tak, ale ciekawe, że i on nigdy nie wspominał o tym, że Ida ma siostrę. Całkiem jakby był to zakazany temat.

- Skoro łączyła ich taka przyjaźń, musiał istnieć jakiś powód, dla którego oboje zachowali tajemnicę.

- Pewnie tak - odrzekła Sophie zamyślona. - Ale dziwne, że nawet własnym dzieciom nie wspominał o niej ani słowem. Zresztą, panna Ida i Henry stanowili dość szczególną parę.

- Co przez to rozumiesz? Gospodyni zmarszczyła czoło.

- Trudno mi znaleźć odpowiednie określenie. Czasami wcale nie rozmawiali, tylko siedzieli godzinami obok siebie, zapatrzeni w ogród. Jednak nieraz widziałam, jak rzucali sobie ukradkowe spojrzenia.

Całkiem jak ja i Jack, pomyślała Rosalyn.

- A kiedy Henry dowiedział się, że panna Ida miała pierwszy wylew, myślałam, że sam dostanie zawału. Jak mu powiedziałam, że karetka zabrała ją do szpitala, zrobił się biały jak ściana. Jeśli chcesz wiedzieć, to wydaje mi się, że on darzył ją nie tylko przyjaźnią.

- To znaczy...

- To znaczy, że moim zdaniem był w niej śmiertelnie zakochany.

Rosalyn wyobraziła sobie ze wzruszeniem dwoje dziewięćdziesięciolatek połączonych głębokim uczuciem.

- To miłe - westchnęła - tylko teraz nie ma już znaczenia.

Sophie przyjrzała się jej ze zdziwieniem.

- Wydawało mi się, że chciałaś się ode mnie czegoś dowiedzieć?

- Ależ tak. Ciekawa jestem, jakim człowiekiem była Ida Mae? Na przykład co ją złościło, a co jej sprawiało przyjemność?

- Mówiłam ci już, że była bardzo skryta. Chętnie zaczynała mówić o rodzinie, ale w pewnym momencie zawsze przerywała opowieść. Jej dziadek przyjechał tu z Danii i przywiózł ze sobą młodzieńką żonę, której najcenniejszym skarbem była sadzonka róży. Pierwszą rzeczą, jaką zrobili po przyjeździe do Plainsville, było posadzenie tego krzewu. Wtedy nawet nie mieli jeszcze gdzie mieszkać, bo dom postawiono kilka lat później. Panna Ida mówiła, że babcia tak kochała tę różę, że nie pozwoliła jej przesadzić, jak zaczynali budowę, i dom musiał stanąć obok.

Rosalyn roześmiała się w duchu na myśl o starszej pani stojącej na straży kolczastego krzewu.

- Odnoszę wrażenie, że obsesja na punkcie tej rośliny przechodziła z pokolenia na pokolenie.

- O, tak - przytaknęła gospodyni. - W każdym razie, po pierwszym wylewie, panna Ida musiała poruszać się na wózku, co doprowadzało ją do szału. Na szczęście młody Jack, który właśnie wrócił z Chicago, bardzo jej pomógł. Załatwił codzienne wizyty pielęgniarki, troszczył się o dom, a nawet zabierał ją razem z Henrym na przejażdżki. A jak już było z nią całkiem źle, to znosił ją na rękach na dół, żeby mogła popatrzeć z bliska na swój krzew.

- A Henry? Żyje jeszcze?

Łzy zakręciły się w oczach gospodyni.

- To było naprawdę straszne. Wszyscy tak martwiliśmy się o pannę Idę, że lada chwila może wyzionąć ducha, a tymczasem biedny

Henry pewnego dnia po prostu się przewrócił i umarł na zawał. Chyba z osiem miesięcy przed jej śmiercią.

- A Jack? - zapytała Rosalyn znienacka. Sophie przyjrzała się jej podejrzliwie.

- Nie rozumiem?

- Dlaczego nie wrócił do Chicago?

- O ile wiem, stracił pracę, bo w urzędzie, gdzie był zatrudniony, nie chcieli na niego czekać, mimo że jest naprawdę świetny. Nie ma takiej rzeczy, której nie potrafiłby zrobić.

Rosalyn o mało nie zazgrzytała zębami. Uwielbienie, jakim Sophie darzyła Jacka, graniczyło wręcz z bałwochwalstwem.

- Nie mógł sobie znaleźć innej pracy?

- Jego ojciec też miał wylew, więc ktoś musiał pomagać na farmie. Poza tym - wyraźnie ważyła słowa - Jack był świeżo po rozwodzie. Nigdy o tym nie mówił, ale widać było, że jest mocno przybity. W każdym razie, jak starszy pan Jensen zachorował, Jack wrócił do domu, żeby zająć się gospodarstwem. Jego starszy brat był jeszcze w wojsku i stacjonował gdzieś w Niemczech, a młodszy właśnie zaczął chodzić do college'u. Więc Jack nie miał właściwie wyboru i musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

A to akurat bardzo lubi robić, westchnęła Rosalyn w duchu i przygryzła wargi. Doskonałość Jacka Jensena zaczynała działać jej na nerwy. Może dlatego, że zanim pozwoliła, by pochłonął ją wir pracy, przez długie lata marzyła właśnie o kimś takim jak on?

- Jak teraz czuje się starszy pan Jensen? - zapytała.

- Już całkiem dobrze - odparła Sophie z uśmiechem. - Tylko trochę jeszcze powłóczy nogą.

- To dlaczego Jack nie wraca do Chicago?

- Nie mam pojęcia. O to już sama musisz go zapytać. Wyraz twarzy gospodyni wskazywał, że powoli zaczyna tracić cierpliwość.

Jack przez dłuższą chwilę nie wyłączał silnika. Była prawie siódma, co znaczyło, że Sophie już ze dwie godziny temu skończyła pracę. Nie rozumiał, dlaczego w domu nie pali się żadne światło. Czyżby Rosalyn poczuła się gorzej i poszła spać z kurami?

Wysiadł z samochodu i wbiegł po schodkach na werandę. Gdy nacisnął klamkę, okazało się, że drzwi wcale nie są zamknięte. Pomyślał wtedy, że Plainsville jest co prawda bezpiecznym

miasteczkiem, ale samotna kobieta poruszająca się o kulach mogła wykazać więcej rozsądku.

- Rosalyn?! - zawołał.

Postanowił sprawdzić, czy przynajmniej kuchenne drzwi zostały zamknięte na klucz. Przeszedł na palcach przez hol i zapalił światło w kuchni. Oczywiście, drzwi do ogrodu też została otwarte. Co za bezmyślność!

Ze zdziwieniem zauważył nie sprzątnięte filiżanki i talerz pełen ciastek na stole. Trudno to nazwać kolacją, pomyślał i zajrzał do piekarnika. Jedzenie zostawione przez Sophie pozostało nietknięte.

Czyżby Rosalyn aż tak źle się poczuła, że straciła apetyt? Chyba jednak powinien do niej zajrzeć?

Stał już u stóp schodów, kiedy z góry dobiegł go przytłumiony dźwięk. Natychmiast zapalił światło na schodach i pognął na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Drzwi do pokoju Rosalyn były uchylone, a w środku panowała kompletna ciemność. Nie odpowiedziała, gdy wyszeptał jej imię, więc niewiele myśląc, nacisnął pstryczek przy wejściu.

Łóżko było puste.

Serce waliło mu jak oszalałe. Wybiegł na korytarz i popędził na drugie piętro, gdzie poza strychem znajdowały się jedynie dwa niewielkie pokoiki zajmowane niegdyś przez służbę. Na końcu korytarza dostrzegł niewyraźne światelko.

- Rosalyn! - zawołał, a jego głos odbił się echem od grubych ścian.

Światło, które dostrzegł z daleka, wydostawało się spod zamkniętych drzwi prowadzących na strych. Dłoń Jacka właśnie wymacała starą, żelazną klamkę, kiedy z wewnątrz dobiegł go kobiecy głos.

- Co się stało?

Przez dłuższą chwilę nic nie widział, oślepiiony jasnym światłem żarówki bujającej się - pod wpływem nagłego przeciągu - na łańcuchu umocowanym u sufitu.

Rosalyn leżała na podłodze wsparta plecami o wielki, obity skórą kufer, wśród porzucanych bezładnie książek, luźnych kartek i albumów pokrywających grubą warstwą całą podłogę. Dopiero gdy się zbliżył, zauważył końce jej kul sterczące spod drugiego, równie olbrzymiego kufra.

Na jej twarzy malował się wyraz trwogi.

- Myślałam już, że przyjdzie mi spędzić tutaj noc - jęknęła.

Wyglądała tak, jakby za chwilę miała zalać się łzami. Tylko że osoby w typie panny Baines, pomyślał Jack, chyba w ogóle nie potrafią płakać. Przesunął kufer i rozgarniając nogą piętrzące się papierzyska, zrobił wąskie przejście do leżącej i przykucnął obok.

- Co się stało?

Rosalyn wyprostowała plecy i drżącymi dłońmi próbowała wcisnąć pod opaskę kosmyki włosów bezładnie zwisające jej wzdłuż twarzy.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedział, widząc, że zdrętwiałe palce odmawiają jej posłuszeństwa, po czym ujął w ręce jej dłonie. - Masz ręce zimne jak lód - stwierdził z przerażeniem. - Jak długo tu leżysz?

- Od wyjścia Sophie. Właśnie zamierzałam się czołgać po jakiejś ubrania, które wypadły z kufra, żeby się nimi owinąć.

- A w ogóle to co tu, do diabła, robisz?

- Te kufry stały na tym drugim, więc postanowiłam jeden ściągnąć na podłogę.

- Ale po co?

- A jak inaczej mogłabym zajrzeć do środka? W każdym razie okazał się za ciężki i spadł prosto na mnie. Niestety, przytrzasnął mi kule.

- Nic ci się nie stało? - spytał zdławionym głosem.

- To głupie, ale chyba skręciłam kostkę, i to w dodatku w zdrowej nodze.

- Świetnie! - Otworzył usta, żeby obsztorcować ją za bezdenną głupotę, ale kiedy spojrzała błagalnie spod długich, wilgotnych od łez rzęs, uspokoił się natychmiast. - Już dobrze - powiedział najłagodniej, jak umiał. - Wezmę cię teraz na ręce i zaniosę na dół. Mam tylko nadzieję, że wypieki Sophie nie odbiły się zbyt mocno na twojej wadze - dodał, pragnąc rozładować nieco nastrój. - Obejmij mnie rękami za szyję i mocno się trzymaj. I pod żadnym pozorem nie próbuj podeprzeć się stopami.

- Dobrze - odrzekła i wyciągnęła do niego rękę.

- W porządku. Teraz spróbuję cię podnieść za jednym zamachem, więc nie przestrasz się, jeśli zrobię jakiś gwałtowny ruch. I się nie bój. Nie upuszczę cię na podłogę - obiecał.

Rosalyn zaśmiała się nerwowo.

Starając się nie zwracać uwagi ani na słodki zapach kwiatów unoszący się wokół jej głowy, ani na jedwabistą skórę ramion wokół jego szyi, Jack jednym silnym ruchem podniósł Rosalyn z podłogi i ruszył do drzwi.

- A kule? - zapytała.

- Potem - wymamrotał z twarzą zatopioną w gąszczu jej rudych włosów.

Zasłaniała mu prawie cały widok i modlił się w duchu, by się nie pośliznąć na schodach. Posuwał się na dół powoli, z uwagą stawiając każdy krok. Dopiero gdy udało mu się pokonać wszystkie stopnie, odetchnął z ulgą. Szybko zaniósł Rosalyn do sypialni i położył na łóżku. Na szczęście przed wyjściem nie zgasił światła. Sam przysiadł obok niej, starając się wyrównać oddech.

- Za dużo było imbirowych ciasteczek - rzekła żartobliwie.

Tymczasem Jackowi wcale nie było do śmiechu. Przyglądał się bladej, piegowatej twarzy Rosalyn, na której widać było jeszcze zielonkawożółte ślady po niedawnym urazie. Wyglądała naprawdę żałośnie. Teraz, kiedy udało mu się bezpiecznie znieść ją na dół, nie był w stanie dłużej panować nad złością. Co może usprawiedliwić taki brak wyobraźni?

- Po co... - zaczął, lecz Rosalyn nie pozwoliła mu dokończyć.

Westchnęła głęboko.

- Nie musisz nic mówić. Wiem, że zachowałam się beznadziejnie głupio.

- Nie mogę zaprzeczyć.

- Tylko naprawdę nie mogłam już wytrzymać tej przymusowej beczynności, Jack. Przepraszam, że sprawiłam ci kłopot, ale...

Wyciągnął dłoń, by odgarnąć jej włosy z czoła, i palce same osunęły mu się na gładką skórę jej twarzy, po czym powędrowały od brwi przez policzki aż do rozchylonych ust. Rosalyn wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Nagle odsunął rękę, pochylił się i gorąco pocałował ją w usta.

Oparł się dłońmi o poduszkę, by nie przygnieść jej własnym ciężarem, choć o niczym nie marzył bardziej w tej chwili niż o tym, żeby się do niej przytulić całym ciałem. Zawładnęło nim przemożne pożądanie. Koniuszkiem języka wodził po wargach Rosalyn, która o dziwo wcale nie zacisnęła ust.

Poczuł rozkoszne ciepło w okolicy ud i usłyszał, jak któreś z nich - czyżby to on sam? - jęknęło z cicha. Przesunął się nieco do przodu i już miał położyć się na łóżku, kiedy jego wzrok padł na twarz Rosalyn. Co prawda nie odrzuciła jego pocałunku, ale też nie wyciągnęła ku niemu ramion, teraz zaś leżała odrętwiała na materacu z oczami pozbawionymi wszelkiego wyrazu.

Niezdarnie zsunął się z łóżka, nienawidząc się za swą szczeniacką porywczosć. Skupiwszy uwagę na ustach Rosalyn i trawiącym go pożądaniu, całkiem zapomniał o jej uczuciach. Jak to możliwe, że jego pragnienie nie pozwoliło mu zastanowić się, czy jest gotowa go przyjąć?

- Przepraszam - powiedział nieswoim głosem.

Milczała, przyglądając mu się roziskrzonym wzrokiem. Odwrócił się do niej plecami, by nie mogła zobaczyć, jak bardzo nadal jej pragnie. Wiedział jednak, że choć dałby wszystko, by ją zdobyć, nie może się to odbyć w ten sposób.

- Przyniosę ci kule i zadzwonię do lekarza, żeby obejrzał twoją kostkę - oznajmił i wyszedł, zanim zdążyła otworzyć usta.

Pognał na strych, gdzie przez dłuższą chwilę stał oparty plecami o ścianę, próbując ochłonąć.

Obiecawszy, że przypilnuje, by Rosalyn trzymała nogę w uniesionej pozycji przez następne dwa dni, Jack zamknął za lekarzem drzwi i skierował się do kuchni. Jeszcze w czasie wizyty lekarza zadzwonił do Sophie z prośbą, żeby została na noc, jednak gospodyni wcześniej obiecała zaopiekować się dziećmi siostry i nie mogła dzisiaj wyjść z domu.

Nie mając wyjścia, sam musiał zająć się kolacją. Ustawił na tacy brytfannę z zapiekanką z kurczaka, którą Sophie upiekła na wieczór, talerze, sztucce oraz dwa kieliszki, i ruszył na górę.

Rosalyn siedziała na łóżku wsparta o poduszki, ubrana w nocną koszulę, którą na jej prośbę wyjął wcześniej z szuflady komody. Na samo wspomnienie innych, koronkowych części jej bielizny, które tam zobaczył, zaczerwienił się jak dziecko. To śmieszne, ale zamykał szufladę w prawdziwym popłochu.

- Nie mogę uwierzyć, że lekarz zgodził się przyjechać do domu - powiedziała, kiedy pojawił się w drzwiach. - W Chicago byłoby to nie do pomyślenia.

Jack ustawił tacę na małym owalnym stoliczku, który przyniósł tu przed chwilą z sąsiedniej sypialni.

- Musiałem obiecać, że Lenny skopie mu ogród za domem.

- Dobrze wiedzieć, że i Plainsville nie jest wolne od przekupstwa - zaśmiała się i spojrzała na tacę. - Jak to miło, że pomyślałeś o winie.

- Tylko że lekarz powiedział, że nie wolno ci łączyć alkoholu ze środkami przeciwbólowymi.

- Zdecydowanie wolę się napić, niż brać kolejne pigułki.

Jack ułożył na kołdrze serwetkę i podał Rosalyn talerz i sztućce. Na nocnej szafce przy łóżku postawił kieliszek, po czym nieśmiało przysiadł na łóżku.

- Posunęłabym się, żeby zrobić ci więcej miejsca, ale nie mogę zdjąć z tego stopy. - Wskazała na poduszki utrzymujące jej nogę w uniesionej pozycji.

- Dam sobie radę - mruknął i nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest głodny.

Jedli w milczeniu, lecz, o dziwo, cisza panująca w pokoju wcale ich nie krępowała. Jack chciał skończyć jak najszybciej i pozwolić Rosalyn wreszcie zasnąć. Kiedy oddała mu talerz z nie dojedzoną kolacją, uznał, że nie będzie protestował. Nic dziwnego, że nie ma zbytnej ochoty na jedzenie, kiedy oczy jej się zamykają ze zmęczenia. Pozbierał naczynia i skierował się do wyjścia.

- Będę spał na kanapie na dole i wyjdę rano, jak pojawi się Sophie.

- Jest przecież mnóstwo wolnych sypialni na górze - zaprotestowała.

Uśmiechnął się pod nosem.

- Wiesz, jak to jest. Nie chcę jej dawać powodów do plotek - wyjaśnił.

- Kto jak kto, ale Sophie nigdy nie powiedziała by złego słowa na twój temat.

- Może i tak, ale po co ma snuć głupie podejrzenia. Mogę ci jeszcze w czymś pomóc, zanim zejdziesz na dół? Może chcesz iść do łazienki?

- Nie, dziękuję. Lekarz już mnie tam zaprowadził. I chciałam ci za wszystko podziękować. Co prawda pogodziłam się już z perspektywą spędzenia nocy na strychu, ale cieszę się, że pomogłeś mi tego uniknąć.

Kiwnął głową.

- No to dobranoc.

- Aha, i jeszcze jedno.

- Słucham. - Przystanął w pół kroku.

- Nie przejmuj się. To znaczy... mam na myśli ten pocałunek.

Byłam naprawdę przestraszona, a dzięki tobie udało mi się odprężyć.

Próbował zrozumieć sens jej słów, kiedy dodała zniechęta:

- Możesz mi wierzyć, że nie przywiązuję do tego pocałunku żadnego znaczenia.

Omam nie zakrztusił się z wrażenia, lecz próbując ukryć zmieszanie, tylko pokiwał głową i zamknął drzwi. W końcu sam sobie jest winien. Pozwolił przecież, by zawładnęły nim zmysły w sytuacji, kiedy Rosalyn zwyczajnie chciała potrzytać kogoś za rękę.

Rozdział 8

Sophie nie musiała otwierać ust, by Rosalyn domyśliła się, co o niej sądzi. Dochodzące z kuchni parskanie i westchnienia mówiły same za siebie, a kiedy gospodyni pojawiła się ze śniadaniem w drzwiach sypialni, jej marsowa twarz zdawała się krzyczeć: „Co za kretynka”. Jednak Rosalyn poznała już panią Warshawski na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeszcze przed południem odzyska dobry nastrój.

Prawdziwą niespodziankę sprawiła jej wiadomość, że przed wyjściem Jack zniósł ze strychu jeden z kufrów i ustawił go w sypialni po przeciwnej stronie korytarza. Sophie wyjaśniła, że nie wniósł go wprost do jej pokoju z obawy, iż może ją obudzić.

Na samo wspomnienie Jacka Rosalyn poczuła, że się rumieni. Miała za sobą niespokojną noc, i to nie z powodu pulsującego bólu w kostce, tylko z powodu owego nieszczęsnego pocałunku, a raczej swojej reakcji. Od momentu, kiedy poczuła palce Jacka na twarzy, wiedziała, że zaraz się pochyli i dotknie wargami jej ust. Co gorsza, nie zamierzała się oszukiwać, że właśnie tego pragnęła z całej duszy.

A kiedy wreszcie jego twarz znalazła się tak blisko, że poczuła delikatny zapach mydła i wody kolońskiej, sama uniosła głowę, by nie pozwolić mu dłużej czekać. I wcale nie był to zwykły, przyjacielski pocałunek. Kiedy wargi Jacka musnęły jej skórę, Rosalyn poczuła taki przyływ namiętności, jakiego nie zaznała od lat.

I to właśnie jest szczególnie upokarzające, pomyślała. Czy naprawdę jest aż tak spragniona miłości, że gotowa jest ulec mężczyźnie, którego zna od zaledwie dwóch tygodni? Nie, to niemożliwe. Postanowiła, że do końca pobytu w Plainsville za nic w świecie nie wykona już w stosunku do Jacka żadnego zachęcającego gestu.

- Nie masz dziś apetytu? - zapytała Sophie, wskazując na nie tknięte przez Rosalyn śniadanie.

- Nie, po prostu się zamyśliłam.

- Zawołaj mnie, jak będziesz chciała przejrzeć zawartość kufra w drugim pokoju. Doktor powiedział, że właściwie w ogóle nie powinnaś dziś obciążać nóg.

- Możemy od razu tam iść.

Rosalyn nie zamierzała czekać, aż Sophie znowu zniknie w kuchni, toteż od razu opuściła stopy na podłogę i poczekała, aż

gospodyni weźmie ją pod ramię. Dzięki temu, podpierając się lewą ręką o kulę, była w stanie przejść parę kroków przez korytarz. Silny ból, jaki poczuła, gdy raz zahaczyła palcami o posadzkę, uświadomił jej, że najbliższe dni przyjdzie jej spędzić na piętrze, bo schodzenie na dół w tym stanie w ogóle nie wchodziło w grę. Obok stolika, na którym umieszczony został kufer, ktoś ustawił ciężki, wyściełany fotel z podnóżkiem.

- To Jack tak to wszystko urządził, żebyś nie musiała wstawać - wyjaśniła Sophie.

Rosalyn zaczynała czuć się onieśmielona bezsprzeczną doskonałością Jacka Jensena.

- A jeśli chodzi o tamten drugi kufer, będziesz musiała poczekać, bo ja na pewno nie zamierzam targać go po schodach na dół.

- Oczywiście.

- I dobrze ci radzę, żebyś tym razem mnie posłuchała - ostrzegła gospodyni.

Skinęła głową, zawstydzona jak dziecko, które dostaje reprimendę za to, że było niegrzeczne.

- Wiesz, co jest w tym kufrze?

Sophie otworzyła wieko i wetknęła nos do środka.

- Mnóstwo kurzu i pleśni. I coś, co wygląda na stare albumy ze zdjęciami. Podać ci je?

- Bardzo proszę.

Sophie położyła na stoliku dwa obciążone skórą albumy.

- Na razie musi ci to wystarczyć. Zejdę na dół i przyniosę ci kawę, skoro najwyraźniej nie masz ochoty na śniadanie. Gdybyś czegoś potrzebowała, krzycz głośno, chociaż i tak pewnie nie usłyszę.

Wymieniły porozumiewawcze uśmiechy i Rosalyn zorientowała się, że gospodyni już wybaczyła jej wczorajszą lekkomyślność. Kiedy została sama, otworzyła pierwszy album. Na pożółkłej ze starości kartce, wsuniętej na pierwszej stronie w od lat nie stosowane papierowe narożniki, zobaczyła niewyraźny napis. Podniosła album bliżej oczu i z trudem przeczytała: „Rodzina Petersenów, Plainsville, Iowa, rok 1869”.

Zdjęcia były ciemne i niewyraźne, toteż Rosalyn w duchu błogosławiła antenata, któremu chciało się z niezwykłą wręcz starannością opisać każdą fotografię. Po kilku stronach odczytanie zdobnych w rozliczne zawijasy napisów przestało sprawiać jej

trudność. Żałowała tylko, że nie ma zielonego pojęcia, co mogło łączyć pojawiające się na zdjęciach postacie.

To smutne, pomyślała, jak mało wiem o własnej rodzinie. Jako dziecko próbowała się czegoś dowiedzieć, ale ponieważ zazwyczaj jej pytania pozostawały bez odpowiedzi, więc w ogóle przestała je zadawać.

Coraz szybciej przewracała kolejne kartki, rozpoznając powtarzające się twarze i imiona. Ilse, Paul, Margaret, Elizabeth...

Gdy w progu pojawiła się Sophie, Rosalyn właśnie studiowała zdjęcie młodej kobiety z niemowlęciem na ręku. Podpis głosił, że to Ilse i Jacob, rok 1875.

- No i jak ci idzie?

Z westchnieniem odłożyła album na kolana.

- Dobrze, tylko wciąż jestem jeszcze w dziewiętnastym wieku, czyli przed urodzeniem bliźniaczek.

Sophie odstawiła tacę z kawą i podeszła bliżej, żeby zerknąć na zdjęcie.

- Jacob? Tak miał na imię ojciec panny Idy. Założę się, że to właśnie on. Ida Mae musiała urodzić się w 1910 roku, bo w czerwcu miała skończyć dziewięćdziesiąt lat. To znaczy, że jej ojciec musiał mieć...

- Trzydzieści pięć lat, kiedy na świat przyszły dziewczynki.

- Widzę, że jesteś biegła w rachunkach. Ale to zapewne normalne w twoim fachu.

- Czasami rzeczywiście bywają przydatne. W każdym razie dziękuję za informację. Wiesz, jakie to okropne nie wiedzieć, na kogo się patrzy.

Sophie pokiwała głową ze współczuciem.

- Może dalej uda ci się rozpoznać przynajmniej najważniejsze osoby? Ta Ilse musiała być babcią panny Idy, prawda?

- Tak, i zapewne Ilse i Paul byli małżeństwem, bo na większości zdjęć występują razem.

- No widzisz - roześmiała się Sophie. - Czyli już wiesz, kto był twoją... - zawahała się.

- Poczekaj - wtrąciła Rosalyn. - June Rose była moją babcią, jej mama moją prababcią, co znaczy, że Ilse to moja praprababka.

- Coś takiego! - krzyknęła gospodyni. Obie zaniósł się śmiechem.

- Wiesz, Sophie, to zaczyna być nawet zabawne. Mam wrażenie, jakbym bawiła się w detektywa.

- A w dodatku śledztwo dotyczy twoich własnych korzeni. To niesamowite.

- Tak, tylko jednocześnie trochę mi żal, że dopiero jako dojrzała, trzydziestodwuletnia kobieta mam okazję dowiedzieć się czegoś o rodzinie.

Sophie zagryzła wargi.

- Lepiej późno niż wcale - rzekła nieswoim głosem i poklepawszy Rosalyn po ramieniu, ustawiła tacę przy fotelu i dziwnie szybko wyszła z pokoju.

Ciekawe, co mogło ją tak zdenerwować, zastanowiła się Rosalyn, zanurzając usta w gorącym płynie. W chwilę później ze zdwojoną energią powróciła do oglądania starych fotografii. Kiedy znowu usłyszała na schodach kroki gospodyni, miała już za sobą oba albumy. Ostatnie zdjęcie ukazywało małego Jacoba w towarzystwie siostrzyczek.

Po lunchu poczuła się na tyle znużona, że skorzystała z sugestii Sophie i postanowiła się zdrzemnąć.

- Położę się w tym pokoju, żebym mogła wrócić do kufra, jak tylko się obudzę.

- Zawołaj mnie, jeśli będziesz chciała przesiąść się na fotel.

Jednak błyszcząca, zaczerwieniona twarz tęgiej gospodyni świadczyła dobitnie o tym, że nie powinna biegać po schodach bez potrzeby.

- Oczywiście - skłamała Rosalyn.

Wiedziała przecież, że bez większego problemu jest w stanie sama pokonać tych kilka kroków.

Obudziła się po godzinie całkiem wypoczęta i gotowa do kolejnej podróży w przeszłość. Z kuchni nie dochodziły żadne odgłosy, więc domyśliła się, że gospodyni pewnie też postanowiła odpocząć. Opuściła nogi z łóżka na podłogę, chwyciła dłońmi poręcz stojącego obok fotela i podciągnęła się na siedzisko. Odsapnęła chwilę, po czym wyciągnęła z kufra kolejne dwa albumy. Od lat już nie czuła takiego podniecenia, jak teraz, kiedy miała zgłębiać tajemnice przodków.

Nawet perspektywa awansu wydała jej się w tej chwili mało interesująca. Uśmiechnęła się w duchu na wspomnienie rozmowy,

jaką prowadziła z Edem Saundersem w dniu, kiedy dowiedziała się, że została dziedziczką różanego krzewu.

Ileż to wydarzyło się od tamtego czasu! Co dziwniejsze, każde kolejne zdarzenie ostatnich tygodni zdawało się nieuchronnie przybliżać ją do chwili, kiedy wzięła do ręki pożółkłe zdjęcia w zaciszu sypialni tego wspaniałego domu, który należałby do niej, gdyby tylko zgodziła się spędzić tu cały rok.

Sama decydujesz o własnym losie, przypomniała sobie w duchu. Róża Iowy, dom, Plainsville, Jack i jego pocałunek. Co w związku z tym wszystkim postanowisz, zależy wyłącznie od ciebie.

Pokrzepiona tą myślą, zdmuchnęła kurz z albumu i otworzyła pierwszą stronę. Tym razem niewyraźny napis obwieścił: „Rodzina Petersenów, rok 1900”. Tak więc wkroczyła w nowe stulecie.

Pierwsza fotografia przedstawiała młodą parę w wystudiowanej pozie. Najwyraźniej zrobiono je w miejscowym atelier. Napis na pożółkłej kartce pod zdjęciem głosił, że to Jacob i Gertrude w czerwcu 1900 roku.

Rosalyn prawie z czułością pogładziła gładką powierzchnię starej fotografii. Jej wzrok padł na bukiet panny młodej. Oczywiście - róże. Tuzin rozwiniętych kwiatów o szerokich, płaskich płatkach, tak jasnych, że Rosalyn nie była w stanie zgadnąć, jaki naprawdę był ich odcień.

Domyśliła się, że to zapewne Ilse zapoczątkowała rodzinną tradycję uświetniania ważniejszych okazji kwieciem przywiezionego z Danii krzewu.

Kolejne dwie strony ukazywały młodych małżonków w otoczeniu innych członków rodziny. Rosalyn zatrzymała się na dłużej przy zdjęciu Jacoba i Gertrudy z niemowlęciem na ręku. Fotografia pochodziła z października 1901 roku, a jak informował podpis, dziecko miało na imię Rolfe Edward. Oboje rodzice z dumą spoglądali na swego pierworodnego syna.

Rosalyn zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy Sophie albo Jack wspomnieli kiedyś, że bliźniaczki miały starszego brata. Niczego takiego nie mogła sobie przypomnieć.

Reszta zdjęć w albumie poświęcona była dzieciństwu Rolfego i przypominała fotograficzną kronikę życia dziecka, wokół którego kręcił się cały świat Petersenów.

Kiedy Rosalyn dotarła do końca, była już zupełnie wykończona. Poznawanie historii przodków poprzez zdjęcia okazało się wyczerpującym zajęciem. Tymczasem nie doszła nawet do dnia narodzin babci.

Westchnęła, odgarnęła kosmyk włosów opadający na czoło, i sięgnęła po następny album. Przewracała kartki coraz szybciej, tak że omal nie uszła jej uwagi pierwsza fotografia bliźniaczek.

Było to małe, czarno - białe zdjęcie, na którym Gertruda z włosami opadającymi luźno na ramiona siedziała w bujanym fotelu, tuląc do siebie dwa zawiniątka. Podpis brzmiał: „Bliźniaczki! 1910”.

W centralnym punkcie następnej strony widniało duże zdjęcie całej, dopiero co powiększonej rodziny. Gertruda z jednym z niemowląt na ręku siedziała w wystudiowanej pozie w wielkim fotelu, za nią prężył się uśmiechnięty, wąsaty Jacob z twarzą okoloną bokobrodami, po obu stronach rodziców stali dziadkowie Ilse i Christian, zaś na podłodze, u stóp matki, mały Rolfe trzymał w objęciach drugą bliźniaczkę.

Przyglądając się uważnie zdjęciu, Rosalyn dostrzegła wazon pełen róż umieszczony na małym stoliczku po lewej stronie fotografii.

Sophie rozmawiała przez telefon, kiedy Jack wszedł do kuchni wejściem od strony ogrodu. Musiała być pochłonięta rozmową bez reszty, bo nawet nie usłyszała, jak zamykał drzwi. Dopiero kiedy poklepał ją po ramieniu, z wrażenia omal nie spadła z krzesła.

- Nie podnoś się. Zobaczą, co robi Rosalyn. Jeśli śpi, pójdę na strych po drugi kufer - oznajmił i oddalił się, nie czekając na odpowiedź.

Biegł po schodach po dwa stopnie naraz. Nie tylko dlatego, że chciał jak najszybciej ujrzeć Rosalyn, lecz także ponieważ obawiał się, że może opuścić go odwaga. Przez cały dzień karciał się w duchu za to, że nie odpowiedział na uwagę, którą pożegnała go poprzedniego wieczoru. Z drugiej strony, okoliczności rzeczywiście nie sprzyjały dalszym wynurzeniom, a tak naprawdę to chciał jej powiedzieć, że nie powinna się oszukiwać, bo jego pocałunek bardzo jej przypadł do gustu. Odczytał to bezbłędnie z jej oczu.

Mimo to, ilekroć wracał myślami do tego wydarzenia, ogarniało go poczucie zażenowania. Na pewno nie uda mu się przekonać Rosalyn, żeby pozostała w Plainsville, jeśli przy każdym spotkaniu będzie zachowywał się jak nieopierzony nastolatek.

Zatrzymał się na piętrze, by wyrównać oddech. Drzwi do pokoju Rosalyn były otwarte, a z pokoju po przeciwnej stronie korytarza, gdzie rano zostawił kufer, dobiegł go szelest przewracanych kartek. Stał w progu i przyglądał się siedzącej w fotelu kobiecie, aż w końcu zorientowała się, że nie jest sama i podniosła wzrok.

- Jack!

- Mówiłem Sophie, że pewnie wpadnę.

Nie odpowiedziała, tylko przyglądała mu się z twarzą wyrażającą ni to zmęczenie, ni konsternację.

- Widzę, że przeglądałaś albumy. Od razu się uśmiechnęła.

- Tak. I wiesz co znalazłam? Zdjęcia prapradziadków i mojej babci, jak była dzieckiem.

Entuzjazm w głosie Rosalyn był wręcz rozczulający.

- Niestety, nigdy nie widziałem tych albumów.

- To chodź zobacz. - Wskazała miejsce na brzegu łóżka, tuż obok fotela.

Jack przysiadł na materacu i na ułamek sekundy wrócił myślami do sceny, która rozegrała się poprzedniego wieczoru w sypialni po drugiej stronie korytarza. Przechylił się przez ramię Rosalyn, by lepiej widzieć zdjęcia, i naraz poczuł odurzający zapach wiosennych fiołków i konwalii. Zakręciło mu się w głowie, a postaci na zdjęciu nagle stały się niewyraźne.

Usilnie starał się odzyskać ostrość spojrzenia i skupić uwagę na zdjęciach i podpisach, które Rosalyn odczytywała dźwięcznym głosem. Przychodziło mu to z wielkim trudem, gdyż za każdym przewróceniem strony bezwiednie odsłaniała część wyciętego w literę V dekoltu. Prawie nie odróżniał poszczególnych osób i słów.

Nagle odwróciła głowę i nosem o mało nie zawadziła o policzek Jacka. Ledwie się opanował, by znowu nie porwać jej w ramiona.

- Wiedziałeś - zapytała - że Ida Mae i moja babcia miały starszego brata?

Wykonał gwałtowny ruch głową i czubki ich nosów zniechęca się zderzyły. Kiedy Rosalyn odchyliła plecy, zanosząc się śmiechem, Jack odsunął się nieco na łóżku, żeby nie kusić więcej losu. Jeszcze trochę, a znów by ją pocałował.

- Nie, nie miałem o tym pojęcia - odrzekł i podniósł się z miejsca. - Masz tu gdzieś jego zdjęcie?

Cofnęła się o kilka stron.

- O tutaj. Zobacz.

Spojrzał jej przez ramię, po czym, na wszelki wypadek, odsunął się na jeszcze bardziej bezpieczną odległość.

- Ciekawe, co się z nim stało...

- Nie domyślasz się?

- Albo umarł, albo wyjechał z Plainsville bardzo dawno temu, bo dziadek Henry nigdy o nim nie mówił.

- Sophie też tak sądzi. Chyba musiał przedwcześnie umrzeć.

- Rolfe? Tak miał na imię?

Rosalyn skinęła głową. Wolałaby, żeby zamiast tak stać w oddaleniu, Jack znowu usiadł tuż obok niej na łóżku.

- Jeśli zmarł w Plainsville, to zapewne pochowany jest na miejscowym cmentarzu ewangelickim, tam gdzie Ida Mae.

- Nie zauważyłeś grobu, kiedy byłeś na jej pogrzebie?

- Nie. Ale to był deszczowy dzień i ceremonia nie trwała długo. Nikt nie składał kondolencji, bo właściwie nie było żadnej rodziny.

Spróbowała wyobrazić sobie ten pogrzeb. Musiał wyglądać podobnie jak pochówek matki Rosalyn. Poza nią samą i ojcem przyszła jeszcze przyjaciółka zmarłej i z jakiegoś nie znanego jej bliżej powodu właściciel sklepu spożywczego, w którym mama zwykła była robić zakupy. To był naprawdę skromny pogrzeb.

- O czym myślisz? - Jack stanął na wprost fotela i przyglądał się Rosalyn troskliwie.

- O rodzinie. A raczej o tym, że już jej nie mam.

- Przecież te zdjęcia aż roją się od krewnych.

- Owszem. Tylko że oni wszyscy nie żyją. Pokręcił głową.

- Mimo wszystko są nadal twoją rodziną. To tak jakby stanowili część ciebie samej.

Mimo że nie zdołał jej przekonać, Rosalyn doceniła żarliwość, z jaką usiłował ją pocieszyć. Przynajmniej nie jest już tak posepny jak na początku wizyty, pomyślała. Kiedy przyjrzała mu się z bliska, dostrzegła, że się dziś nie ogolił. W dodatku wyglądał, jakby miał za sobą bezsenność. Czyżby to wczorajszy pocałunek tak wytrącił go z równowagi? A może coś nieprzyjemnego spotkało go w pracy?

Wiedziona instynktem poprosiła:

- Opowiedz mi o swojej rodzinie.

Twarz Jacka pojaśniała. Przysunął sobie krzesło i z zapalem rozpoczął opowieść. Sporo później, kiedy Sophie uchyliła drzwi z

pytaniem, czy Jack zostanie na kolacji, Rosalyn aż kręciło się w głowie od niezliczonych imion i historyjek dotyczących Jensenów.

- Na kolacji? - Jack jakby nie rozumiał słów Sophie.

- Mógłbyś zostać? Będzie mi naprawdę miło, jeśli dotrzymasz mi towarzystwa.

- Na pewno nie masz nic przeciw mojej obecności?

- Najwyraźniej nie chciał się narzucać.

Sophie głośno odchrząknęła w progę.

- Jeśli będziecie w stanie się od tego oderwać - wskazała z niechęcią na kufer - to na stole w kuchni stoi taca z nakryciem, a jedzenie jest w piekarniku. - Zawiesiła znacząco głos. - Sami zdecydujecie, czy wolicie zjeść w kuchni, czy tu na górze.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Rosalyn mrugnęła do Jacka porozumiewawczo i oboje wybuchnęli śmiechem.

- Nie zwracaj uwagi na Sophie - powiedział. - Próbuje mnie wyswatać, od kiedy wróciłem do Plainsville.

To stwierdzenie aż prosiło się o uzupełniające pytanie. Czyżby nie było żadnej kobiety w jego obecnym życiu? Jednak Rosalyn nie zdobyła się na to, by zaspokoić swoją ciekawość.

- Musiało ci być ciężko opuścić wielkie miasto i przenieść się tutaj z powrotem - zapytała po chwili milczenia.

- Pewnie z wielu rzeczy musiałeś zrezygnować.

- Z niczego, na czym by mi zależało - odparł, patrząc jej prosto w oczy.

Zdała sobie sprawę, że tym jednym zdaniem podkreślił dzielącą ich przepaść. Wszystko, czego sama pragnęła w życiu, pozostało w Chicago. I fakt, że Jack jest atrakcyjny i czarujący, nie może tego zmienić.

- Może jednak zjemy tutaj - zaproponowała, kierując rozmowę na bardziej neutralny tor.

Błysk w oczach Jacka przyprawił ją o przyspieszone bicie serca. Może jednak byłoby lepiej, gdyby zeszli do kuchni, pomyślała, ale zanim zdążyła otworzyć usta, Jack podniósł się z krzesła.

- Pójdę po tacę - powiedział i zniknął za drzwiami.

W czasie kolacji ciągnął opowieść o swej rodzinie. Rosalyn chłonęła każde słowo; ciepło, z jakim wyrażał się o swych bliskich, napawało ją zazdrością i wzruszeniem.

Jensenowie stanowili liczny klan rozrzucony praktycznie po całym środkowym zachodzie. Co pięć lat organizowali zjazd rodzinny, na którym pojawiali się krewni z najodleglejszych nawet zakątków kraju.

- W tym roku uroczystość ma odbyć się tutaj - powiedział, wkładając do ust kawałek kurczaka.

- W Plainsville? - zdziwiła się Rosalyn.

- Owszem. A co, uważasz, że to nie dość atrakcyjne miejsce dla krewnych z miasta?

- Nie o to chodzi - odrzekła speszona. - Tylko czy zdołacie ich wszystkich pomieścić?

- Z tym rzeczywiście może być pewien problem, ale podjęliśmy już pewne kroki, żeby mu zaradzić. Jeśli dopisze pogoda, część gości zamieszka w wypożyczonych namiotach. Tata już je zamówił razem z przenośnymi toaletami i prysznicami. Najstarsi, oczywiście, będą mieli zarezerwowane miejsca w hotelu. W końcu mamy jeszcze kilka miesięcy na dopracowanie szczegółów.

- Przystąpiliście do przygotowań z rocznym wyprzedzeniem? - Rosalyn nie posiadała się ze zdumienia.

- Nawet wcześniej. A tak naprawdę rodzice zaczęli planować całą imprezę już cztery lata temu, kiedy tylko dowiedzieli się, że tym razem zjazd odbędzie się w Plainsville.

- Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, że można cokolwiek planować przez całe pięć lat.

- Jak to? Przecież w końcu na tym polega twoja praca. Inwestowanie pieniędzy klientów czy wybór ubezpieczenia emerytalnego to właśnie planowanie z dużym wyprzedzeniem, prawda?

Rosalyn nie mogła nie przyznać mu racji.

- Rzeczywiście, choć obecnie większość moich klientów to całe korporacje, czasem jakieś mniejsze firmy. A ja mówiłam o życiu prywatnym. Skąd, na przykład, mogliście wiedzieć, że za pięć lat dalej będziecie tu mieszkać?

- Jensenowie zawsze byli, są i będą w Plainsville. Może nie wszyscy, ale jednak. - Zawiesił na moment głos. - Niektórzy rzeczywiście stąd wyjeżdżają. Na przykład mój młodszy brat, który teraz studiuje w college'u, pewnie nie będzie chciał zostać na farmie.

- Mówiłeś, że teraz twój starszy brat prowadzi gospodarstwo.

- Tak. Kiedy skończył służbę w Niemczech, doszedł do wniosku, że nie chce robić kariery w wojsku. Za bardzo tęsknił za ziemią. Poza tym żona i dzieci miały dosyć ciągłych przeprowadzek.

Rosalyn pierwszy raz w życiu usłyszała, że ktoś może tęsknić za ziemią, jednak od razu zrozumiała sens zawarty w tych słowach. Pomyślała o sobie. Jedyne kawałek gruntu, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia, to małe ogródek na tyłach domu dziadków.

- A ty? - zapytała.

- Co ja?

- Wyjechałeś z Chicago, żeby zająć się gospodarstwem po wylewie taty. Nie chciałeś potem zostać na farmie? Albo wrócić do Chicago, kiedy brat zdecydował się zostać w Plainsville?

- Nie chciałem pracować na roli - odpowiedział po chwili zastanowienia. - To ciężkie i moim zdaniem niewdzięczne zajęcie. Jest tyle rzeczy, którymi uwielbiam zajmować się w wolnym czasie, a na farmie ciągle jest coś do zrobienia i rzadko zdarza się chwila wytchnienia. Poza tym nikt nie nadaje się lepiej na farmera niż mój brat.

- To dlaczego nie wróciłeś do Chicago?

- Mówiłem ci już - odparł, nie spuszczać oczu z Rosalyn - że nie było tam nic, do czego chciałbym wracać. - Wstał z miejsca i zebrał brudne talerze. - Gdybyś została na dłużej w Plainsville, może sama doszłabyś do takiego wniosku.

- Jak to?

- Stąd przecież pochodzi twoja rodzina i tu pochowana jest większość jej członków. W starym, dobrym Plainsville w środku Iowy. Jesteś tak samo związana z tą ziemią, jak ja i moi bracia. Tyle że na razie jeszcze o tym nie wiesz - powiedział i od razu wyszedł z pokoju.

Ociężałe ruchy i niechętnie spojrzenie świadczyły ponad wszelką wątpliwość, że Sophie jest w kiepskim humorze. Aż parsknęła, kiedy Rosalyn wyjaśniła, że Jack przed wyjściem pozmywał naczynia.

- Mogły poczekać w zlewie do rana.

- Chciał ci oszczędzić pracy.

- Też coś. Jestem przyzwyczajona do roboty. A zmywanie nie należy do jego obowiązków. Powinien...

- Co?

- Nieważne - burknęła gospodyni.

- Uważasz, że powinien tylko dotrzymywać mi towarzystwa?

- Chociażby. - Sophie zebrała naczynia po śniadaniu i skierowała się do wyjścia.

- Nie jestem dzieckiem i naprawdę nie trzeba się mną stale zajmować.

Może dlatego, że kiepsko spała tej nocy, Rosalyn powoli zaczynała tracić cierpliwość.

- Rzeczywiście, nie jesteś już dzieckiem. - Gospodyni zatrzymała się w pół kroku. - I z całą pewnością nie jest nim Jack - dodała znacząco i majestatycznym krokiem wymaszerowała z sypialni.

Rosalyn nie bardzo zrozumiała, o co jej chodziło, ale nie zamierzała tracić czasu na gubienie się w domysłach.

Spojrzała na kufer stojący przy drzwiach. Jeszcze wczoraj Jack spakował obejrzone albumy i odniósł je z powrotem na strych, a na dół zniósł drugi kufer, który ustawił przy drzwiach jej sypialni. Zaraz potem pożegnał się i poszedł do domu.

Magia wieczoru prysła jak bańka mydlana i Rosalyn wiedziała, że jedynie siebie może winić. Jednak nic nie mogła na to poradzić. Nikt nie może od niej oczekiwać, że zacznie udawać kogoś, kim nie jest.

Westchnęła. Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a już udało jej się zirytować jedyne dwie osoby, jakie знаła w Plainsville. Co gorsza, jest od tych ludzi kompletnie uzależniona. Łzy napłynęły jej do oczu. Tak bardzo tęskniła już za Chicago i znajomymi twarzami współpracowników, że postanowiła zadzwonić do Judy. I może do Eda, żeby dowiedzieć się, co nowego wydarzyło się w biurze.

Zejście na dół okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Prawą ręką trzymała się mocno poręczy, lewą oparła na kuli, i w ten sposób zdołała pokonać schody, prawie nie obciążając lewej stopy. Pokuśtykała do salonu i wykręciła numer firmy.

Sekretarka Eda poinformowała ją, że szef wyjechał na weekend.

- Jak to? Przecież dziś jest dopiero czwartek - zdziwiła się Rosalyn.

- Poleciał na Karaiby - wyjaśnił głos po drugiej stronie słuchawki.

Dziwne, że w czasie ostatniej rozmowy nie wspomniał o planowanej wycieczce. A w dodatku lecieć tak daleko tylko na weekend?

- To służbowy wyjazd? - zapytała.

- Pan Saunders nie ujawnił przede mną celu podróży. Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

- Właściwie nie mam żadnej ważnej sprawy. Dzwonię tylko, żeby dowiedzieć się, co słyhać. Możesz połączyć mnie z Judy?

W słuchawce zapadło milczenie.

- To ty nic nie wiesz? - odezwała się sekretarka po dłuższej chwili. - Judy już u nas nie pracuje.

- Jak to?

- Złożyła wymówienie.

- Nie rozumiem. Nie dalej jak kilka dni temu Ed mówił, że Judy zastępuje sekretarkę Boba.

- Tak rzeczywiście było.

- I co się stało?

- Nie lubię powtarzać plotek - powiedziała kobieta - szczególnie kiedy dotyczą Judy. Ale niektórzy twierdzą, że Judy utrzymywała kontakty z Jimem Naismithem, i to bynajmniej nie tylko służbowe. Rozumiesz, co mam na myśli.

- Niezupełnie. Możesz mówić trochę jaśniej?

- W zeszłym tygodniu Ed poprosił Judy na rozmowę, a jak wychodziła z jego gabinetu, widziałam, że ma łzy w oczach. Następnego dnia zadzwoniła, że jest chora, a zaraz potem przysłała faksem wymówienie.

Rosalyn przymknęła powieki, podziękowała sekretarce i odłożyła słuchawkę. Zaczynały ją dręczyć coraz większe wątpliwości. Co się tam dzieje? Ludzie, których zna od lat, zachowują się w sposób, o który nigdy by ich nie podejrzewała.

Natomiast ci, których poznała zaledwie dwa tygodnie temu, zachowują się tak, jakby łączyło ich z Rosalyn wiele lat bliskiej przyjaźni.

Rozdział 9

Aż do zmroku Rosalyn nie ruszyła się z salonu. Sophie musiała zorientować się, że coś jest nie tak, bo powstrzymała się od wszelkiego komentarza, tylko obeszła pokój na paluszkach, zapalając po drodze lampy, po czym przyniosła tacę z kolacją.

- Poczekam, aż zjesz, to pomogę ci potem wejść na górę do sypialni.

Jednak Rosalyn wolała zostać sama. Zgodnie z życzeniem gospodyni, po skończeniu posiłku nie odniosła brudnych naczyń do kuchni. Była naprawdę zmęczona, więc zaraz wdrapała się na piętro i położyła do łóżka. Jednak długo jeszcze nie mogła zasnąć.

Wieczorem w pokoju na dole zadzwonił telefon. Pomyślała, że może powinna spróbować go odebrać, ale zejście na dół zapewne trwałoby zbyt długo. Poza tym obawiała się, że to może Jack, a zupełnie nie wiedziała, co ma mu powiedzieć.

Dopiero następnego dnia przed południem, po odświeżającej kąpieli i sutym śniadaniu, poczuła się na tyle dobrze, żeby przejrzeć zawartość drugiego kufra.

Sophie wyjęła ze środka kolejne albumy i ułożyła je na nocnym stoliku w pokoju dla gości.

- Zawołaj mnie, jeśli będziesz chciała następne.

- Nie trzeba, naprawdę dam sobie radę. Gospodyni powoli zbierała talerze, jakby specjalnie ociągała się z wyjściem.

- Widziałam, że poruszasz się już bez kuli. Skoro rzeczywiście czujesz się lepiej, może mogłabym dzisiaj wyjść wcześniej? Muszę pojechać do Des Moines w pewnej sprawie rodzinnej - wyjaśniła.

Jej ton zdradzał, że sprawa musi być poważna.

- Ależ oczywiście, jedź. Coś się stało? Może mogłabym ci pomóc.

- To nic takiego, tyle że wszystko jest na mojej głowie. I jeszcze jedno. Chciałam cię poprosić o wcześniejszą wypłatę za ten tydzień.

- Jasne. Że też sama o tym wcześniej nie pomyślałam. Jack kilkakrotnie czynił aluzje do kłopotów trapiących

Sophie, a i ona wspomniała przy jakiejś okazji, że pomaga siostrze opiekować się dziećmi. Jednak Rosalyn nie przywiązywała wagi do tych informacji, zakładając, że skoro jej własne życie wolne jest od osobistych komplikacji i problemów finansowych, ludzie, którzy ją otaczają, też nie mają powodów do zmartwień.

Zarówno Sophie, jak i Jack, mają mnie za rozpieszczoną księżniczkę, pomyślała z zażenowaniem. Wypisała czek na wyższą sumę, niż było umówione, i włożyła go do koperty, którą położyła na stoliku przy łóżku. Następnie zajęła się przeglądaniem albumów.

Kiedy godzinę później gospodyni weszła do pokoju, właśnie przewracała ostatnią kartkę.

- Obejrzałam wszystkie zdjęcia, a bliźniaczki wciąż jeszcze są na nich dziećmi. Rodzice musieli chyba wydać fortunę na tyle fotografii.

- O ile mi wiadomo, to ich ojciec miał mnóstwo pieniędzy. Był przecież prezesem banku. Zostawiłam ci w lodówce zapiekankę, a na blacie znajdziesz świeże pieczywo i kilka babeczek, które pozostały z wczoraj. Na lunch jest rosół i sałatka. Chcesz, żeby teraz ci podać?

- Dziękuję, Sophie, ale nie zwracaj sobie głowy. Sama później zejść do kuchni. A w ogóle to chciałam ci podziękować, bo naprawdę nie zaznałam takiej troskliwości od czasów dzieciństwa. Zresztą, nawet kiedy byłam małą dziewczynką, aż tak bardzo nikt o mnie nie dbał - powiedziała, wspominając z goryczą surowe metody wychowawcze babci Dutton, i podała gospodyni czek. - Jeszcze raz dziękuję za wszystko. Przyjdiesz w poniedziałek?

- Jeśli sobie tego życzysz.

- We wtorek mam wizytę u lekarza i jestem pewna, że pozwoli mi już wrócić do pracy. Ale bardzo bym chciała, żebyś jeszcze przychodziła. Muszę zadzwonić do Randalla Taylora i dowiedzieć się, czy mogę zabrać trochę rodzinnych pamiątek po Idzie Mae, na przykład te albumy... Oczywiście, jeśli zdecyduję się zrezygnować ze spadku - dodała szybko na widok zmienionego wyrazu twarzy gospodyni.

Sophie kiwnęła głową i chyba chciała coś powiedzieć, ale szybko zmieniła zdanie. Obróciła się na pięcie i podreptała do drzwi.

- Może jednak i tak tu zostaniesz - mruknęła pod nosem i zniknęła za drzwiami.

Dlaczego nikt nie jest w stanie uwierzyć, że nie zamieszkam w Plainsville, rozmyślała Rosalyn. Może powinnam się poddać? Jednak, kiedy zajrzała do kufra i zobaczyła, że na dnie zostały zaledwie dwa albumy, nie była w stanie sobie nawet wyobrazić, jak zabije nudę w czasie tych kilku dni, które ma jeszcze tu spędzić.

Poza tym w firmie dzieją się przedziwne rzeczy. Jak tylko Ed wróci z Karaibów, poinformuje go, że wraca do pracy.

Wczesnym popołudniem skończyła oglądanie zdjęć, z których ostatnie pochodziło z 1930 roku, kiedy to bliźniaczki miały po dwadzieścia lat. Dziewczyny stały przed domem i mimo że fotografię wykonano wkrótce po wielkim krachu na giełdzie, śmiały się szeroko i ufnie patrzyły w przyszłość. Kiedy i jak to się stało, że zerwały ze sobą wszelkie kontakty?

Rosalyn zamknęła album i odłożyła go na łóżko. Wiedziała, że nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie. Szkoda, bo nie załatwione do końca sprawy z reguły wróżą kłopoty. Tego przynajmniej nauczyły ją lata pracy.

Szkoda tylko, myślała, że rzadko udaje się jej stosować tę zasadę w prywatnym życiu. Wszelkie związki, w jakie zdarzyło się jej zaangażować, umierały śmiercią naturalną z braku inicjatywy którejś ze stron. Co więcej, z reguły wołała raczej zapomnieć o nieporozumieniach czy zranionych uczuciach, niż usiłować cokolwiek wyjaśnić. Gdyby w tej chwili ktoś poprosił Rosalyn o samoocenę, nie wystawiłaby sobie najlepszego świadectwa.

Może lunch poprawi jej nastrój? Wzięła do ręki talerz i smakowała każdy kęs, zdając sobie sprawę, że jedzenie w barach czy restauracjach Chicago nigdy nie dorówna domowej kuchni prowadzonej przez Sophie. Poza tym, im dłużej będzie jadła, tym mniej czasu przyjdzie jej spędzić, zabijając nudę. Wcześniej zastanawiała się, czyby nie wezwać taksówki i wybrać się na wycieczkę do miasta, ale na widok strug deszczu spływających po szybach odrzuciła i ten pomysł. Pokręciła się trochę po domu, po czym wróciła do salonu.

Mimo że zaczął się już maj, w domu wciąż czuło się wilgoć i przejmujący chłód. Wzrok Rosalyn padł na kominek. Ciekawe, kiedy ostatnio był używany. Na pewno buchający ogień uczyniłby pokój przytulniejszym, ale niestety, nie miała drewna na rozpałkę.

Jeszcze raz obejrzała liczne przedmioty zgromadzone przez cioteczną babkę. Tylko ile czasu można poświęcić na oglądanie tych samych rzeczy?

Tempo życia w Chicago jest bez porównania szybsze. Nawet w wolnych chwilach zawsze musi się spieszyć, by zdążyć na siłownię albo nie spóźnić do kina, teatru czy na umówioną kolację. Nigdy nie pozwalała sobie na marnowanie czasu, jakby starała się uciec przed refleksją nad nie spełnionym życiem prywatnym i nie zaspokojoną

potrzebą miłości. Po co się nad tym zastanawiać, skoro i tak dawno porzuciła już nadzieję na szczęście...

Stała w oknie i wpatrywała się w ogród, próbując wyobrazić go sobie w pełnym rozkwicie. Nie było to łatwe, bo jedyne rośliny i kwiaty, jakie знаła, to te, które zwykle sprzedają w wielkomiejskich kwiaciarniach. Przetarła dłonią zamgloną szybę i poszukała wzrokiem różanego krzewu. Musiała stanąć na palcach, bo kiwająca się na wietrze gałąź cedru całkiem zasłaniała jej widok. W końcu dostrzegła wystającą z ziemi wiązkę brunatnych patyków.

Czy to złudzenie, czy rzeczywiście pojawiły się na nich pączki? Może zanim wyjedzie z Plainsville, wypuszczą liście? Nie, to raczej mało prawdopodobne. Ale poprosi Sophie - albo nawet Jacka, jeśli tylko zdobędzie się na odwagę - żeby przysłał jej zdjęcie kwitnącego krzewu. Mogłaby wprowadzić takie zdjęcie do swojego komputera i pokazywać znajomym w biurze, tak jak sekretarki pokazują fotografie swoich dzieci. Wiesz co, Baines? - skarciła się w duchu. Jesteś żałosna. Zupełnie jakbyś myślała, że te kwiaty mogą zastąpić rodzinę.

Odwróciła się tyłem do okna i przebiegła wzrokiem po staroświeckim wnętrzu. Ciekawe, ileż to godzin Ida Mae tu spędziła, wpatrując się w krzew w ogrodzie. Wyobraziła sobie siebie samą, jak otulona w wydzierganą na szydełku chustę siedzi w głębokim fotelu, z nogami wspartymi na podnóżku, ze wzrokiem utkwionym w kolczastym krzewie.

Ze smutkiem musiała przyznać, że zarówno dla niej, jak i dla ciotecznej babki właśnie róże Iowy stanowiły ostatni łącznik z rodziną.

Jack właśnie podjechał pod dom, kiedy drzwi się otworzyły i ze środka, jakby w popłochu, wybiegła Rosalyn. Próbował zgadnąć, skąd ten pośpiech, aż nagle zauważył kłęby dymu za jej plecami. Gwałtownie nacisnął na hamulec, wyłączył silnik i wyskoczywszy z szoferki, pognął przez trawnik.

- Kominek! - zdołała wykrztusić i zaniósła się głębokim kaszlem.

Od razu zorientował się, co się stało. Zapomniał jej powiedzieć, że zanim rozpali ogień, musi odciągnąć specjalną zapadkę w kominie. Dym zdążył wypełnić już cały hol.

Zasłonił dłonią usta i pognął do salonu. Nie miał najmniejszego problemu z odnalezieniem uchwytu i po chwili był z powrotem na

werandzie. Rosalyn doszła już do siebie i teraz siedziała w wiklinowym fotelu.

- Przepraszam, to moja wina. Powinienem był cię uprzedzić, że przewód kominowy jest zamknięty.

- Skąd mogłeś wiedzieć, że przyjdzie mi do głowy rozpalić ogień!

Jack roześmiał się.

- Fakt, przecież mamy maj. Ale dzisiejszy dzień jest wyjątkowo chłodny i dżdżysty. W każdym razie dobrze, że wpadłem.

- Zawsze zjawiasz się w porę. Myślisz, że zapomniałam, jak wybawiłeś mnie z opresji na strychu?

- Niczym rycerz w lśniącej zbroi, prawda? Ale nie martw się - dodał, widząc, że nie opuściło jej napięcie. - Dom na pewno by się nie spalił, a poza tym użyłaś samych gazet, a papier szybko się pali, więc za parę minut i tak byłoby po wszystkim.

- Dzięki Bogu. Może w szkole powinnam była jednak zapisać się do harcerstwa.

Na samą myśl o Rosalyn ubranej w harcerski mundur Jack roześmiał się głośno.

- Właściwie przyjechałem zapytać, czy nie zrobić ci jakichś zakupów na weekend, no i... - bezwiednie zaczął się jąkać - no i chciałem zaprosić cię na jutro do moich rodziców na kolację. Oczywiście, jeśli jesteś w stanie znieść dom pełen Jensenów.

Twarz Rosalyn rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Z największą przyjemnością. Właśnie przez pół dnia zastanawiałam się, jak wypełnić czas do poniedziałku.

- No to jesteśmy umówieni - ucieszył się, przeczesując włosy nieporadnym gestem. - Chyba powinnaś wejść do środka - dodał, widząc, że Rosalyn właśnie zaczęła rozcierać zmarznięte ramiona.

W odpowiedzi skinęła głową, jednak nie ruszyła się z miejsca.

- Dziwne rzeczy dzieją się w mojej firmie - powiedziała po chwili. - Moja sekretarka złożyła wymówienie i nawet nie zadzwoniła, żeby mnie zawiadomić. Szef wyjechał na weekend za granicę i nie ma ani jednej osoby, która byłaby w stanie cokolwiek mi wyjaśnić. - Zawiesiła głos. - Naprawdę powinnam już wyjechać. Jak widać, utrzymywanie kontaktu przez telefon nie zdaje egzaminu.

Jack wstrzymał oddech w oczekiwaniu na dalsze rewelacje, jednak Rosalyn nie powiedziała na ten temat nic więcej. Przez cały

czas czuł na sobie jej spojrzenie, jakby oczekiwała na jego reakcję. A on zupełnie nie wiedział, co mógłby powiedzieć. Na samą myśl o jej wyjeździe czuł gorycz w sercu, ale z drugiej strony podkrążone oczy Rosalyn świadczyły dobitnie o tym, że sytuacja w pracy poważnie ją niepokoi.

- A czujesz się już na tyle dobrze, żeby wracać? Podniosła się z fotela.

- Jeśli chodzi o zdrowie, to już od kilku dni właściwie nic mi nie dolega. Nie wyjechałam dotąd ze względów, powiedziałabym, psychologicznej natury.

- To znaczy?

- Sama nie wiem, jak to wyjaśnić. Zafascynowały mnie te albumy ze zdjęciami. Wiesz, oglądanie starych, zakurzonych fotografii jest czymś zupełnie wyjątkowym, szczególnie kiedy wiesz, że przedstawiają twoich bliskich. I oczywiście, strasznie chciałabym rozwiązać zagadkę zerwania stosunków między babcią a jej siostrą. A poza tym, mimo że narzekam na nudę panującą w Plainsville, chyba nigdy nie czułam się tak wypoczęta.

- Żeby dobrze poznać jakieś miejsce, trzeba mieszkać w nim dłużej niż kilka tygodni.

- Masz rację. I wierz mi, że pobyt tutaj bardzo mi pomógł. Gdybym po prostu zabrała te albumy do Chicago, pewnie do tej pory leżałyby nie rozpakowane.

- Ten dom, podobnie jak wiedza o przodkach, stanowią jedynie część tego, czym naprawdę jest Plainsville. Pozostaje jeszcze miasto, jego mieszkańcy i ziemia. Twoja ziemia.

- Mówisz jak sprzedawca, który zachwala swój towar.

- Wiem. Lenny zawsze powtarza, że jestem niewiarygodnym idealistą, jeśli chodzi o to miasteczko. Ale ja miałem okazję poznać życie także z tej drugiej strony. Dałem się wciągnąć w tę szaloną grę, jaka bez końca toczy się w Chicago, i wiem, że życie w wielkim mieście potrafi wyssać z człowieka wszystkie soki. - Odwrócił się i spojrzał na ogród. - Chodzi o to, że tak naprawdę dusza czerpie pożywienie z rzeczy zupełnie podstawowych. I one właśnie są tutaj. Wystarczy się rozejrzeć.

Zakreślił dłonią szeroki krąg w powietrzu. Kiedy się odwrócił, Rosalyn miała wzrok utkwiony w różanym krzewie.

- Opowiedz mi, jak on wygląda, kiedy okryje się kwiatami - poprosiła.

- Jest bardzo piękny, ale przede wszystkim uderza swoją prostotą. Nie ma żadnych wściekłych kolorów ani nienaturalnie powyginanych płatków, spotykanych we współczesnych odmianach, tylko pełne, kształtne kwiaty o niezwykle subtelnym odcieniu różu, który zmienia się zależnie od kąta padania promieni słońca. I nigdy nie można do końca powiedzieć, jak pachną, bo to też zależy od wiatru, słońca czy wieczornej rosy... - Urwał w obawie, że zaczyna brzmieć jak kaznodzieja.

Rosalyn przez dłuższy czas stała w milczeniu. Już zaczynał pluć sobie w brodę, że zirytował ją swoją opowieścią, kiedy nagle poprosiła:

- Przyślesz mi zdjęcie?

- Oczywiście - obiecał ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

Myślał teraz tylko o tym, że być może jutro będzie miał ostatnią szansę przekonania Rosalyn, by pozostała w Plainsville.

- Wpadnę po ciebie o trzeciej, to może jeszcze zrobimy sobie małą przejażdżkę po twoich włościach.

- Dobrze - odparła bez większego zainteresowania. Pożegnał się i odszedł do samochodu. Przynajmniej

raz obyło się bez zgrzytów, choć niestety, przynajmniej na razie nie udało mu się zbyt wiele osiągnąć.

Pojawił się dokładnie o umówionej godzinie. Rosalyn ceniła punktualność u mężczyzn, uważając, że jest to jedna z zalet świadczących o odpowiedzialności. Na szczęście nie prowadził dziś firmowej furgonetki, tylko zwykły osobowy samochód, co oszczędziło jej wysiłku wdrapywania się do szoferki w krótkiej, wąskiej spódnicy i klapkach na obcasie.

Spędziła prawie całe przedpołudnie, starając się dobrać jak najlepszy zestaw z nielicznych ciuchów, jakie przywiozła z Chicago. Wizyta w środku dnia na farmie oznaczała, że nie powinna się stroić. Ale z drugiej strony zdała sobie sprawę, że w ciągu paru tygodni ich znajomości Jack miał okazję widzieć ją jedynie albo w koszuli nocnej, albo w dżinsach, więc przynajmniej tym razem chciała wyglądać szczególnie atrakcyjnie.

Sama nie bardzo wiedziała czemu, bo przecież niedługo wyjedzie z Plainsville i zapewne ich drogi więcej się nie zejdą. Mimo to chciała

pokazać się z jak najlepszej strony i chyba się jej udało, bo kiedy otworzyła drzwi, Jack spojrzął na nią z nie ukrywanym zachwytem.

- Wyglądasz rewelacyjne - powiedział.

- Ty też.

Miał dzisiaj na sobie oliwkowe spodnie z grubej bawełny, jasnozieloną koszulę w paski i brązową, tweedową marynarkę.

Podrapał się w brodę z zakłopotaniem.

- Teraz przy tobie wydaje mi się, że nie jestem dostatecznie elegancki.

- Nie przesadzaj. Przecież włożyłam tylko spódnicę i sweter.

Ostentacyjnie oszacował ją spojrzeniem.

- Niby tak, tylko to niezupełnie zwykły sweter. Powiedziałbym, że bardzo zgrabnie podkreśla ci figurę. A ta spódniczka! - Nie mógł oderwać wzroku od jej kolan. - W każdym razie dobrze, że to nie jest niedziela, bo poczciwi mieszkańcy starego, nudnego Plainsville padliby z wrażenia.

Rosalyn poklepała go przyjaźnie po ramieniu.

- Chodzi mi tylko o to, żeby spodobać się twojej rodzinie. Reszta mnie nie obchodzi.

Jack przekręcił kluczyk w stacyjce i wycofał samochód na ulicę.

- Mówiłaś poważnie? Mam na myśli to, że zależy ci na zdaniu moich rodziców.

Udała, że ma kłopoty z zapięciem pasa. Wolałaby nie sprowadzać rozmowy na poważne tory.

- W końcu o to przecież chodzi. To znaczy, ty chcesz mnie przedstawić rodzicom, a ja chcę, żeby mnie polubili. To chyba naturalne, prawda?

- Chyba tak - uśmiechnął się. - Gotowa do drogi?

- A jakże!

Dwadzieścia minut później znaleźli się na obrzeżach miasta, po czym skręcili w Goshen Road i zawrócili w stronę domu Petersenów.

- Czy komukolwiek zdarzyło się tu kiedyś zabłądzić?

- Tylko bezradnym przybyszom z wielkich metropolii, którym wydaje się, że skręcili nie tam gdzie trzeba. Ale, mówiąc serio, to nieważne, czy miasto jest duże czy małe, tylko...

- Czy ich mieszkańcy mają wielkie serca, tak?

- Boże, czyżbym naprawdę przemawiał jak ksiądz na ambonie?

- Mniej więcej.

- Przepraszam. Umówmy się, że ilekroć zdarzy mi się wpaść w ten ton...

- Dam ci kuksańca w bok. Chyba że wolisz złośliwe uwagi?

- Wolę kuksańca. - Wskazał dłonią za szybę. - Widzisz tę kępę drzew? Tam właśnie doszliśmy tego dnia, kiedy cię poznałem.

- Nie sądziłam, że jest aż tak duża.

- Bo stąd widać całą panoramę. Wcale nie przesadziłem, mówiąc, że to ogromna posiadłość.

- Mówiłeś, że ktoś dzierżawi większość grantu?

- Tak. O ile pamiętam, gość nazywa się McDougall. Nie znam szczegółów, ale prawnik Idy Mae pewnie ma kopię umowy. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle została spisana, bo u nas większość spraw załatwia się, za przeproszeniem, na gębę.

- W Chicago byłoby to nie do pomyślenia.

- Wiem. A co, chcesz przedłużyć dzierżawę? - zapytał po chwili wahania.

Rosalyn odwróciła twarz w stronę okna.

- Ja? Przecież nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego. Po prostu byłam ciekawa.

Zdawała sobie sprawę, że jej słowa popsują Jackowi humor, lecz nie chciała czynić mu niepotrzebnych nadziei.

Przez dłuższą chwilę jechali prawie w milczeniu, przerywanym jedynie wymianą zdawkowych, niewiele znaczących uwag. Mniej więcej po dwudziestu następnych minutach Jack skręcił w obsadzoną drzewami drogę prowadzącą przez pola, na końcu której oczom Rosalyn ukazał się duży, piętrowy dom z cegły z białymi ornamentami.

- Jaki piękny! - zawołała.

- I bardzo stary. Najpierw pradziadek postawił tu chatę o dwóch izbach, a reszta została potem dobudowana przez kolejne pokolenia. Mój dziadek zajmował się stolarką i jemu zawdzięczamy wszystkie zdobnicze elementy.

- Co uprawiają rodzice? Trzymają jakieś zwierzęta?

- Poczekaj, aż dojedziemy, to sama zobaczysz. Poza domem gospodarstwo składało się z obszernej stodoły obłożonej aluminiowym sidingiem i dwóch budynków gospodarczych. Na podwórzu stały maszyny rolnicze, których przeznaczenia nie mogła się nawet domyślić, czerwona furgonetka Jacka i traktor. Na widok

zbliżającego się samochodu z za domu wypadły trzy psy, szczekając i radośnie merdając ogonami.

- Nie wysiadaj, zanim ich nie uspokoję, bo bardzo lubią okazywać uczucia.

Zatrzymał samochód i ledwie postawił nogi na ziemi, a psy obskoczyły go radośnie. Musiały być jednak dobrze ułożone, bo wystarczyło jedno słowo, by grzecznie przysiadły na trawie. Jack otworzył drzwiczki od strony pasażerki i podał jej rękę.

- Dzięki. - Krótka spódniczka Rosalyn podwinęła się przy wysiadaniu, odsłaniając uda.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Nawet nie próbował ukryć zachwyty.

Lekko speszona, skierowała spojrzenie na psy.

- Są przepiękne. Jaka to rasa?

- Dwa to golden retrievery, a ten śmieszny po prawej stronie, który właśnie się wdzięczy do ciebie, to labrador.

Rosalyn pogłaskała psa po łbie.

- Jest twój?

- Tak, a skąd wiedziałaś?

- Zauważyłam pewne podobieństwo - zażartowała i skierowała kroki w stronę domu, gdzie w drzwiach właśnie pojawiło się dwoje niemłodych już ludzi.

Wyraźnie przejęty, Jack pospieszył za nią.

- Rosalyn, poznaj moich rodziców, Marion i Pete'a Jensenów - przedstawił.

Starsi państwo uśmiechnęli się przyjaźnie. Pete Jensen serdecznie uściskał jej dłoń, a Marion z pewnym rozbawieniem spoglądała to na gościa, to na swego speszonego syna.

Podobieństwo między Jackiem a ojcem było wręcz uderzające. Ta sama sylwetka i rysy twarzy, pomyślała Rosalyn. Jedynie ciemne włosy i oczy odziedziczył po matce.

Posiłek przebiegł w ożywionej atmosferze. Na początku, nieco oszołomiona liczbą osób zebranych przy stole, Rosalyn nie bardzo mogła się połapać, kto jest kim. Jak się dowiedziała, Bill, starszy brat Jacka, mieszkał z rodzicami na farmie razem z żoną Jeanette i trojgiem dzieci.

Najmłodsza, jedenastoletnia chyba dziewczynka, nie odstępowała Jacka na krok, jej siostra wyglądała na lat szesnaście, a Lenny,

najstarszy z rodzeństwa, nie przestawał się uśmiechać, co zapewne po części wynikało z faktu, że obok siedziała jego dziewczyna, której imienia Rosalyn nie zdołała dosłyszeć. Mike, młodszy brat Jacka, przyjechał właśnie na weekend do domu w towarzystwie kolegi z college'u.

Uwaga, jaką poświęcali jej wszyscy domownicy, nie szczędząc sobie trudu, żeby oprowadzić ją po całym domu i gospodarstwie, zdawała się świadczyć, że Jack niezbyt często przyprowadza gości do domu. Kiedy całą grupą wychodzili ze stodoły po obejrzeniu kilkutygodniowych jagniąt i cielaczka, które wprawiły Rosalyn w szczerzy zachwyty, najmłodsza bratanica Jacka wręcz oznajmiła:

- Jesteś pierwszą narzeczoną Jacka, jaką mam okazję poznać. Poza jego była żoną, ale ona się w ogóle nie liczy, prawda, stryku?

Wszyscy, nie wyłączając Rosalyn, która bynajmniej nie zamierzała prostować pomyłki, wybuchnęli gromkim śmiechem i mimo że Jack poczerwieniał na twarzy jak dziecko złapane na gorącym uczynku, atmosfera natychmiast się rozluźniła.

W czasie posiłku Rosalyn z podziwem przyglądała się pani Jensen, która ze spokojem dowódcy przydzielała kolejne zadania domownikom, nie szczędząc przy tym żartobliwych uwag. Domyśliła się, że to właśnie po niej Jack odziedziczył opanowanie, wewnętrzny spokój i poczucie humoru. Jego ojciec zachowywał się ze znacznie większą rezerwą i mimo panującego wokół zamieszania trwał przy stole z niewzruszoną twarzą, jedynie od czasu do czasu pozwalając sobie na uśmiech.

Rozkoszując się wspaniałym smakiem domowej pieczeni, Rosalyn dowiedziała się, że farma znajduje się w posiadaniu Jensenów od ponad stulecia. Dwie izby starego domu, który z biegiem lat został znacznie rozbudowany, stanowiły obecnie kuchnię i jadalnię, w której cała rodzina spotyka się w czasie posiłków.

- Jest prawie tak stary jak twój? - zauważył Bill.

- Jak co?

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Dom Idy Mae. Przecież teraz należy do ciebie - odezwał się Jack, wybawiając ją z kłopotu.

- Dom babki Idy, teraz rozumiem - kiwnęła głową. Pojawienie się na stole dwóch rumianych strucli, które

Marion właśnie podała na deser, skierował rozmowę na inne tory, dzięki czemu pewnie nikt nie zauważył wrażenia, jakie niespodziewanie wywarła na niej niewinna uwaga Billa.

Gdy tylko skończyli deser, wszyscy podnieśli się z krzeseł. Rosalyn zaczęła zbierać naczynia ze stołu, ale pani Jensen gwałtownie zaprotestowała.

- Nigdy nie pozwalam gościom sprzątać po pierwszej wizycie - oznajmiła z uśmiechem, wkładając talerze do zmywarki. - Ale proszę się nie obawiać, następnym razem skorzystam z pomocy.

W jadalni Jack pochłonięty był rozmową z ojcem. Na widok Rosalyn wracającej z kuchni Pete Jensen poklepał syna po ramieniu, jakby chciał mu dodać otuchy.

- Mam nadzieję, że niedługo nas znowu odwiedzisz - zwrócił się do gościa. - Tylko włóż bardziej odpowiednie obuwie, to oprowadzę cię po polach i pokażę łany soi i kukurydzy.

Roześmiała się. Starszy pan Jensen od początku wizyty czynił żartobliwe uwagi na temat jej delikatnych kłapek na obcasach. Tymczasem Jack przyniósł z przedpokoju jej płaszcz i torebkę.

- Nie chcę cię poganiać, ale chyba zaczęłaś lekko utykać, więc może odwiozę cię do domu?

Rosalyn skinęła głową. Rzeczywiście, noga zaczęła jej dokuczać i była wdzięczna Jackowi, że nie każe jej przeciągać wizyty.

Kiedy pożegnała się ze wszystkimi i wyszła na werandę, na dworze panował już mrok. Powietrze było przejrzyste jak nigdy, na niebie migotały setki gwiazd.

- Jak pięknie - westchnęła.

- To jeszcze nic. Co roku w sierpniu widać tu spadający deszcz meteorytów. To dopiero jest widok. Czasami zabieramy koce i butelkę wina i siadamy w nocy na trawie, wpatrując się w niebo.

- Musi być cudownie.

- Przyjedź, zapraszam.

Odwróciła głowę i dopiero wtedy zauważyła, że stoi tak blisko niego. Czuła na policzku ciepło jego oddechu.

Ciekawe, zastanowiła się, wspominając zachwyty, z jakim opowiadał o różach, czy z równym przejęciem potrafiłby mówić o mnie.

Znowu spojrzała w niebo.

- Nie kuś mnie.

- A dlaczego nie? Pomyśl tylko: róże Iowy zakwitną w czerwcu, w lipcu odbędzie się zjazd rodzinny, a w sierpniu mamy deszcz meteorów. Czego więcej można chcieć od życia?

Zaśmiała się niczym zawstydzona nastolatka. Wtedy Jack położył jej dłonie na ramionach, delikatnie pogładził francuski warkocz, w który spłótła dziś włosy, i przygarnął do siebie.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał, pochylił głowę i pocałował ją gorąco.

Nie stawiała oporu, tylko przyłgnęła do niego całym ciałem. Palce Jacka pieściły jej skórę pod swetrem, a ona nie potrafiła go odepchnąć.

- Tak bardzo cię pragnę - powiedział, wodząc ustami po jej ustach i policzkach.

- Pojedźmy do mnie.

Dopiero wiele godzin później zdała sobie sprawę z tego, że po raz pierwszy użyła tego określenia.

Do mnie, do mojego domu.

Jechali przytuleni do siebie, a Rosalyn nie przestawała gładzić go z czułością, jakby się bała, że czar za chwilę pryśnie. Jack w końcu musiał ją poprosić, by dała mu szansę bezpiecznie dojechać na miejsce.

Kiedy skręcili do domu Petersenów, w świetle reflektorów zamajaczyła sylwetka samochodu zaparkowanego na podjeździe. Na schodach stała męska postać.

- A to kto, do diabła?

Głos Jacka wyrwał Rosalyn z rozmarzenia.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał, nie kryjąc rozczarowania.

- Nie - zapewniła, wpatrując się w wylaniającego się z ciemności mężczyznę.

Nagle poczuła, że ogarnia ją panika.

- O Boże! - jęknęła, rozpoznając Jima Naismitha.

Rozdział 10

Jack przyjrzał się jej ze zdziwieniem.

- To jakiś twój przyjaciel?

- Niezupełnie. Pracujemy razem.

- Musi mieć coś ważnego, skoro chciało mu się jechać taki kawał po nocy. - Wyłączył silnik i otworzył drzwiczki po stronie kierowcy.

- Zaczekaj. - Rosalyn przełknęła ślinę. Jack rzucił jej pytające spojrzenie.

- Zupełnie nie wiem, po co przyjechał - rzekła pospiesznie. - To długa historia...

- A tymczasem zrobiło się późno, a ja muszę rano wstać.

Jim nachylał się już nad przednią szybą samochodu, żeby zajrzeć do środka.

- Rosalyn! - zawołał na jej widok i podbiegł, by jej pomóc wysiąść.

- Co tu robisz? - spytała i przyjęła podaną dłoń.

Wysiadając, postawiła stopę tak nieszczęśliwie, że potknęła się i wpadła w objęcia Jima, który wcale nie zamierzał jej od razu wypuścić. Jack przyglądał się tej scenie z pewnego oddalenia.

- Naprawdę nie rozumiem... - powiedziała i postąpiła krok do tyłu.

- Musimy porozmawiać. Wiem, że jest późno, ale muszę ci coś wyjaśnić.

Jack odchrząknął głośno, jakby chciał jej przypomnieć o swojej obecności.

- Muszę już jechać, Rosalyn.

- Poczekaj. Może odwiedzisz mnie jutro?

- Jutro? Czemu nie, jeśli nie będziesz zajęta - powiedział trochę ostrzej niż przed chwilą i zamknął drzwi z trzaskiem.

Popatrzyła w ślad za odjeżdżającym samochodem, po czym, starając się ukryć niezadowolenie, zaprosiła Jima do środka.

Bardzo długo ciągnął swą opowieść, mimo że Rosalyn oznajmiła mu już na samym początku, że w ogóle nie powinien jej odwiedzać, gdyż jakakolwiek rozmowa na temat toczącego się dochodzenia stawia ją w dość dwuznacznej sytuacji.

- Ale właśnie o to chodzi, Rosalyn. Chodzi o to, że to ja kilka tygodni wcześniej rozpocząłem własne dochodzenie. Proszę cię tylko o to, żebyś mnie wysłuchała...

Mówiąc, chodził tam i z powrotem po kuchni, a Rosalyn siedziała przy stole, obracając w dłoniach pusty kubek po kawie. Nie była w stanie się skupić, bo przez cały czas miała przed oczami pozbawione wyrazu spojrzenie Jacka, zanim wsiadł do samochodu i odjechał.

- Wszystko zaczęło się tuż po moim powrocie z wakacji - podjął Jim. - Czekał na mnie list od pewnej wdowy zamieszkałej na Florydzie. Jej zięć chciał uzyskać informacje na temat jednego z rachunków, które prowadziłem w jej imieniu. Zapewniłem, że wszystko jest w porządku, ale na wszelki wypadek postanowiłem to jeszcze sprawdzić i okazało się, że pieniądze zostały przelane z jednego funduszu na inny, o którym w życiu nie słyszałem.

Rosalyn ziewnęła i przetarła dłonią twarz. Tak bardzo chciała się położyć i snuć marzenia o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Jim nie czekał na nią na werandzie jej domu. O dziwo, po raz drugi tego wieczoru uznała dom ciotecznej babki za własny. Rozejrzała się po kuchni, która teraz wydała się jej wyjątkowo przytulna.

- Rosalyn? - Jim zatrzymał się w pół kroku. - Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Tak. Ale proszę, nie mów już nic więcej. Naprawdę nie powinnam z tobą rozmawiać. Przecież toczy się dochodzenie...

- Nadal uważam cię za przyjaciółkę, Rosalyn. Tylko ciebie i Judy.

- No właśnie. Co się stało z Judy? Dlaczego złożyła wypowiedzenie? I dlaczego nawet do mnie nie zadzwoniła?

- Judy wcale nie chciała odchodzić z pracy. Ed Saunders powiedział jej, że jeśli sama zrezygnuje, to nawet dostanie odprawę, ale jeśli się nie zgodzi, to zostanie objęta tym samym dochodzeniem co ja. - Jim w końcu przysiadł na krześle. - Wiesz przecież, jak krucho u niej z pieniędzmi, szczególnie teraz, kiedy jej mąż jest od dwóch miesięcy bez pracy. Nie miała wyboru.

Rosalyn pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Nie wiedziałam, że mąż Judy stracił pracę. Dlaczego mi o tym nie powiedziała?

- Nie wiem. Może byłaś zbyt zajęta? Albo po prostu nie nadarzyła się odpowiednia okazja.

Wróciła myślami do codziennej biurowej rutyny i zobaczyła siebie, jak wchodzi do biura, jak zwykle uśmiechnięta i bardzo czymś zaabsorbowana. To jasne, że Judy nigdy nie wspominała o swych

problemach, bo Rosalyn nie dopuszczała do rozmów na osobiste tematy. Zajmowały ją wyłącznie interesy, czasem jakaś biurowa plotka.

- I co Judy teraz robi? - spytała ze smutkiem. Jim wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, bo nie odpowiada na moje telefony. A cały problem polega na tym, że chciała mi pomóc. Uwierzyła, kiedy jej powiedziałem, że ktoś próbuje mnie zrobić.

Rosalyn podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Przecież wiesz, że to niemożliwe. Ktoś musiałby znać twoje hasło, żeby wejść w prowadzone przez ciebie rachunki.

- Jednak ktoś to zrobił.

- Tylko Bruce ma dostęp do haseł, a przecież on... Spojrzeli po sobie. Oboje wiedzieli, że Bruce McIntyre, do którego należy większość akcji firmy, od roku leży sparaliżowany po wylewie.

- Bruce nie mógł mieć z tym nic wspólnego - zapewnił Jim. - Co dziwne, sumy, o których mowa, wcale nie są duże. Jednak sprawdziłem inne rachunki i okazuje się, że pewne kwoty były przekazywane zawsze na rachunek jednego i tego samego funduszu.

- Co to za fundusz?

- Niby wszyscy coś o nim wiedzą, ale nie udało mi się dowiedzieć niczego konkretnego. Tony mówi, że kilku jego klientów też wybrało ten fundusz.

- To znaczy, że musi być w porządku, bo Tony nigdy nie zrobiłby żadnego niepewnego ruchu.

- Ale nikt nie ma żadnych konkretnych informacji.

- Jak to?

- Nazwa funduszu jest znana, bo występuje w dokumentach, ale brak jakichkolwiek konkretów. Tak jakby po prostu ktoś go wymyślił. Całkiem jak łańcuszek Świętego Antoniego. Wszyscy mniej więcej wiedzą, na jakich zasadach działa, ale nikt ci nie powie, kto za tym stoi.

Rosalyn popadła w zadumę. Nic z tego, co mówił Jim, nie trzymało się kupy. Starła się zachować obiektywizm, ale wszelkie próby nadania sensu jego słowom rozбивały się o kwestię haseł broniących dostępu do rachunków.

- Posłuchaj, Jim. Muszę się choć trochę zdrzemnąć. Prześpij się na dole na kanapie, a rano pogadamy.

- Nie wierzysz mi, prawda?

- Chciałabym ci wierzyć, ale nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby wejść w nasze dokumenty. I po co ktokolwiek miałby dobierać się do twoich rachunków. Przecież tych samych operacji mógłby dokonać na własnych. Byłoby prościej.

- Po to, żeby mnie zrobić. Przecież to właśnie przez cały czas próbuję ci wytłumaczyć.

Oczy pociemniały mu z gniewu. Rosalyn nigdy dotąd nie widziała go w takim stanie.

- Jim, poczekaj - starała się go uspokoić. - Porozmawiamy jutro, dobrze?

- Pewnie. - Odwrócił się do niej plecami. - Przepraszam, że zawracałem ci głowę. Przecież nie doszłaś jeszcze do siebie po wypadku.

- Naprawdę będzie się nam lepiej myślało, jak się trochę prześpimy. I nie martw się, jakoś to wyjaśnimy.

Nie odezwał się więcej, więc poszła na piętro do sypialni i całkiem wykończona padła na łóżko. Mimo zmęczenia długo nie mogła zasnąć. Przed oczami wciąż miała zmartwioną twarz Jima. Najwyraźniej sprawiła mu zawód.

Rano uznała, że powinna jeszcze raz wysłuchać opowieści kolegi. Bardzo chciała mu wierzyć. Jednak kiedy zeszła na dół i krzyknęła „dzień dobry”, odpowiedziało jej milczenie.

Jim wyjechał.

Na wszelki wypadek rozejrzała się uważnie po pokoju. Zwinięty w kłębek koc leżał na podłodze obok kanapy. Ciekawe, czy przynajmniej trochę się zdrzemnął, czy też wyjechał, jak tylko poszła się położyć? Odsunęła zasłony i wyjrzała na zewnątrz. Samochód też zniknął. Wpatrywała się w szybę błyszczącymi od łez oczami.

Wiedziała, dlaczego nie czekał do rana. Po prostu uznał, że dalsza rozmowa pozbawiona jest sensu. Od początku nie znalazł u niej zrozumienia. Być może Judy odniosła podobne wrażenie i dlatego nie szukała z nią kontaktu. Najwyraźniej oboje doszli do wniosku, że nie potrafi albo nie chce im pomóc.

Odwracała się od okna, kiedy jej wzrok padł na krzew róży w ogrodzie. Przez noc na kolczastych gałązkach wyrosły nowe pąki. Rosalyn poczuła, że wzbiera w niej niechęć do rośliny. To przez ciebie przyjechałam do Plainsville, westchnęła.

Nieprawda, skarciła się w duchu chwilę później. Kogo chcesz oszukać? Przecież wiesz, że gdybyś została w Chicago, potraktowałabyś Jima podobnie.

Usiadła na fotelu Idy Mae, położyła stopy na podnóżku i wychyliła się do przodu, żeby jeszcze raz spojrzeć na krzew.

Ciekawe, czym cioteczna babka wypełniała sobie czas. Sądząc z niewielkiej liczby książek na półkach, nawet nie była zagorzałą czytelniczką. Może niektóre z haftowanych serwetek porozkładanych na meblach to jej dzieło? Ale po wylewie zapewne trudno było jej utrzymać igłę.

Wsparła głowę o oparcie fotela i wróciła myślami do wydarzeń poprzedniego wieczoru, zanim jeszcze Jim ukazał się na werandzie. Znowu poczuła dłonie Jacka na skórze, przeżywając jeszcze raz te krótkie chwile, które rozbudziły w niej na nowo nie doświadczane od lat uczucia.

Jak szczerza była jego namiętność! Mimo że przez całą noc starała się o tym nie myśleć, podświadomie łaknęła go jak powietrza, jednocześnie pragnąc ofiarować mu siebie. Jak to możliwe, że choć nieraz całowała się na randkach, nigdy nie czuła się tak jak wczoraj, kiedy poczuła dotyk jego warg...

Wyprostowała plecy i postanowiła wziąć się w garść. I tak ma przed sobą trudny dzień, a jak zacznie na nowo przeżywać wczorajsze uniesienie, z pewnością w końcu doprowadzi się do obłędu. Sięgnęła po słuchawkę, lecz zaraz cofnęła rękę. Nie zna przecież numeru Jacka, a do Jima nie ma co dzwonić, bo pewnie nie zdążył jeszcze dojechać do Chicago.

Na stole zauważyła dzbanuszek z żółtego szkła, który jakoś wcześniej umknął jej uwadze. Nie było w tym nic dziwnego, bo dom Idy Mae aż roił się od porcelanowych i szklanych bibelotów.

Przypomniała sobie, że identyczny dzbanuszek widziała w domu babci. Miał kształt wschodniej amfory, a jego szyjka była przykryta maleńką pokrywką z zaokrąglonym uchwytem. Rosalyn uniosła tę pokrywkę i jej oczom ukazał się owinięty w watę niewielki kluczyk. Przyjrzała mu się z zaciekawieniem i natychmiast pomyślała o drewnianej szkatułce, którą widziała w szafie w pokoju ciotecznej babki.

Pobiegła na górę i zabrała szkatułkę do sypialni. Słońce nareszcie przebiło się przez chmury i w pokoju zrobiło się jasno i przyjemnie.

Wyciągnęła się na łóżku i włożyła kluczyk do zamka. Musiała się sporo natrudzić, zanim wreszcie zdołała go przekręcić. Z zaciekawieniem uniosła wieko.

Wnętrze szkatułki, wyłożone aksamitem w kolorze czerwonego wina, kryło kilka obciążniętych skórą brulionów w twardej okładkach. Rosalyn ostrożnie otworzyła pierwszy brulion. Miała przed sobą pamiętnik Idy Mae Petersen. Pierwszy zapis pochodził z 1930 roku. Zaczęła czytać.

Henry Jensen właśnie podarował mi w prezencie ślubnym piękną, drewnianą szkatułkę na biżuterię. Kiedy mi ją wręczał i jękał się, składał życzenia, twarz poczerwieniała mu z przejęcia. To dziwne, że postanowił dać mi ten prezent na miesiąc przed moim ślubem. W dodatku sprawiał wrażenie, jakby ofiarowywał go tylko mnie, a nie nam obojgu. Ale kiedy powiedziałam o tym June, wybuchła śmiechem i zapytała, czy naprawdę nie wiem, że Henry się we mnie kocha. Wcale mnie to nie pocieszyło. Zanim zasnęłam, długo zastanawiałam się, dlaczego niczego nie zauważyłam.

Rosalyn odłożyła brulion na kolana. Miała wrażenie, że czytając pamiętnik Idy Mae, narusza prywatność jej myśli. Z drugiej strony, dzięki zapiskom ciotecznej babki, mogła poznać historię rodzinnego dramatu. Poprawiła poduszki pod plecami i spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta, a Jack jeszcze nie zadzwonił. Może w niedzielę też chodzi do pracy? A może po prostu nie chce z nią rozmawiać?

Westchnęła głęboko i wróciła do lektury. Jeszcze raz przeczytała pierwszą stronę. Więc Ida Mae była kiedyś zaręczona. Ciekawe, kim był wybranek jej serca? I dlaczego nie doszło do ślubu? Przewróciła kartkę. Następny zapis pochodził z 1 czerwca 1930 roku.

Dzisiaj tata się na mnie zezłościł. Mówi, że zupełnie bez potrzeby zapraszam aż tylu gości. A ja przecież zawsze marzyłam o wielkim weselu. Nawet zanim się zakochałam! Czyżbym była samolubna? Zapytałam June, co o tym sądzi, ale nie chciała ze mną rozmawiać. Tylko mama sprawia wrażenie naprawdę zadowolonej. Kieruje przygotowaniem do ślubu i nareszcie jest w swoim żywiole. Róża ma coraz większe pąki i do piętnastego na pewno okryje się kwieciami.

Ida Mae najwyraźniej potrafiła postawić na swoim, pomyślała Rosalyn i doszła do wniosku, że przynajmniej pod tym względem przypomina nieżyjącą krewną. Rzuciła pamiętnik na łóżko i zeszła na dół. Uznała, że najwyższy już czas, by zatelefonować do Jima.

Nie zastała go w domu, więc zostawiła wiadomość na sekretarce.

- Przepraszam za wczorajszy wieczór. Zadzwoń do mnie, proszę.

Wpatrywała się przez chwilę w aparat, zastanawiając się, czy nie powinna jednak skontaktować się z Jackiem. W biurze numerów zapewne uzyskałaby numer jego telefonu. Już położyła dłoń na słuchawce, ale zmieniła zamiar. Nie będzie robić z siebie idiotki. Poszła do kuchni, naszykowała sobie kanapkę i zadowolona, że nie uległa pokusie, wróciła do sypialni zgłębiać tajemnice przeszłości.

6 czerwca 1930 roku.

Jeszcze dziewięć dni! Przygotowania toczą się pełną parą dzięki zapobiegliwości mamy i szczodrości tatusia. Tata pokazał mi prezent, który ma nam dać z okazji ślubu. To obligacje na okaziciela, które kupił rok temu, w dniu naszych zaręczyn. Obiecał, że jak June będzie wychodziła za mąż, dostanie dokładnie takie same. Muszę przyznać, że tata jest bardzo hojny.

June jest ostatnio jakaś zgaszona. Mama mówi, że to dlatego, że od czasu śmierci Rolfego my dwie zawsze trzymałyśmy się razem i June nie może pogodzić się z myślą, że się wyprowadzam, ale moim zdaniem nie tylko o to chodzi. Od chwili moich zaręczyn stała się taka poważna, o wiele poważniejsza ode mnie. Richard uważa, że tylko mi się tak wydaje.

Jeszcze tydzień. Nie mogę się już doczekać.

Rosalyn odłożyła pamiętnik i sięgnęła po kanapkę. Znowu spojrzała na zegarek. Minęło południe, a Jack wciąż nie zadzwonił. Zrozumiała, że czeka ją ciężki dzień.

Usiadła na łóżku i zsunęła nogi na podłogę. Bolesne ukłucie przypomniało jej, że stopa nie jest jeszcze w pełni sprawna. Ale i tak jest bez porównania lepiej, pomyślała, i nie ma najmniejszego powodu, żebym miała nadal tkwić w Plainsville. Znowu wróciła pamięcią do ostatniego wieczoru i zdała sobie sprawę, że tym razem będzie jej zdecydowanie trudniej stąd wyjechać. Chyba że Jack w ogóle się nie odezwie.

Wstała i przeszła się po pokoju, żeby rozprostować kości. Na starej komodzie stało zdjęcie pięcioletnich bliźniaczek, zrobione zapewne jeszcze za życia Rolfego. Najprawdopodobniej po jego śmierci cała uwaga rodziny skupiła się na dziewczynkach.

Rosalyn usiadła na łóżku i ponownie zagłębiła się w lekturze.

8 czerwca 1930 roku.

Mama chodzi wściekła jak osa, bo sprzedawca policzył strasznie dużo za truskawki. Tata jak zwykle wyrzeka na wszystko. Tylko June jest nienaturalnie spokojna. Wczoraj zobaczyłam, jak siedzi na łóżku i wpatruje się w przestrzeń. Chciałam z nią porozmawiać, ale mnie zbyła. W nocy wymknęła się z domu. Na szczęście nie słyszałam ani jak wychodziła, ani kiedy wróciła, bo nie musiałam kłamać, kiedy tata mnie o to zapytał. June jest ostatnio taka cicha i zamknięta w sobie. Nic jej nie cieszy, a już na pewno nie zbliżający się ślub. Czyżby była zazdrosna? Za tydzień będę już panią Dutton. Czy mogło mnie spotkać większe szczęście?

Z wrażenia Rosalyn aż upuściła pamiętnik. Czy to możliwe, że Ida Mae miała wyjść za mężczyznę noszącego imię i nazwisko jej dziadka? Dopiero po chwili zrozumiała, że to nie zbieg okoliczności, tylko właśnie dziadek Richard miał ożenić się z Idą.

9 czerwca 1930 roku.

Dzisiaj miałam ostatnią przymiarkę sukni ślubnej. June wygląda prześlicznie w swojej sukience. Będę miała tylko dwie drużny, właśnie June oraz Rachel, bo mama mówi, że w obecnych czasach zbyt duży orszak byłby nie na miejscu. Kupiłam każdej z nich po małym kryształowym dzbanuszkę w kolorze bursztynu. Jestem tak przejęta, że nie wytrzymałam i pokazałam June podarunki, zanim je zapakowałam. Przy okazji uśmiełyśmy się obie, po raz pierwszy od wielu tygodni. A potem byłyśmy tak wzruszone, że miałyśmy łzy w oczach. Wtedy June powiedziała coś bardzo dziwnego: „Chcę, żebyś pamiętała, że cokolwiek się zdarzy, zawsze będę cię kochać”. Wydawało mi się, że chciała powiedzieć, że mój ślub nie jest w stanie nas rozdzielić, więc uściśnęłam ją mocno i zapewniłam, że i ja, i Richard zawsze chętnie będziemy ją gościć. Zaraz potem June odwróciła się i wybiegła z pokoju. Chyba nie potrafiła opanować emocji.

Nic dziwnego, pomyślała Rosalyn i wsparła głowę o drewniany zagłówek łóżka. Wiedząc, co zamierza zrobić, June Rose musiała czuć się choć trochę winna. Rosalyn wciąż nie była w stanie wyobrazić sobie babci uciekającej z narzeczonym własnej siostry. Wróciła pamięcią do czasów dzieciństwa. Dziadkowie niczym szczególnym się nie wyróżniali. Ot, zwykli ludzie. Richard był czuły i spokojny, babcia June oschła i surowa, ale Rosalyn nigdy nawet nie przyszło do głowy, że mogliby kogoś zdradzić i oszukać.

Z uczuciem trwogi przewróciła kolejną kartkę. Czyżby historia rodziny kryła jeszcze bardziej mroczne tajemnice?

10 czerwca 1930 roku.

Stała się rzecz nieprawdopodobna. June zniknęła. Nie ma jej w domu od wczorajszego wieczoru. Rodzice umierają ze strachu. Dali znać na policję, ale powiedziano im, że ponieważ June jest dorosła, trzeba odczekać dwadzieścia cztery godziny, zanim podejmą jakiegokolwiek kroki. Nie mogą uwierzyć, że istnieje taka biurokracja. Przecież to jasne, że June zaginęła, i wszyscy dobrze o tym wiedzą. Nigdy nie zdarzyło jej się nie wrócić na noc do domu. Szeryf jednak twierdzi, że zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz i że może June uciekła z jakimś młodym mężczyzną. Tata omal nie umarł ze wzburzenia, kiedy to usłyszał. June nawet nie spotykała się z nikim od czasu matury. Ale jeśli zrobiła coś głupiego, nigdy jej tego nie daruję. Przecież teraz nawet nie wiadomo, czy dojdzie do ślubu. Poszłam do Richarda, żeby go zawiadomić, ale zastałam tylko gosposię, która powiedziała, że jeszcze nie przyjechał z Chicago. A obiecał wrócić od wujostwa na tyle wcześnie, żeby zdążyć na przyjęcie u Andersenów dziś wieczorem. Mama i tata chyba się nie wybiorą, i pewnie będę musiała iść sama. Najchętniej zostałabym w domu, ale przecież Andersenowie urządzają ten bankiet właśnie na naszą cześć. Wolałabym nie kłócić się z Richardem zaledwie pięć dni przed ślubem, więc przyrzekam, że niezależnie od tego, kiedy się pojawi, nie powiem mu złego słowa.

Nietrudno zgadnąć, dlaczego Richard nie wrócił z Chicago! Rosalyn nie mogła uwierzyć, że jej własny dziadek miał na sumieniu tak niecny postępek. Ciekawe, kiedy Ida Mae wreszcie odgadła prawdę.

11 czerwca 1930 roku.

Nie mam po co żyć. Rano przyszedł telegram z Chicago. June uciekła z Richardem. Jak tata to przeczytał, od razu zemdlalam. Całymi godzinami nie wychodzę z pokoju. Nie mogę już nawet płakać. Nawet pisać już nie mogę, bo mam tak spuchnięte powieki, że prawie nic nie widzę. Richard nie odezwał się ani słowem. Jak mógł mi to zrobić? Jak mógł być tak okrutny? Już nigdy nie będę szczęśliwa.

Następna kartka została wydartą. Pozostał po niej tylko wąski poszarpany brzeżek, okrywając tajemnicą wydarzenia kilku dni. Kolejny zapis pochodził z 18 czerwca.

To niesamowite, ile może się zdarzyć w ciągu jednego tygodnia. Tata nie odzywa się do nikogo, a mama wciąż popłakuje w swoim pokoju. Biedna Rachel wydzwania od rana. Nie pozwoliłam jej zapłacić za sukienkę drużny. W końcu to nie jej wina, że nie doszło do ślubu. Powiedziała mi, że June kilka miesięcy temu wyznała jej, że od dawna kocha Richarda. Zdziwiła się, ale nawet do głowy jej nie przyszło, że to aż tak poważne. Mówi, że gdyby wiedziała, na pewno by coś zrobiła. Ciekawe co? Zabroniłaby się im kochać?

Zresztą, w tej chwili to już bez znaczenia. Przeszłam się dzisiaj po ogrodzie. Był piękny czerwcowy wieczór. Tak jak przewidziała mama, krzew róży cały już pokrył się kwieciami. Ale teraz to też bez znaczenia. Sama nie wiem, kogo bardziej nienawidzę, własnej siostry czy Richarda.

W pamiętniku pozostały jeszcze tylko dwie zapisane strony.

25 czerwca 1930 roku.

Dzisiaj mieliśmy wracać z podróży poślubnej do Nowego Jorku. Tyle planów, tyle marzeń. Zamiast tego dostałam wycinek z gazety zawiadamiający o ślubie June Rose i Richarda Duttona. Uroczystość odbyła się w urzędzie stanu cywilnego w Chicago. Nie było zdjęcia, ale i tak wiem, że June nie mogła mieć bukietu róż Iowy. W kopercie była oddzielna kartka zaadresowana do mnie. Przeczytałam ją dopiero w swoim pokoju. June napisała, że nigdy sobie nie daruje, że mnie skrzywdziła, ale ponieważ uczucie do Richarda było silniejsze niż wszystko, więc kiedy wyznał, że też ją kocha, postanowili uciec.

Chciałabym wiedzieć, kiedy zdał sobie sprawę, że ją kocha. I jak do tego doszło? Czym tak bardzo różni się ode mnie. Nigdy się tego nie dowiem, bo postanowiłam zapomnieć o nich raz na zawsze. Przysięgłam to sobie, w dniu, kiedy dowiedziałam się o ich ucieczce, i zamierzam dotrzymać słowa.

Wiele lat później, kiedy Ida Mae osłabła w swoim postanowieniu, okazało się, że jest już za późno. Za późno dla June i za późno dla jej córki, której nigdy nawet nie widziała na oczy. Nawet za późno dla mnie, westchnęła Rosalyn. Wobec niemożności pojednania zmieniła testament tylko po to, żeby ściągnąć mnie do Plainsville. Po co, skoro

rodzina właściwie przestała już istnieć. Chyba że miała jakiś inny, szczególny powód?

30 czerwca 1930 roku.

Róże zaczynają przekwitać. Ułożyłam z nich bukiet i postawiłam w salonie, ale mama kazała go zabrać. Mówi, że ich zapach przypomina jej o weselu, do którego nigdy nie doszło. Sadzę, że domyśla się, że nigdy nie wyjdę już za mąż. Jak mogłabym zaufać mężczyźnie? Jedynym przyjacielem, jakiego mam, jest Henry Jensen. Jest naprawdę cudowny. Czasami odnoszę wrażenie, że gdybym tylko powiedziała słowo, ożeniłby się ze mną bez wahania. Tyle że przysięgam sobie, że do końca życia pozostanę samotna.

Tatuś nie wygląda ostatnio najlepiej. Może będzie musiał zamknąć bank. Pożycza pieniądze gdzie tylko może, ale i tak nie starcza mu na pokrycie długów. Wiem, że mogłabym mu pomóc, gdybym się przyznała, ale na to jest już za późno. June i Richard nie zasługują na to, żeby kiedykolwiek powrócić do Plainsville. Ani mnie, ani rodzicom nie okazali krztyny współczucia. Dlaczego ja miałabym się nad nimi zlitować?

Do czego Ida Mae nie chciała się przyznać? Rosalyn próbowała zrozumieć znaczenie tej nader niejasnej uwagi. Odłożyła pamiętnik i wyciągnęła się wygodnie na łóżku. Lektura zapisków ciotecznej babki nadwyrężyła jej siły. Nic w tym dziwnego, bo w końcu nie jest łatwo pogodzić się z faktem, że własni dziadkowie zdradzili najbliższych. Powróciła myślami do lat, które razem z mamą spędziły w domu Duttonów.

Czy ucieczka z Plainsville spełniła ich marzenia? Dziadek przez całe życie pracował jako rzeźnik, babcia brała szycie do domu. Mieli jedną córkę, którą kochali ponad wszystko. Bez wahania przyjęli ją z dzieckiem pod swój dach, gdy jej małżeństwo zakończyło się rozwodem. Prawie przez pięć lat obie z mamą pozostawały na ich utrzymaniu, mimo że dziadkom nie powodziło się zbyt dobrze i właściwie przez całe życie musieli walczyć o byt. Tymczasem z tego, co Rosalyn wiedziała o Idzie Mae, wynikało, że w jej życiu nie zabrakło przynajmniej luksusu.

Położyła pamiętnik na podłodze. Na zegarze wybiła trzecia, a Jack nadal nie dzwonił. Postanowiła się zdrzemnąć. Później skontaktuje się z Jimem, a jeśli zdobędzie się na odwagę, spróbuje

może zatelefonować do Jacka. Czyżby smutna historia Idy Mae czegoś ją nauczyła?

Kiedy się obudziła, było już ciemno. Chyba miała jakiś przykry sen, bo wciąż jeszcze drżała pod kołdrą. Zwilżyła językiem wargi i zapaliła nocną lampkę.

Minęła dziesiąta. Chyba nie zdarzyło się jej przespać posiłku od wczesnego dzieciństwa, kiedy leżała zmorzona chorobą. Ciekawe, co będzie robiła przez całą noc? Przecież po siedmiu godzinach snu nie ma nawet sensu kłaść się z powrotem do łóżka. Zerknęła na szkatułkę stojącą na stoliku. O nie! Przynajmniej na razie nie miała najmniejszej ochoty na kolejne rewelacje o własnych przodkach.

Poszła do łazienki i ochlapała twarz zimną wodą. Najwyższy czas na kolację. Włożyła do piekarnika zapiekankę przygotowaną zawczasu przez Sophie i zaczęła kręcić się po domu. W końcu otworzyła drzwi i wyjrzała na werandę. Noc była jasna i ciepła, więc postanowiła przenieść się z jedzeniem na zewnątrz.

Przyniosła z kuchni posiłek, postawiła tacę na wiklinowym stoliku i rozsiadła się wygodnie w bujanym fotelu ciotecznej babki. Ciekawe, ile razy Ida Mae siedziała tu, pochylona samotnie nad talerzem? Aż zadrzała na myśl o tym, że tak właśnie może upłynąć jej własne życie.

Jadła powoli, napawając się ciszą wiosennej nocy. W Chicago niebo nie lśni tyloma gwiazdami, pomyślała i nagle zdała sobie sprawę, że życie w Plainsville nie całkiem pozbawione jest blasków. Przed oczami stanęła jej twarz Jacka i zadrzała na myśl o stojącym przed nią wyborze między samotnym życiem w Plainsville a równie samotnym życiem w Chicago.

Rozdział 11

Jack niespokojnie bębnił palcami w tapicerkę. Dlaczego mimo późnej pory Mac jedzie tak powoli? Przecież ulice i tak są puste. Z drugiej strony i jemu nieśpieszno było przekazać Rosalyn najnowsze wieści. Spojrzał na policjanta, którego profil rysował się wyraźnie w mroku rozświetlonym przez światła na skrzyżowaniu.

- Naprawdę musisz się zatrzymywać, mimo że nikt nie jedzie?

- A co? Wydaje ci się, że jak nikt nie widzi, to już można łamać przepisy?

- Daj spokój...

- A gdyby teraz nagle nie wiadomo skąd pojawił się samochód i wjechał nam w bok? Co byś powiedział?

- Przecież jest niedziela, środek nocy, a w dodatku jesteśmy w Plainsville. Kto może jeździć o tej porze?

- Rozumiem, że martwisz się o Rosalyn Baines, ale... - Mac spojrzał na Jacka z ukosa. - Co właściwie łączy ją z tym Naismithem?

- O co ci znowu chodzi? Policjant potarł palcem czubek nosa.

- Uspokój się. Tak tylko się pytam. Mówiłem ci, że według policji w Chicago zostawiła mu wiadomość na sekretarce.

- I co z tego? - parsknął Jack ze złością.

Po co w ogóle dał się w to wciągnąć? Powinien kazać Macowi wysadzić się na najbliższym skrzyżowaniu i pojechać po Sophie. Jej wizyta w domu Petersenów byłaby bardziej na miejscu, zważywszy na okoliczności, w jakich wczoraj pożegnał się z Rosalyn. I jeszcze te głupie aluzje czynione przez Maca. Facet źle się czuje, jeśli nie zwęszy gdzieś jakiejś taniej sensacji.

Policjant przyhamował lekko.

- Chyba powinienem ci powiedzieć, bo w końcu jesteśmy kumplami.

- Mac, wyduś wreszcie, o co chodzi.

- Już dobrze. Więc panna Baines nagrała na sekretarce prośbę, żeby do niej zadzwonił.

- I co z tego?

- Powiedziała jeszcze, że przeprasza go za wczorajszy wieczór.

- Ach, tak. - Zupełnie nie wiedział co powiedzieć.

Nie rozumiał sensu słów Rosalyn i nawet nie był pewien, czy chce zrozumieć. - No i...

- Skoro go przeprosiła, to pewnie się pokłócili. Może... no wiesz, może to jej facet?

Dzięki Bogu, że jest ciemno, pomyślał Jack, czując, że oblewa się rumieńcem upokorzenia. Co z tego, że wobec rozczarowania, jakiego doznał wczoraj wieczorem, przez cały dzień próbował zachować obojętność, skoro jedno słowo Maca wystarczyło, by krew znowu zaczęła pulsować mu w skroniach. Jak mógł być tak naiwny, by wierzyć, że Rosalyn jest tak zapracowana, że w ogóle nie ma czasu na męsko - damskie kontakty?

- I co o tym sądzisz? - zapytał Mac. Jack poruszył się nerwowo w fotelu.

- Sam nie wiem. Powiedziała mi tylko, że to znajomy z pracy.

Policjant lekko docisnął pedał gazu. Właśnie skręcili w Goshen Road, skąd do domu Rosalyn została tylko minuta drogi. Jack czuł krople potu spływające po plecach. Może jednak poprosi Maca, żeby pojechał po Sophie, bo jako kobiecie łatwiej będzie jej znaleźć słowa pocieszenia.

Otworzył usta, ale nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Cały czas brzmiały mu w uszach słowa Rosalyn, zacytowane przed chwilą przez policjanta. „Przepraszam za wczorajszą wieczór”. To zdanie mogło oznaczać prawie wszystko. Przepraszam za to, że zatrzasnęłam ci drzwi przed nosem, albo że byłam rozkojarzona, ale dopiero co całowałam się z Jackiem, a może za to, że z mojej winy nie wyszło nam w łóżku, ale byłam pochłonięta innymi sprawami. Tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy Jack mnie pocałował.

Poczuł ściskanie w żołądku. Przecież zgadywanie, co też Rosalyn mogła mieć na myśli, całkiem pozbawione jest sensu. Co do jednego wszakże miał pewność. Wczorajszy pocałunek zdecydowanie na pewno bardzo jej się spodobał. Tyle że potem, nie wiedzieć skąd, pojawił się Jim Naismith niczym zmora z koszmarne snu, i cały czar prysnął.

W świetle reflektorów jeepa ukazał się dom Petersenów. Rosalyn siedziała na werandzie w takiej samej pozycji, w jakiej Jack zwykł widywać Idę Mae.

- Oto i ona - zauważył Mac. - Idziemy? Wyszli z samochodu.

Na widok niespodziewanych gości Rosalyn podniosła się z fotela. Jack zwolnił kroku i zatrzymał się przy schodkach.

- Dobry wieczór, panno Baines. - Gromki głos Maca odbijał się echem w mroku. - Wszystko w porządku?

- Owszem - odparła z pobladłą twarzą.

Policjant zdjął kapelusz i oparł się o kamienną balustradę werandy.

- Panno Baines, o ile wiem, jest pani znajomą niejakiego Jima Naismitha.

Zanim odpowiedziała policjantowi, spojrzała Jackowi prosto w oczy.

- Tak. Pracujemy razem w Chicago. A dlaczego pan pyta?

- Bardzo mi przykro, ale pan Naismith zginął dziś wieczorem w wypadku samochodowym niedaleko lotniska O'Hare.

Rosalyn zachwiała się z wrażenia, ale Jack natychmiast znalazł się obok i pomógł jej usiąść w fotelu.

- O Boże! - jęknęła.

Przykucnął obok i objął ją ramieniem.

- Co się stało? - zapytała, kiedy nieco ochłonęła.

- Z tego, co wiem, jego samochód zjechał z drogi i spadł ze skarpy przy przejeździe kolejowym tuż obok lotniska.

- Pewnie jechał do domu - wyszeptała.

- Policjanci pojechali do jego mieszkania, żeby dowiedzieć się o adres rodziny - wyjaśnił Mac po chwili. - Nie było nikogo, ale dozorca wpuścił ich do środka. Odsłuchali nagrania na sekretarce i udało im się ustalić, że dzwoniła pani z Plainsville. W ten sposób dotarli do mnie i poprosili, żebym się z panią skontaktował. Poprosiłem Jacka, żeby mi towarzyszył, bo wiem, że się przyjaźnicie.

Jack zauważył, że w momencie, kiedy Mac wspomniał o nagraniu, Rosalyn podnosi wzrok, i natychmiast odwrócił głowę, jakby bał się, że w jej oczach znajdzie potwierdzenie aluzji czynionych wcześniej przez policjanta.

- Czy wiadomo już, co mogło spowodować wypadek? - zapytała drżącym głosem.

- Jeszcze nie. W każdym razie mnie na ten temat nic nie wiadomo. Dzwonili tylko po to, żeby dowiedzieć się, czy pani...

- Tak?

- Czy zna pani kogoś z rodziny pana Naismitha? Chyba że sama zajmie się pani przygotowaniami do pogrzebu?

- Dlaczego ja?

- Proszę zrozumieć. Jeśli łączyły panią jakieś szczególne związki z ofiarą...

Rosalyn zerwała się z fotela i stanęła na wprost obu mężczyzn z rękami złożonymi na piersiach. Jack z trudem powstrzymywał się, by nie wziąć jej w ramiona. Miał wrażenie, że słyszy gwałtowne bicie jej serca.

- Szeryfie - mówiła zdławionym głosem. - Jim i ja spotkaliśmy się kilka razy w Chicago. Na tym skończyły się nasze „szczególne związki”.

- Panno Baines - rzekł Mac zdecydowanie łagodniej - chciałem tylko zapytać, czy może wie pani, jak koledzy z Chicago mogą skontaktować się z kimś z rodziny pana Naismitha. Zaraz do nich zadzwonię. Jak już mówiłem, z nagrania na sekretarce wywnioskowali, że może panią coś łączyć z ofiarą, ale jak widzę, pomylili się.

- Wiem, że Jim miał kuzynkę w Chicago. Chyba nosi to samo nazwisko, ale nie pamiętam, jak ma na imię. Proszę im powiedzieć, żeby zapytali w biurze. - Odgarnęła włosy z czoła. - Nie mogę uwierzyć, że Jim nie żyje.

- Rosalyn, proszę cię, usiądź. - Jack odezwał się po raz pierwszy od chwili przybycia i podsunął jej krzesło.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć - powtórzyła, dygocząc na całym ciele.

- Może coś ci podać? Masz gdzieś whisky albo koniak?

Patrzyła przed siebie pustym wzrokiem.

- Nic mi nie jest. Tylko trudno mi zrozumieć, jak to możliwe. Przecież wczoraj wieczorem Jim był tutaj. Wyjechał dzisiaj z samego rana. Nawet nie zdążyłam się z nim pożegnać.

Jack zacisnął usta. Unikał spojrzenia Maca, który zapewne znowu zaczął snuć swoje niezdrowe domysły.

- W takim razie - odezwał się w końcu policjant - najlepiej zrobię, jak wrócę na posterunek i zawiadomię Chicago, żeby odszukali tę kuzynkę. - Włożył kapelusz. - Jedziesz ze mną? - zapytał przyjaciela.

Jack spojrzał na skuloną sylwetkę Rosalyn.

- Nie, jeszcze zostanę.

- No to na razie. - Ruszył w stronę samochodu. - Jeszcze jedno, panno Baines...

- Tak, słucham.

- Policjanci z Chicago chcieli wiedzieć, po co pan Naismith tu przyjechał.

Długo patrzyła przed siebie wzrokiem pozbawionym wszelkiego wyrazu.

- Tego naprawdę nie mogę powiedzieć - wyszeptała w końcu. - W każdym razie nie miało to nic wspólnego z wypadkiem. Przyjechał w sprawach osobistych.

Mac uniósł brwi i spojrzał na Jacka z nie skrywanym zdziwieniem.

- Rozumiem - rzekł i skinął głową na pożegnanie.

- Dziękuję, że przyjechałeś - Rosalyn zwróciła się do Jacka, kiedy wreszcie zostali sami.

Tylko wzruszył ramionami. Najchętniej przytuliłby ją do siebie, lecz wciąż dręczyły go wątpliwości związane z wizytą Jima i wiadomością, jaką Rosalyn zostawiła na sekretarce przyjaciela.

- Wiesz, mam trochę whisky. Dwie miniaturowe buteleczki z samolotu. Wejdiesz do środka? - zaproponowała po chwili.

- Czemu nie?

- To wszystko - zakończyła relację z wizyty Jima w Plainsville.

Jack siedział po drugiej stronie stołu, obracając w dłoniach kubek po kawie. Najwyraźniej unikał jej wzroku. W ogóle, mimo że jak zwykle okazywał jej troskliwość, przez cały czas zachowywał się z rezerwą. Nawet nie mogła mieć o to żalu. To jasne, że Jack wyciągnął błędne, acz logiczne wnioski z ostatnich wydarzeń.

Wreszcie podniósł głowę.

- To znaczy, że niezależnie od tego, co Naismith ci powiedział, fakty obciążają właśnie jego.

- Niestety tak. Wszyscy mamy własne hasła i nawet Ed Saunders nie ma do nich dostępu.

- A kto ma?

- Bruce McIntyre, właściciel większości akcji. Problem polega na tym, że Bruce miał wylew i od roku leży w szpitalu dla przewlekłe chorych.

- Ale przecież gdzieś musiał trzymać te hasła. Co się z nimi stało, kiedy zachorował?

- Nic. Nadal są w sejfie w jego domu. Żona Bruce'a wciąż tam mieszka. Nigdy nie zostały przeniesione, bo wydawało nam się, że

dopóki nie zaistnieje taka konieczność, lepiej ich nie ruszać ze względu na Bruce'a.

- To znaczy, że przez cały czas zachowujecie się tak, jakby Bruce miał wrócić do pracy.

Rosalyn przetarła oczy ze znużenia. Była już druga w nocy.

- Wiem, że to głupie, ale w naszej firmie wszystko postawione jest na głowie. Właściwie nikt nie zastanawiał się nad kwestią dostępu do haseł. W ogóle o nich nie myśleliśmy, dopóki...

- Dopóki z rachunków Naismitha nie zaczęły znikać pieniądze?

- Właśnie.

- I przypuszczam, że tak jak inni pracownicy, Naismith nie miał dostępu do żadnego innego hasła poza swoim własnym.

- Tak. - Rosalyn nie bardzo wiedziała, dokąd prowadzą zadawane przez Jacka pytania.

- Rozumiem, że zespół dochodzeniowy sprawdził, czy hasła nadal znajdują się w sejfie.

- Ed mówił, że to właśnie był ich pierwszy ruch. Pani McIntyre twierdzi, że nikomu nigdy nie dawała kluczy.

Jack popadł w zadumę.

- W takim razie nie mam pojęcia, jak ktokolwiek mógłby go w cokolwiek zrobić. Chyba że przez nieuwagę zdradził komuś własne hasło.

Rosalyn otarła łzy papierową chusteczką.

- Dlaczego nie chciałam go wysłuchać wczoraj do końca? - spytała z żalem.

Jack podniósł się z krzesła.

- Nie obwiniaj się, Rosalyn. Wypadki się zdarzają. I tak, jak powiedziałaś Macowi, nie ma żadnego związku między śmiercią Jima a jego wizytą w Plainsville. Chyba powinnaś się już położyć. Pomóc ci wejść na górę?

- Nie, dziękuję. Ale... czy mógłbyś dziś zostać?

- Oczywiście - odparł bez wahania. - I tak miałem zamiar to zrobić. Kanapa w salonie zdążyła się już do mnie przyzwyczaić.

- Dlaczego nie prześpisz się w pokoju gościnnym? Jim spał na kanapie - dodała trochę bez sensu, lecz chciała, by Jack pozbył się resztek wątpliwości co do jej związku z Jimem Naismithem.

Pozwoliła Jackowi wziąć się za rękę i zaprowadzić na górę. Nagle przypomniało się jej dzieciństwo i chwile, kiedy mama, trzymając jej

dłoń, prowadziła ją do sypialni. Od razu poczuła się bezpieczniej. Pod drzwiami odwróciła się, by powiedzieć Jackowi dobranoc, ale zanim zdążyła otworzyć usta, przyciągnął ją do siebie i wsunął palce w jej włosy.

- Jack - wyszeptała, kiedy zbliżył usta, i przymknęła powieki.

Poczuła rozkoszne ciepło jego ramion i mogłaby tak trwać w nieskończoność, gdyby raptem nie odsunął jej od siebie.

- Idź się położyć - powiedział, a sam skierował się do pokoju gościnnego.

Patrzyła, jak zamyka za sobą drzwi i choć domyślała się, że na jedno jej skinienie Jack jak na skrzydłach pojawiłby się z powrotem, zdawała sobie sprawę z tego, że rzeczywiście powinna trochę pospać. Poza tym cisza i ciemność pozwolą jej zebrać myśli.

Niestety, okazało się to ponad jej siły. W myślach wciąż powtarzała historię usłyszaną od Jima. Nie mogła uporać się z własnym poczuciem winy. Gdyby tylko słuchała go z większą uwagą, gdyby nie była tak rozkojarzona po odjeździe Jacka, może Jim nie straciłby życia?

Zapaliła lampkę przy łóżku. Niepotrzebnie ma wyrzuty sumienia. Jack ma rację. Niezależnie od tego, jak zachowała się wczoraj, i tak nie mogła zapobiec katastrofie. Robiła, co mogła, by się jakoś pocieszyć, ale w końcu zrozumiała, że dłużej nie wytrzyma samotności i wyszła na korytarz.

W świetle księżyca zobaczyła drzwi pokoju gościnnego. Podeszła do nich na palcach i delikatnie nacisnęła klamkę.

- Jack? - Jej szept odbił się echem w ciemnościach. Przestraszona własną odwagą, zamierzała się wycofać, kiedy dobiegł ją zaspany głos.

- Rosalyn? To ty?

Weszła do środka. W poświacie wpadającej przez nie zasłonięte okna ujrzała zarys łóżka. Teraz już nie mogła zawrócić.

- Nie mogę zasnąć - rzekła cicho. - Nie chcę być sama. Przez cały czas myślę o Jimie i o tym, że gdyby nie wyjechał...

- Chodź tutaj.

Usłyszała szelest wykrochmalonej pościeli. To Jack wyciągnął rękę w jej kierunku. Kiedy wsunęła się pod cienką kołdrę, przytulił ją mocno do siebie. Był nagi i przez cienki materiał nocnej koszuli wyraźnie czuła każdy jego mięsień. Zadrzała.

- Zimno ci? - szepnął z twarzą zanurzoną w jej włosach.

- Już nie.

Bliskość Jacka sprawiła, że opuściły ją ponure myśli. Siła i ciepło bijące z jego ciała działały na nią jak kojący balsam.

- Wciąż drzysz.

- To nic. Tylko twoje ręce...

- Mam je zabrać?

- Nie...

- Jesteś pewna? - Uniósł się na łokciu. - Bo jeśli chcesz tu zostać, nie mogę ręczyć, że zdołam leżeć obok ciebie bez ruchu.

- Nie chcę, żebyś leżał. Postaraj się tchnąć we mnie życie - powiedziała szeptem, zrzucając mu ręce na szyję.

To był długi pocałunek. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, przez chwilę oboje z trudem łapali powietrze. Rosalyn wtuliła się w Jacka tak mocno, jak tylko mogła.

- Muszę ci się do czegoś przyznać - powiedział. Wstrzymała oddech.

- Od kilku lat, to znaczy od kiedy się rozwiodłem, nie miałem zbyt wielu doświadczeń z kobietami.

Roześmiała się i pocałowała go w ramię.

- No to mamy równe szanse.

Przeciągnęła dłonią wzdłuż wyraźnie zarysowanych mięśni.

- Podobno - powiedział stłumionym głosem - tego się nie zapomina. Jak jazdy na rowerze.

Pieściła go z taką czułością, że nie próbował mówić nic więcej, tylko wyciągnął ręce, zdjął jej koszulę i przywarł do niej tak mocno, że nie mogła mieć wątpliwości, jak bardzo jej pragnie. Sama też nie mogła doczekać się spełnienia.

- Nie spieszmy się - szepnął.

Obsypał ją milionem pocałunków, rozbudził każdy, najmniejszy nerw jej ciała, aż w końcu złączyli się w jedność, a Rosalyn nie mogła powstrzymać się od krzyku.

- Miałeś rację - westchnęła, kiedy nieco ochłonęli. - Tego się nie zapomina. Jak jazdy na rowerze.

- Owszem, ale jest pewna różnica. - Jack poprawił poduszkę pod głową. - Niby wszyscy potrafią to robić, ale prawdziwa przyjemność jest dopiero wtedy, kiedy spotkają się odpowiedni partnerzy.

- Ładnie to ująłeś. - Przeciągnęła się rozkosznie.

- Gdyby nie było tak późno, moglibyśmy jeszcze raz sprawdzić, czy mam rację - powiedział, tuląc ją do siebie.

Na dworze rzeczywiście już świtało.

- Chciałabym, żeby ta noc mogła trwać wiecznie.

- Ja też. - Końcem palca kreślił w powietrzu jej profil. - Ale obawiam się, że niedługo pojawi się Sophie.

- O Boże! Całkiem o niej zapomniałam - jęknęła.

- Nie obawiaj się. Też nie chcę, żeby mnie tu zobaczyła. Chyba nie zniósłbym jej niby nic nie znaczących uśmiezków.

Rosalyn roześmiała się w głos.

- Ani ja. Nie wiesz, gdzie jest moja koszula?

Nie spuszczać z niej oczu, Jack sięgnął za siebie i podał ubranie. Odrzuciła kołdrę i usiadła na łóżku. Dopiero teraz mógł w pełni docenić jej kształty.

- Tycjan bez wątpienia byłby cię namalował, gdyby tylko cię poznał.

Włożyła koszulę przez głowę.

- Chyba jednak mam za mało sadelka jak na jego gust.

- Ale nie na mój. - Wyciągnął dłonie w jej kierunku, lecz szybko opuściła nogi na podłogę.

- Wezmę pierwsza prysznic i pójdę na dół zaparzyć kawę.

Zatrzymała się na moment w progu. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nawet nie była pewna, czy w ogóle powinna coś mówić. Ale przynajmniej przez chwilę chciała jeszcze nacieszyć się widokiem potarganej głowy Jacka i doskonałym rysunkiem jego ciała, z którego potrafił zrobić tak wspaniały użytek mimo rzekomego braku doświadczenia.

- Zmieniłaś zdanie?

Twarcz Rosalyn oblała się rumieńcem.

- Tylko mnie teraz nie kuś.

Roześmiał się szeroko od ucha do ucha i uderzył dłonią w materac.

- Mamy jeszcze dziesięć minut.

Kiedy siedzieli w kuchni przy porannej kawie, Rosalyn opowiedziała Jackowi o znalezionych wczoraj pamiątnikach Idy Mae.

- Możesz wierzyć lub nie, ale sam z chęcią je przeczytam. - Zmarszczył brwi. - Teraz przypominam sobie, że zdarzało mi się widzieć, jak coś pisze.

- W szkatułce zostało jeszcze osiem albo nawet dziewięć brulionów.

- Pamiętam tę szkatułkę. Rzeczywiście mówiła, że dostała ją od Henry'ego. Ale nie mogę wręcz uwierzyć, że była zaręczona z twoim dziadkiem.

- To prawda. Wszystko dokładnie opisała w swoim pamiętniku.

- W owych czasach musiał to być straszny skandal.

- Teraz rozumiem, dlaczego moja babcia nigdy nie wróciła do Plainsville i na zawsze wykreśliła ten epizod z życiorysu.

- To też nie jest do końca jasne. Przecież mogła wymyślić jakąś historyjkę, którą mogłaby ci opowiedzieć.

A poza tym, przynajmniej mama i ojciec pewnie z czasem by jej wybaczyli. W każdym razie moi rodzice darowaliby nam prawie wszystko. Tata, na przykład, ciągle jeszcze mi wypomina, jak zabrałem mu kluczyki od nowego samochodu i przebiłem nim stodołę na wylot. Rosalyn wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Ale mówiąc serio, nie rozumiem, dlaczego rodzice sami nie odwiedzili przynajmniej twoich rodziców w Chicago. Przecież Ida Mae nie musiała im towarzyszyć.

Rosalyn wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Pewnie ich gniew był silniejszy, niż nam się wydaje, a z tego, co przeczytałam, wynika, że Ida Mae bardzo zgorzkniała.

- Akurat tego nie zauważyłem. Jak byłem dzieckiem, zawsze mnie czymś częstowała, a kiedy podrosłem, nigdy nie omieszkała wcisnąć mi dwudziestodolarówki, ilekroć pomogłem przystrzyc jej trawnik. Jeszcze kilka lat temu, kiedy postanowiłem wrócić na stałe do Plainsville i otworzyć własny interes, podżyrowała mi kredyt w banku. Bez jej pomocy pewnie nie dostałbym tych pieniędzy. Naprawdę bardzo wiele jej zawdzięczam, nawet to, że poznałem ciebie.

Przez krótką chwilę obserwowała go z uwagą. Już teraz, kiedy popijali kawę w staroświeckiej kuchni w ten piękny, majowy poranek, trudno jej było uwierzyć, że dopiero co trwali w miłosnym uścisku. Jakiś wewnętrzny głos przypominał jej, że wydarzenia ostatniej nocy raczej pozostaną bez wpływu na dalszy ciąg jej życia.

- Chyba powinienem już iść. - Jack podniósł się z miejsca i odstawił do zlewu swój kubek.

Odprowadziła go do drzwi. Nagle poczuła, że się rumieni.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że czuję się tak jak... po pierwszym razie, kiedy jeszcze byłam w college'u.

Przyciągnął ją do siebie.

- Ja w każdym razie czuję się fantastycznie - zapewnił, całując ją w policzek. - Może wpadłbym dziś znowu po pracy?

Rosalyn przyłożyła mu palec do ust.

- Nic nie obiecuj, bo nie wytrzymam do wieczora.

- Jak chcesz, ale lepiej będzie, jak się umówimy.

- Na kolację.

- Świetnie. Może tym razem u mnie?

- Doskonale.

- Na pewno wszystko jest w porządku? Mam na myśli tę historię z Naismithem? - zatrzymał się w pół kroku.

- Tak, nie przejmuj się.

- No to do wieczora.

Zamknęła drzwi i oparła się plecami o ścianę. Pomyślała, że Jack chyba nigdy nie przestanie jej zadziwiać.

Rozdział 12

Sophie posmutniała na wieść o śmierci Jima. Siedziały przy kuchennym stole i Rosalyn relacjonowała jej wydarzenia ostatnich dwóch dni. Wspomniała też o pamiątkach Idy Mae.

- Powinam była pamiętać, gdzie jest kluczyk! - zawołała gospodyni. - Panna Ida mówiła, że dostała szkatułkę od Henry'ego, ale ani słowem nie zdradziła się, że to był ślubny prezent. Kto by pomyślał? Twoja babcia naprawdę nigdy o tym wszystkim nie mówiła?

- A co miała zrobić? Przyznać się, że uciekła z narzeczonym własnej siostry? Takich rzeczy nie opowiada się wnuczce.

- To prawda - westchnęła Sophie. - Ale przynajmniej twoja mama musiała wiedzieć.

Po chwili namysłu Rosalyn pokręciła głową.

- Wątpię. W naszej rodzinie w ogóle nie poruszało się przykrych tematów.

- Tak bywa - przyznała Sophie. - U nas też czasem trudno się porozumieć.

- U siostry wszystko już w porządku? Gospodyni przymknęła powieki i westchnęła głęboko.

- Frankie, mój najmłodszy siostrzeniec, od najmłodszych lat ma kłopoty z prawem. W piątek musieliśmy jechać do Des Moines spotkać się z sędzią i adwokatem. Jeśli zgodzę się, żeby siostra z rodziną zamieszkała u mnie na kilka miesięcy, dopóki sama nie stanie na nogi, Frankie pozostanie na wolności pod opieką kuratora.

- Ile ma lat?

- Siedemnaście. Powiedzieli, że jak znowu wpakuje się w kłopoty, odeślą go do poprawczaka. Siostra strasznie się o niego martwi.

- I co postanowiłaś?

- Przecież nie mam wyboru. Muszę im pomóc, bo to przecież rodzina, prawda?

Rosalyn pomyślała o Jacku, który porzucił Chicago, żeby zająć się ojcem i farmą. Potem zastanowiła się nad stosunkami panującymi w jej własnej rodzinie. Na pogrzebie mamy ojciec chyba próbował odzyskać kontakt, bo wcisnął jej w rękę wizytówkę i poprosił, żeby odwiedziła go w Nowym Jorku. Włożyła wizytówkę do portfela i od tamtej pory jej nie widziała.

- Źle się czujesz? - zatroszczyła się gospodyni.

- Nie. Tylko myślałam o swoich bliskich. Sophie pokiwała głową ze współczuciem.

- To prawda, że Petersenowie mają skomplikowaną historię. Ale za to Jensenowie to naprawdę modelowa rodzina. Wszyscy są ze sobą tak blisko.

- Tak. Chociaż jeśli to prawda, że Henry Jensen kochał się w Idzie, jego żona musiała się czegoś domyślać.

- Henry i Ida Mae należeli do starego pokolenia. Jestem prawie pewna, że Henry nigdy nie zraniłby żony.

- Mimo że kochał moją cioteczną babkę.

- To była wspaniała przyjaźń. Może pani Jensen potrafiła to zrozumieć bez uczucia zazdrości.

- Jeśli tak, to musiała być niezwykłą kobietą. Sama chyba nigdy nie potrafiłabym się na to zdobyć.

- Jesteś dla siebie zbyt surowa.

Przyglądając się steranej życiem gospodyni, Rosalyn uświadomiła sobie, że nigdy nie rozmawiała tak długo i szczerze z kimkolwiek ze swych najbliższych.

- Dzięki za wotum zaufania - uśmiechnęła się. - Posłuchaj, Sophie, gdyby były ci potrzebne pieniądze...

- Panna Ida pomogła mi zainwestować oszczędności i dzięki temu mam teraz całkiem przyzwoitą emeryturę. A jeśli chodzi o siostrę i jej bliskich, to oczywiście muszę im pomóc, ale wszystko w granicach rozsądku. Reszta zależy od nich samych. - Podniosła się z krzesła. - No, ale starczy tego dobrego. Robota czeka. - Zebrała brudne kubki i odniosła je do zlewu.

- Mam nadzieję, że odwiedzisz mnie w Chicago. Bardzo bym chciała ci wszystko pokazać.

Gospodyni uśmiechnęła się szeroko.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie cierpię wielkich miast. Nawet Des Moines jest za duże jak na mój gust. Poza tym - rzuciła jej przekorne spojrzenie - mam nadzieję, że zostaniesz w Plainsville, bo tu właśnie jest twoje miejsce.

Dostojnym krokiem wyszła z kuchni, pozostawiając Rosalyn w głębokiej zadumie. Co miała znaczyć ta ostatnia uwaga? I gdzie rzeczywiście jest jej miejsce?

Rosalyn spędziła całą godzinę przy telefonie. Sekretarka Eda Saundersa poinformowała ją, że szef nie pojawił się jeszcze w pracy i obiecała, że gdy tylko przyjdzie, przekaże mu prośbę Rosalyn o telefon.

Wykręciła numer Judy i zostawiła jej wiadomość na sekretarce. Judy oddzwoniła po pięciu minutach.

- Wiesz już o Jimie? - zapytała z miejsca.

- Tak.

- Co ci powiedział, jak przyjechał do Plainsville?

- Skąd wiesz, że w ogóle tu był?

- Dał mi znać, że się do ciebie wybiera. Przez miesiąc namawiałam go, żeby to zrobił.

- Judy, o co w tym wszystkim chodzi?

Rosalyn usłyszała, jak koleżanka z trudem przełyka ślinę.

- Gdzieś sześć tygodni temu natknęłam się na Jima wieczorem w biurze. Zostałam dłużej, bo umówiłam się w mieście z mężem na kolację, więc nie było sensu wracać do domu. Jim postawił mi drinka. Rozmawialiśmy o tym i o owym, aż nagle zaczął mnie wypytywać o niektóre konta. W końcu wyjaśnił, że z jednego z prowadzonych przez niego rachunków znikły jakieś pieniądze, a w aktach nie mógł znaleźć najmniejszego śladu dokonania takiego transferu. Kiedy zapytałam, czy poinformował o tym Eda, powiedział, że najpierw chciał coś sprawdzić na własną rękę. Poradziłam, żeby pogadał z tobą, ale widocznie tego nie zrobił.

- Dlaczego mi o niczym nie powiedziałaś?

- Bo obiecałam, że dochowam tajemnicy. Poza tym wtedy myślałam, że sam z tobą rozmawiał i że...

- Że co?

- Wiedziałam przecież, że się spotykacie. Ale jak Jim wrócił z rejsu, zauważyłam, że coś się między wami zepsuło. Myślałam, że powiedział ci o tych pieniądzach, a ty poinformowałaś o wszystkim Eda.

- Co? - Rosalyn nie wierzyła własnym uszom.

- Tak to wyglądało. Potem nagle wyjechałaś do Iowy, a następnego dnia w firmie pojawili się inspektorzy.

- To Ed właściwie kazał mi wyjechać. A potem miałam wypadek.

- Wiem. - Głos Judy złagodniał. - I przepraszam, że nie dzwoniłam, ale tu naprawdę wszystko stało na głowie. Doszłaś już do siebie po wypadku?

Rosalyn przełożyła słuchawkę do drugiej ręki i wytarła spoconą dłoń o koszulkę.

- Tak, czuję się już dobrze. Wracam do Chicago tak szybko, jak to możliwe, żeby to wszystko wyjaśnić.

- Teraz to już bez znaczenia. Wszyscy są przekonani, że Jim specjalnie spowodował wypadek, bo wiedział, że zostanie oskarżony o defraudację.

- Policja twierdzi, że to był wypadek.

- W jasną noc, na suchej jezdni?

- Może był zmęczony. Musiał przejechać stąd kawał drogi, żeby złapać powrotny samolot w Des Moines. Poza tym prawie nie spał w nocy.

- Tacy ludzie jak Jim nie popełniają samobójstwa. I nie kradną cudzych pieniędzy!

- Oczywiście, że nie. Dlatego te wszystkie plotki pozbawione są sensu.

- Właśnie. I dlatego nie mogę uwierzyć, że był to zwykły wypadek. Nie po tym wszystkim.

Rosalyn otarła czoło.

- Mogłabyś mi dokładnie wszystko opowiedzieć, Judy? Proszę?

Jeszcze długo po tym, jak odłożyła słuchawkę, Rosalyn nie mogła dojść do siebie. Było jej teraz głupio, że nie stanęła w obronie sekretarki, kiedy Ed czynił sugestie, że mogło ją łączyć z Jimem coś więcej niż przyjaźń. Jednak nie to niepokoiło ją najbardziej. Nie rozumiała, dlaczego Ed i szef zespołu dochodzeniowego zagrozili Judy, że zostanie oskarżona o współudział w defraudacji funduszy firmy, jeśli nie zrezygnuje z pracy. A wszystko dlatego, że na prośbę Jima odbiła mu na ksero kilka dokumentów.

Z westchnieniem podniosła się z krzesła. Sophie zostawiła lunch w piekarniku i poszła do domu. Uzgodniły, że skoro Rosalyn nie wymaga już opieki, gospodyni będzie wychodzić wcześniej. Był ciepły majowy dzień, więc posiłek na werandzie z kolejnym tomem pamiętników Idy Mae wydał się Rosalyn najlepszym sposobem spędzenia czasu. Później pójdzie się przygotować na spotkanie z Jackiem.

Usiadła w wiklinowym fotelu i jeszcze raz przeczytała ostatni zapis z pierwszego brulionu, w którym Ida wspominała o problemach finansowych ojca. Po raz kolejny zastanowiła ją dziwna uwaga o wyrzutach sumienia trapiących cioteczną babkę. Czyżby w rozpacz zrobiła coś, co dawało jej pewność, że siostra już nigdy nie uzyska przebaczenia?

Rosalyn wyszukała w szkatułce odpowiedni brulion i ostrożnie odchyliła obitą skórą, twardą okładkę. Pierwszy zapis pochodził z lipca 1930 roku.

Tatuś wygląda, jakby był ciężko chory. Wiem, że martwi się o straty poniesione przez bank. Czuję się strasznie, kiedy w zeszłym miesiącu przyszedł do mnie z pobludłą twarzą i powiedział, że June i Richard ukradli moje obligacje. Mówił, że trzymał je w pancерnej skrzynce w szufladzie biurka w sypialni. Kiedy po nie poszedł, okazało się, że zniknęły. Przeszukał cały dom, choć i tak nie spodziewał się ich znaleźć, bo od początku wiedział, kto je zabrał. Tylko June i ja wiedziałyśmy, gdzie trzyma klucz do szuflady.

Na widok ściągniętej bólem twarzy tatusia o mało się nie załamalam. I chyba bym to zrobiła, gdyby June nie zaczęła wydzwaniać z Chicago. Próbowala namówić mamę, żebyśmy ich odwiedzili, żeby porozmawiać i naprawić stosunki. Co za bezczelność! Jak tata zauważył brak obligacji, chciał do niej pojechać, ale przekonałam go, żeby dał spokój. Wtedy powiedział, że jestem świętą osobą, a ja nie mogłam zasnąć przez całą noc. Gdyby tylko znał prawdę!

Rosalyn przerwała lekturę i sięgnęła po jedzenie. Rozpacz i gorycz zawarta w pamiętniku ciotecznej babki tak bardzo kontrastowała z radosnym nastrojem wiosny, że musiała kilkakrotnie zamrużyć powiekami, żeby wrócić do rzeczywistości.

Ciekawe, jaka suma została ulokowana w zaginionych obligacjach. W życiu dziadków nie dostrzegła żadnych znamion luksusu, ale być może wydali wszystkie pieniądze na dom. Skraść komuś narzeczoną to okropny postępek, ale żeby do tego sprzeniewierzyć jeszcze rodzinne pieniądze...

Nie była pewna, czy chce kontynuować czytanie. Dowiadywanie się tak okropnych rzeczy o najbliższych na pewno nie należy do przyjemności. Z drugiej strony, po raz kolejny zaintrygowała ją

niezbyt jasna uwaga Idy Mae. „Gdyby tylko wiedział!” Co tym razem mogła mieć na myśli?

Wypiła kilka łyków mrożonej herbaty i przewróciła stronę. 17 sierpnia 1930 roku, czyli miesiąc później.

Miałam szansę powiedzieć tacie o wszystkim, a teraz jest już za późno. Zresztą, nawet gdybym przyznała się, że to ja zabrałam obligacje, wylew i tak pewnie by go nie oszczędził. Jego śmierć jest dla mnie dostateczną karą. Stan tatusia pogarszał się z dnia na dzień, szczególnie po tym, jak zadzwonił do June i powiedział, że ją wydziedzicza i że do końca jego i mamy życia nie wolno jej pokazać się w Plainsville. June nie odważyła się przyjechać na pogrzeb, ale zadzwoniła. Czasem w środku nocy przypominam sobie, jak opowiadałyśmy sobie szeptem różne niestworzone historie, i bardzo chce mi się płakać.

Rosalyn odłożyła brulion na kolana. A więc to Ida Mae ukradła obligacje, które miała otrzymać w posagu, i w ten sposób rzuciła podejrzenie na siostrę. Czemu to zrobiła? Zapewne chciała się zemścić.

Zanurzyła usta w lodowatym płynie i znów powróciła do lektury.
20 września 1930 roku.

To chyba prawda, że nieszczęścia chodzą parami. Dwa tygodnie temu mama zmarła na atak serca i w ten sposób zostałam jedyną dziedziczką rodzinnych udziałów w banku. Nie żeby byty w tej chwili dużo warte. Przez moment zastanawiałam się nawet, czy nie sprzedać tych nieszczęsnych obligacji, ale w obecnych okolicznościach nawet pięćdziesiąt tysięcy dolarów to zaledwie kropla w morzu potrzeb. Poza tym nie byłabym w stanie dotknąć tych pieniędzy. Dla mnie na zawsze pozostaną przeklęte.

June dzwoniła kilkakrotnie, kiedy dowiedziała się o śmierci mamy. Podejrzewam, że utrzymuje kontakt z kimś w Plainsville, pewnie z Rachel, która przecież od dawna wiedziała o jej związku z Richardem. Jak się o tym dowiedziałam, postanowiłam nie dawać jej bursztynowego dzbanuszka i zatrzymałam go dla siebie.

Ilekoć słyszę głos June przez telefon, natychmiast odkładam słuchawkę. Jeśli nadal będzie wydzwaniać, zażadam zmiany numeru.

To znaczy, pomyślała Rosalyn, że babcia próbowała pojednać się z rodziną. Niewykluczone, że właśnie upór, z jakim Ida Mae

odrzucała prośby June, wyrzeźbił pierwsze bruzdy zgorzknienia na jej twarzy.

Rosalyn zamknęła brulion i popatrzyła ze smutkiem na krzew róży. Na gałązkach, które w wiosennym słońcu szybko wystrzeliły do góry, pojawiły się już liście. Jeszcze trochę, a krzew rzeczywiście stanie się główną ozdobą ogrodu.

Tulipany już prawie przekwitły, a ich pożółkłe łodygi zaczynały chylić się ku ziemi. Jednak niedługo zakwitną byliny, a na klombie wokół Jack zapewne dosadzi jeszcze trochę jednorocznych roślin. Postanowiła, że przed wyjazdem sama zakupi część sadzonek do ogrodu, żeby zdążyć nasycić oczy ich widokiem.

Podniosła się i zeszła po schodach werandy, przeszła przez trawnik i stanęła na wprost rezydencji. To mój dom, pomyślała nie bez satysfakcji. Moja posiadłość.

Musiała przyznać, że budynek prezentował się zdecydowanie bardziej imponująco niż jej własne mieszkanie w Chicago czy segment, który należał do dziadków.

Przypomniała sobie wrażenie, jakie zrobił na niej dom Petersenów, kiedy po raz pierwszy ujrzała go nocą w strumieniach deszczu. Mroczny, zimny, złowieszczy.

Nawet po kilku dniach, kiedy postanowiła wynająć samochód i wrócić do Chicago, wszystkie te stiuki, ornamenty i meble znaczyły dla niej tyle co eksponaty w muzeum, nic nie znaczące okruchy czyjejś przeszłości.

Minął miesiąc i zarówno sam dom, jak i wszystko, co znajdowało się w środku, wydało się Rosalyn bliskie i drogie, znajome niczym para wysłużonych kapci. Wiedziała już, który stopień skrzypi najgłośniej, która szafka w kuchni nie chce się domknąć i który kran trzeba zakręcić szczególnie mocno, bo inaczej nie przestanie kapać.

Stary zegar w holu, którego głośnie tykanie na początku tak ją przerażało, teraz dodawał jej otuchy i pomagał zasnąć. Szczególnie w nocy, kiedy dręczyły ją liczne pytania, na które nie знаła odpowiedzi, świadomość, że czas płynie spokojnie jak zawsze, podnosiła ją na duchu.

Jeśli tylko zechcę, to wszystko może być moje, pomyślała i po raz pierwszy od chwili przybycia do Plainsville stwierdziła, że być może ten pomysł wart jest głębszego zastanowienia. Śmierć Jima i poprzedzające ją nader niejasne okoliczności sprawiły, że zapał, z

jakim jeszcze wczoraj chciała wracać do Chicago, wyraźnie osłabł. Poza tym zdała sobie sprawę, że wyjazd z Plainsville oznacza nie tylko utratę domu i całej posiadłości, ale także pożegnanie z dwojgiem bliskich jej osób, z Sophie i przede wszystkim z Jackiem.

Uśmiechnęła się w duchu na wspomnienie napastliwej, cynicznej osoby, którą była jeszcze tak niedawno. W nowym, łagodniejszym wcieleniu sama sobie zaczynała się podobać. Tylko czy Jack będzie nadal o nią zabiegał, jeśli postanowi zatrzymać dom? Czy rozczarowanie związane z utratą szansy na spadek nie każe mu odwrócić się do Rosalyn plecami?

Nie wybiegaj zaudto w przyszłość, panno Baines, skarciła się w duchu. Podejrzliwość należała do tych słabości jej charakteru, z którymi od dawna próbowała walczyć. A teraz na pewno nie uczyni żadnego kroku, który mógłby narazić na szwank jej znajomość z Jackiem.

Wróciła na werandę i jeszcze raz spojrzała na różę Iowy. Zostać czy wyjechać?

Przecież przynajmniej na razie nie musi podejmować decyzji. Może żyć z dnia na dzień, zobaczyć, co przyniesie czas. Teraz powinna tylko zapytać Randalla Taylora, czy Ida Mae zdeponowała gdzieś obligacje na okaziciela. Potem weźmie prysznic i przebierze się na kolację z Jackiem. Dlaczego miałyby odmawiać sobie przyjemności?

- Panna Petersen zrezygnowała ze skrytki depozytowej wiele lat temu - wyjaśnił prawnik. - Jak mówiłem, po pokryciu kosztów pogrzebu na jej koncie zostało około trzydziestu tysięcy dolarów i nic mi nie wiadomo, żeby zmarła posiadała jakieś stare obligacje. Ale jeśli to prawda, mam nadzieję, że trzymała je w jakimś bezpiecznym miejscu, bo po tylu latach muszą przedstawiać dużą wartość. To jakby czek podpisany in blanco, więc na pewno nie powinny wpaść w niepowołane ręce.

- Przecież muszą gdzieś być?

- Może już dawno wymieniła je na gotówkę?

- Być może - zgodziła się Rosalyn, ale w głębi duszy przekonana była, że Ida Mae nigdy nie tknęłaby tych pieniędzy.

Nie ukradła ich z chciwości, lecz z zemsty, i jak sama napisała, były dla niej przeklęte na zawsze.

- A tak przy okazji chciałem cię zapytać o postępy dochodzenia w sprawie tamtego wypadku. Wiem, że już doszłaś do siebie, ale gdybyś miała jakieś problemy z wypłatą pieniędzy z ubezpieczenia, daj mi znać.

Rosalyn westchnęła. Mimo że od czasu powrotu ze szpitala prowadziła ożywioną korespondencję z firmą ubezpieczeniową, starała się nie myśleć o wypadku.

- Właśnie otrzymałam Ust, że formalności związane z pokryciem kosztów leczenia i wypłatą odszkodowania za samochód mają się ku końcowi.

- A nie zmieniłaś zdania w kwestii odszkodowania za uszczerbek na zdrowiu, straty moralne, i tak dalej?

Uśmiechnęła się w duchu. Nic dziwnego, że tak często słyszy się dowcipy o adwokatach. Najwyraźniej zawodowy instynkt każe Randallowi zajmować się tą sprawą, mimo że Rosalyn wcale nie prosiła go o pomoc.

- Dziękuję, ale nie zamierzam czynić żadnych kroków w tym kierunku. Kierowca ciężarówki nie przeżył wypadku, a jego rodzina i tak już dość wycierpiała. Poza tym wcale nie potrzebuję tych pieniędzy.

- Muszę stwierdzić, że to rzadka postawa w dzisiejszych czasach.
- Prawnik nie ukrywał zdumienia. - Czy podjęłaś już decyzję co do spadku?

Spodziewała się i tego pytania, lecz wciąż nie potrafiła zdobyć się na konkretną odpowiedź.

- Sytuacja w mojej firmie się skomplikowała, więc wolałabym jeszcze trochę poczekać. Możesz dać mi jeszcze trochę czasu na zastanowienie?

- Oczywiście, moja droga. Co prawda chciałbym uporać się z tą sprawą możliwie szybko, ale wszystkie podatki uregulowane są aż do końca roku, więc nie ma wielkiego pośpiechu. Jak rozumiem, pokrywasz bieżące wydatki na dom z własnej kieszeni?

- Tak. Mówiłeś, pamiętam, że można by nimi obciążyć hipotekę, ale sądzę, że byłoby to nie w porządku w stosunku do drugiego spadkobiercy...

- Gdybyś zdecydowała się przekazać mu dom, tak?

- Właśnie. Postaram się nie zwlekać zbyt długo z decyzją. I dziękuję za wszystko.

Siedziała przez dłuższą chwilę bez ruchu, zastanawiając się, gdzie Ida Mae mogła ukryć obligacje. Randall Taylor powiedział wyraźnie, że ze względu na swoją wartość nie powinny wpaść w niepowołane ręce.

Przy kolacji zrelacjonowała Jackowi ostatnie wieści. Siedzieli w jego mieszkaniu sąsiadującym przez ścianę z centrum ogrodniczym. Dni stawały się coraz dłuższe i mimo późnej pory przez okno wpadały jeszcze ostatnie promienie zachodzącego słońca. Było ciepło i Jack zaproponował, by wynieśli przystawki i wino na zewnątrz i tam rozkoszowali się sprzyjającą aurą.

Wyciągnął się wygodnie w wiklinowym fotelu, idealnie dopasowanym do ciemnozielonych ogrodowych mebli, które sprawiały, że taras stanowił jakby przedłużenie pokoju.

Rosalyn wpatrywała się z zachwytem w purpurową kulę znikającą za horyzontem. Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w chwili, w której zapadł mrok, nad tarasem rozbrzysk rząd kolorowych, japońskich lampionów.

Rosalyn aż krzyknęła z zachwytem.

- To nie czary - roześmiał się Jack. - Włączają się automatycznie, kiedy robi się ciemno. Zrobiłem je na życzenie klientki i muszę sprawdzić, jak działają, zanim zamontuję je u niej w ogrodzie.

- Są śliczne.

- Moim zdaniem trochę za słodkie. - Sięgnął po butelkę z winem.

- Napijesz się jeszcze?

- Nie, dziękuję. Najpierw muszę coś zjeść, bo nie daj Bóg przyjdą mi do głowy jakieś głupoty.

- Na to nie pozwolę, przynajmniej dopóki nie spróbujesz makaronu z krewetkami mojej własnej roboty.

Rosalyn odwróciła od niego wzrok. Od momentu, kiedy znaleźli się na tarasie, marzyła tylko o tym, żeby paść mu w ramiona.

- Wracając do tych obligacji - powiedziała, starając się nie widzieć iskerek rozbawienia w oczach gospodarza - to Ida ukradła je, żeby mieć pewność, że rodzina nigdy nie wybaczy mojej babci.

- To okropne. Nigdy bym jej o to nie posądzał.

- Mimo że nigdy nie poznałam Idy, też wydaje mi się to do niej niepodobne. Może zamierzała się przyznać, ale po wylewie ojca okazało się to ponad jej siły. To tak jakby wzięła na siebie całą odpowiedzialność za to, co się stało.

- To nie była jej wina. Nikt nie może przewidzieć takiej choroby jak wylew. Mój tata miał więcej szczęścia, bo udało mu się wyjść z niej prawie bez szwanku.

- A potem umarła jej matka i komu miała powiedzieć prawdę? Richardowi i June? Przysięgła sobie przecież, że więcej się do nich nie odezwie. Po tym wszystkim i tak nie zdołałaby się z nimi pojednać.

- Pewnie masz rację. Ale teraz skończ ten ostatni kawałek brie, a ja tymczasem dodam krewetki do sosu.

Rosalyn patrzyła, jak Jack znika za drzwiami kuchni. Musiała przyznać w duchu, że spędziwszy z nim noc, nie potrafi już traktować go nawet na pozór obojętnie, tylko drży z niedosytu na samo wspomnienie tego, co kryje koszulka polo i spodnie w kolorze khaki. Jednocześnie przez cały czas zdawała sobie sprawę, że jej związek z Jackiem może napotkać trudności nie do pokonania.

Czy naprawdę tego właśnie chcę, myślała, chłonąc atmosferę cudownego ogrodu otaczającego taras. Przez szklane, rozsuwane drzwi prowadzące do kuchni widziała w świetle świec ustawionych na stole obłoki pary unoszące się z garnków i Jacka, który właśnie odlewał makaron. Z ukrytych w ścianie głośników sączyła się nastrojowa muzyka.

Czy rzeczywiście pragnie takiego życia i gotowa jest zrezygnować z kariery, na którą od lat tak ciężko pracuje? Odwróciła głowę i sięgnęła po kieliszek z winem. Właśnie w tym momencie Jack rozsunął drzwi i uśmiechnął się do niej zniewalająco, odgarniając niesforny kosmyk opadający mu na czoło.

- Gotowa? - zapytał.

Rosalyn poderwała się z ochotą i natychmiast opuściły ją wszelkie wątpliwości.

Było już dobrze po północy, kiedy prosto z fajansowej miski, pokładając się ze śmiechu, wyjadali resztki makaronu. Jack miał na sobie jedynie bokserki, Rosalyn okryła się męską koszulą, która znalazła na wieszaku w sypialni. Po oficjalnej atmosferze, w jakiej kilka godzin wcześniej rozpoczęli posiłek, nie pozostało już nawet wspomnienie.

- Na zimno jest równie pyszny - pochwaliła Rosalyn, oblizując się ze smakiem.

- Poczekaj, aż zobaczysz deser.

- Myślałam, że deser mamy już za sobą - rzekła, uśmiechając się zalotnie.

Jack otarł dłonią resztki sosu z ust Rosalyn, odłożył na bok widelec i wziął ją w ramiona.

- To może sprawdzimy, czy dokładka jest równie smaczna?

Rosalyn wtuliła twarz w jego pierś, napawając się męskim zapachem zmieszany z delikatną wonią talku. Z największą rozkoszą smakowała gładką skórę. Roześmiał się i przytulił ją jeszcze mocniej.

- Przestań, bo...

- Bo co? Zaciągniesz mnie z powrotem do sypialni?

- Coś w tym rodzaju - odparł i pocałował ją w sam czubek nosa.

- O niczym tak nie marzę - uszczypnęła go żartem - ale zaczyna już świtać.

Westchnął z rezygnacją i zanurzył twarz w gęstwinie jej kasztanowatych włosów.

- Czy mógłbyś nie otwierać dziś sklepu?

- Niestety - mruknął z żalem. - To jedna z niedogodności mieszkania tuż obok. Zaraz ktoś by się zaczął do nas dobijać.

Rosalyn zrobiła krok w tył i oparła się dłonią o blat.

- Więc pewnie powinnam się już ubrać.

- I tak ktoś nas zauważy, jak będę cię wiozł do domu.

- Nie wątpię, szczególnie że co jak co, ale twoja furgonetka naprawdę rzuca się w oczy.

- A Plainsville to małe miasteczko i nic tu się nie da ukryć przed wścibskim spojrzeniem sąsiadów.

- Nie jest tak źle - zauważyła Rosalyn. - Lepsze to niż pełna anonimowość życia w Chicago.

- Jeszcze miesiąc temu nie powiedziałabyś tego. Zaskoczyła ją trafność tej uwagi.

- Pewnie nie, ale miesiąc temu byłam zupełnie inną osobą.

- To prawda. Teraz jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy, kiedy ujrzałem cię pierwszy raz, prawie naga, w oknie pokoju gościnnego.

- Miałam na sobie nocną koszulę - zaprotestowała.

- Niech ci będzie. - Nie wytrzymał, żeby jej znowu nie pocałować. - Tyle że bardzo skąpą.

Kiedy kilka minut później jechali uśpionymi jeszcze uliczkami Plainsville, Jack jakby popadł w zadumę.

- Posłuchaj, Różyczko - powiedział po chwili. - Musimy poważnie porozmawiać. Zamykam sklep o piątej i obiecuję, że w piętnaście minut znajdę się u ciebie pod drzwiami.

- Różyczko? Tata do mnie tak mówił, jak byłam mała.

- Nie podoba ci się?

- Nie, dlaczego? Wręcz przeciwnie. Pocałował ją lekko w policzek.

- Różyczko, moja śliczna Różyczko z Iowy.

Rosalyn nie miała najmniejszej ochoty na spanie. Zaparzyła kawę i usiadła przy stole w kuchni, planując przebieg wieczornej rozmowy. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała podjąć decyzję, lecz niestety nie czuła się jeszcze na siłach, by oznajmić bez zastrzeżeń, że oto dokonała wyboru i zostaje w Plainsville.

Wciąż trapiły ją liczne wątpliwość i pytania, na które nie potrafiła nadal odpowiedzieć. Jednak teraz nie miała najmniejszej ochoty zaprzętać sobie nimi głowy, a ponieważ musiała się czymś zająć, wzięła się - rzecz niebywała - do wiosennych porządków.

Sophie omal nie przewróciła się z wrażenia, kiedy dwie godziny później ujrzała niedoszłą dziedziczkę z odkurzaczem w ręku.

- Cierpisz na bezsenność? - zapytała zdumiona.

Czując, że robi się czerwona jak burak, Rosalyn pochyliła się i ze zdwojoną energią zaczęła wyciągać kurz z dywanu pod kanapą w pokoju gościnnym. Nagle odkurzacz jakby się zakrztusił. Domyśliła się, że coś musiało zatkać rurę. Sięgnęła pod kanapę i wyczuła płaski przedmiot.

Kiedy go podniosła, okazało się, że w dłoni trzyma czerwoną dyskietkę. Zgodnie z informacją na nalepce, należała do Jima Naismitha.

Rozdział 13

- A co to takiego? - Sophie zajrzała Rosalyn przez ramię.

- Dyskietka. Od komputera - dodała, widząc, że sama nazwa przedmiotu niewiele mówi gospodyni.

- Twoja?

- Nie. Była własnością Naismitha.

- Ale skąd się wzięła pod kanapą?

- Jim na niej spał tamtej nocy. Pewnie wypadła mu z kieszeni.

- A może specjalnie ją tam schował, tylko zapomniał ci o tym powiedzieć?

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała Rosalyn zdumiona.

Starsza pani tylko wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Pewnie masz rację. Musiał to niechcący upuścić.

Rosalyn włożyła dyskietkę do kieszonki koszuli.

- Właśnie. Ale to dziwne, że w ogóle miał tę dyskietkę przy sobie. Może chciał mi coś na niej pokazać, ale zmienił zdanie...

Przypomniała sobie, jak niechętnie słuchała wynurzeń Jima. Może podobnie jak Judy doszedł do wniosku, że jest w zмовie z Edem.

- Coś nie tak? - zaniepokoiła się Sophie.

- Nie, tylko żałuję, że mi jej jednak nie pokazał przed wyjazdem.

Sophie zajęła się zwijaniem odkurzacza.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. Gdyby naprawdę miał tam coś ważnego, nie zapomnieliby jej zabrać.

Zapewne tak, myślała Rosalyn. Chyba że, tak jak powiedziała Sophie, zostawił ją specjalnie, bo uznał, że tak będzie bezpieczniej. Może chciał mi o tym powiedzieć, ale nie zdążył.

Pobiegła na górę i włączyła laptopa. Niestety, tak jak podejrzewała, musiałyby znać hasło, żeby otworzyć znajdujące się na dyskietce pliki. Przez chwilę wpatrywała się w ekran, zastanawiając się, co począć. Niewykluczone, że Jim darzył Judy takim zaufaniem, że podał jej hasło.

Spróbowała do niej zadzwonić, lecz beznamiętny głos informatorki oznajmił, że numer został zmieniony. To dziwne, pomyślała, Rosalyn. Rozmawiały przecież nie dalej niż wczoraj i Judy ani słowem nie wspomniała o zamiarze zmiany numeru. Co mogło ją skłonić do tak nagłej decyzji?

Pod wpływem nagłego impulsu wykręciła numer telefonu Eda Saundersa, mimo że ryzykowała, iż może zostać uznana za natręta.

- Tak, szef właśnie przyszedł. Zaraz cię z nim połączę - powiedziała sekretarka i w chwilę później w słuchawce rozległ się asertywny głos Eda.

- Przykro mi, ale muszę przekazać ci smutną wiadomość o Jimie - powiedział, zadawszy uprzednio kilka kurtuazyjnych pytań o zdrowie Rosalyn.

- Już wiem. Miejscowy szeryf zawiadomił mnie o wypadku jeszcze w niedzielę w nocy.

- Jakim cudem do ciebie trafił? - Ed nie krył swego zaskoczenia.

- Jim był w Plainsville poprzedniego dnia i...

- A co on, na Boga, tam robił?

- Przyjechał porozmawiać o...

- Mam nadzieję, że nie o dochodzeniu - szef znowu przerwał jej w pół słowa.

- No, niezupełnie - skłamała.

Poczuła, że zaczyna tracić grunt pod nogami.

- To co, przyjechał z towarzyską wizytą?

- Właściwie nie.

- Rosalyn, moje dziecko, przestaję cię już rozumieć. Przyjechał, żeby cię zobaczyć, czy po to, żeby ci o czymś powiedzieć?

- Przecież to teraz bez znaczenia.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Ze względu na dochodzenie i na ciebie samą. Więc co ci powiedział?

Rosalyn pokrótce zrelacjonowała mu przebieg wizyty Jima, kładąc nacisk przede wszystkim na to, że zapewniał o własnej niewinności.

Ed nie posiadał się z oburzenia.

- Obawiam się, Rosalyn, że próbował cię w coś zrobić. Zresztą, sam powiedziałem mu, że powinien znaleźć sobie dobrego adwokata, bo nie uniknie oskarżenia.

- Kiedy to było?

- Nie pamiętam dokładnie. Chyba w piątek.

- Wydawało mi się, że w piątek byłeś na Karaibach.

- Owszem. Rozmawiałem z nim przed wylotem. Naismith był idiotą. Szkoda, że mnie nie posłuchał.

Rosalyn była zaskoczona, że Ed właściwie nie wyraził żalu po śmierci Jima, tylko jakby przez cały czas starał się udowodnić jego winę.

- Pytałem, czy mówił coś na temat dochodzenia?

- Słucham? Przepraszam cię, Ed, ale się zamyśliłam. Nie, właściwie nie rozmawialiśmy na ten temat. Jim po prostu był bardzo zmartwiony.

- I pokonał taki kawał drogi do Plainsville tylko po to, żeby się przed tobą wypłakać? Chyba rzeczywiście był bliski obłądu.

- Co przez to rozumiesz? Przyciszył głos.

- Istnieje podejrzenie, że specjalnie spowodował wypadek.

- Przecież to nedorzeczne.

- Niczego nie można wykluczyć. Może przemyślał moje słowa i zdał sobie sprawę, że to właściwie koniec jego kariery.

Rosalyn nie miała najmniejszej ochoty na dyskusję na temat przyczyn śmierci przyjaciela.

- Kilka minut temu próbowałam dodzwonić się do Judy.

- Zmieniła numer telefonu.

- Już o tym wiesz?

- A co w tym dziwnego?

- Nic, ale kiedy dzwoniłam do niej wczoraj, numer był jeszcze nie zmieniony.

- Dzwonili do niej dzisiaj z kadr i wtedy się dowiedzieli - wyjaśnił po dłuższej chwili. - A po co do niej dzwoniłaś?

Normalna rutyna biurowego życia. Wszyscy muszą wiedzieć, kto z kim rozmawiał i dlaczego. Tylko że o dziwo, tym razem nie miała najmniejszej ochoty na plotki.

- Twoja sekretarka poinformowała mnie w zeszłym tygodniu, że Judy zrezygnowała z pracy. Zadzwoiłam, żeby dowiedzieć się, co u niej słychać.

- Więc już wiesz, dlaczego złożyła wypowiedzenie?

- Właściwie nie - skłamała, gdyż chciała usłyszeć, co Ed ma do powiedzenia na ten temat.

- Nie mówiła ci?

Skoro raz skłamała, musi brnąć dalej.

- Nie było jej w domu, więc tylko zostawiłam wiadomość na sekretarce.

W słuchawce rozległo się głośne westchnienie.

- Przykro mi, ale nie da się ukryć, że moje podejrzenia co do związku Judy z Naismithem okazały się uzasadnione. Przyłapałem ją na kopiowaniu moich dokumentów i wtedy przyznała się, że mu pomaga. Widziałem, że się kompletnie załamała, więc z dobrej woli zaproponowałem, że jeśli odejdzie na własną prośbę, nie wniesiemy przeciw niej oskarżenia. Nawet nie wyobrażasz sobie, jaka była mi wdzięczna.

Rosalyn nie odezwała się słowem.

- Słyszysz mnie?

- Tak, oczywiście. Przypuszczam, że nie znasz nowego numeru telefonu do Judy?

- Nie. I bardzo proszę, żebyś natychmiast dała mi znać, gdyby się z tobą skontaktowała. Zespół dochodzeniowy prosił o jej numer.

- Myślałam, że skoro Jim nie żyje, sprawa jest już zamknięta.

- I tak, i nie. - Najwyraźniej był zaskoczony jej uwagą. - Jest jeszcze kilka kwestii, które trzeba wyjaśnić. Dla dobra firmy.

- Rozumiem - mruknęła, choć w jej odczuciu grzebanie w sprawach zmarłego kolegi było co najmniej nie na miejscu.

- Więc kiedy, moja droga, zobaczymy cię w firmie z powrotem?

Tym razem to Rosalyn była zaskoczona.

- Nie jestem pewna. Masz coś przeciw temu, żebym przedłużyła urlop o tydzień?

- Nie, skądże. I tak większość transakcji została wstrzymana do czasu zakończenia dochodzenia.

- Dziękuję. Aha, i jeszcze jedno. Nie wiesz przypadkiem, jakiego hasła używał Jim? Skoro ktoś przejął jego sprawy, pewnie stało się nieaktualne?

- Oczywiście, od momentu, kiedy został zawieszony w czynnościach. Ale dlaczego pytasz?

- Przez pomyłkę zostawił u mnie jakąś dyskietkę, więc pomyślałam, że dobrze byłoby sprawdzić, czy nie ma na niej czegoś ważnego.

- Co to za dyskietka?

- Nie mam pojęcia. Musiała mu wypaść z kieszeni, bo znalazłam ją dziś na podłodze.

- Jeśli zawiera dane firmy, musimy jak najszybciej przekazać ją policji. Mogłabyś mi ją zaraz odesłać pocztą kurierską.

- Jeśli podasz mi hasło, mogę od razu sprawdzić...

- Nie pamiętam tego hasła, więc musiałbym facygować kadry, żeby sprawdziły w dokumentach Naismitha. Będzie o wiele prościej, jak ją odeślesz.

- Oczywiście, chociaż mogłabym ją sama przywieźć, skoro za tydzień mam być w biurze.

- Pamiętaj, że wciąż jeszcze trwa dochodzenie, więc bądź tak miła i prześlij mi tę dyskietkę najszybciej, jak możesz. Zgoda?

- Jak sobie życzysz...

Rosalyn odłożyła słuchawkę i przeanalizowała w myślach treść rozmowy. Całe to dochodzenie i wiadomość o dyskietce wyraźnie wytrąciły Eda z równowagi. Być może, pomyślała, obawia się, że i inni pracownicy firmy mają swój udział w tej nieszczęsnej aferze. Miała tylko nadzieję, że sama nie zalicza się do grona podejrzanych.

Wyszła z pokoju i zaczęła błąkać się po domu właściwie bez celu. Sophie zajęta była gotowaniem kolacji. Naprzeciwko wejścia do kuchni znajdowały się drzwi prowadzące do piwnicy. Może to właśnie tam Ida Mae ukryła obligacje?

Zeszła po schodach i zapaliła światło. Dopiero teraz w pełni uświadomiła sobie nieprawdopodobny talent ciotecznej babki do chomikowania przedmiotów. Obejrzała najróżniejsze sterty i paczki, lecz nie dostrzegła niczego, co przypominałoby starą, metalową skrzynkę. Zresztą wśród tylu zgromadzonych tu przedmiotów i tak nie miała szansy jej znaleźć. To szukanie igły w stogu siana, pomyślała, wycofując się na schody.

Chyba lepiej robi, wracając do pamiętników. Może tam znajdzie jakąś wskazówkę, gdzie rozpocząć poszukiwania.

Jeszcze raz rozejrzała się po mrocznym, wilgotnym wnętrzu, i odwróciła się do wyjścia. Na tle otwartych drzwi ujrzała sylwetkę Sophie.

- Wielkie nieba! - zawołała kobieta, trzymając się pod boki. - Właśnie zastanawiałam się, dlaczego drzwi do piwnicy są otwarte. Co ty tam robisz?

- To długa historia - zaczęła Rosalyn.

- To chodź, opowiesz mi ją przy lunchu.

- Jednego jestem pewna - stwierdziła Sophie, wysłuchawszy opowieści do końca. - Panna Ida nie schowałaby obligacji w piwnicy. Ona miała taką naturę, że moim zdaniem przynajmniej raz na jakiś czas musiałyby sprawdzić, czy aby na pewno są bezpieczne, a przez

dwadzieścia pięć lat pracy w tym domu nie widziałam, żeby choć raz schodziła do piwnicy.

- To może ukryła je gdzieś na górze?

- Tylko gdzie? Po jej śmierci, na prośbę Taylora, przeszukałam cały dom i przejrzałam wszystkie dokumenty, żeby sprawdzić, czy gdzieś nie zawieruszyły się jakieś zaległe rachunki.

- Jednak nigdy nie zajrzałaś do tej drewnianej szkatułki, którą dostała od Henry'ego Jensena.

- Fakt, ale nie pamiętałam, gdzie trzymała kluczyk. Ale ty przecież już sprawdziłaś jej zawartość i nie znalazłaś obligacji, prawda?

- Nie - westchnęła Rosalyn i sięgnęła po szklankę z herbatą. - Jednak gdzieś muszą być. Może na strychu?

Sophie popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Nie sądzę. Nie widziałam, żeby panna Ida kiedykolwiek zaglądała na drugie piętro.

- Ale po co miałyby sprawdzać, czy są na miejscu?

Napisała, że znajdowały się w pancерnej skrzynce, więc przecież nic nie mogło im grozić.

- A jednak wydaje mi się to do niej niepodobne. - Gospodyni wzruszyła ramionami. - Panna Ida należała do ludzi, którzy uważają, że wszystko i wszystkich muszą mieć na oku.

Przynajmniej pod tym względem jestem do niej podobna, pomyślała Rosalyn.

- Na którą umówiłaś się z lekarzem?

- Boże, całkiem o tym zapomniałam. Chyba na drugą? Zaraz zadzwonię po taksówkę.

- Jest taka piękna pogoda. Nie sądzisz, że piętnastominutowy spacerek dobrze by ci zrobił? Przychodnia jest tuż obok szpitala.

- Wiem, pielęgniarzka wyjaśniła mi wszystko jeszcze przed wypisem. Chyba dobrze mi radzisz. Z przyjemnością się przespaceruję.

- To dobrze. Powinnaś lepiej poznać miasteczko, zanim kupisz bilet do Chicago.

Uwaga gospodyni przypomniała Rosalyn, że ma coraz mniej czasu na podjęcie decyzji.

- Masz rację, niedługo będę musiała wyjechać - roześmiała się. - Zrobiło się już naprawdę ciepło i po prostu nie mam się w co ubrać.

Muszę pojechać do domu choćby po to, żeby wziąć trochę letnich rzeczy.

- Tu w Plainsville też mamy całkiem niezłe sklepy - zauważyła gospodyni z przekąsem.

Pół godziny później Rosalyn zbliżała się chodnikiem do centrum miasteczka. Tłok panujący na ulicy i obecność licznych o tej porze przechodniów sprawiły, że zaczęła czuć się prawie tak, jakby niespodziewanie znalazła się w Chicago.

Uśmiechnęła się w duchu. Chyba zbyt długo przebywałam z dala od miasta, jeśli nawet ruch w Plainsville zaczyna działać mi na nerwy, pomyślała, skręcając w uliczkę prowadzącą do szpitala.

Widok znajomej fasady budynku przypomniał jej o zderzeniu z ciężarówką. Na szczęście wydarzenia następnego tygodnia przyćmiły wspomnienie tamtych koszmarnych dni. Jeszcze wychodząc ze szpitala obawiała się, że w domu ciotecznej babki przyjdzie jej zanudzić się na śmierć. Tyle że wtedy nie wiedziała jeszcze o istnieniu pamiętników, z Chicago nie dochodziły niepokojące wiadomości, a z Jackiem łączyła ją jedynie przelotna znajomość.

Wszystko można powiedzieć o Plainsville, stwierdziła, otwierając drzwi przychodni, tylko nie to, żeby się tu choć trochę nudziła.

W drodze powrotnej zatrzymała się na chwilę przed Centrum Ogrodniczym. Miała ochotę zajrzeć do Jacka, ale na widok licznych samochodów zaparkowanych przed sklepem uznała, że na pewno jest zajęty. Zdawała sobie sprawę, że gdyby zdecydowali się być razem, świetnie prosperujący sklep okazałby się jednym z powodów, dla którego Jack nigdy nie opuściłby Plainsville.

To ona musiałaby porzucić dotychczasowe życie.

Kiedy wróciła do domu, Sophie już nie było. Weszła do środka przez drzwi od kuchni, które zwykle pozostawały otwarte. Zdażyła się już przyzwyczaić do tego, że w Plainsville nikt nie zadaje sobie trudu, żeby zamknąć drzwi na klucz. Nalała sobie szklankę mrożonej herbaty z lodówki i z kolejnym tomem pamiętników Idy Mae udała się do sypialni. Po drodze jeszcze raz zajrzała do szafy ciotecznej babki w poszukiwaniu metalowej skrzynki.

Oczywiście, na próżno.

Położyła się na łóżku i odszukała w brulionie miejsce, w którym wczoraj zakończyła lekturę. Następny zapis nosił datę 19 grudnia 1930 roku.

Henry przekazał mi dziś ciekawe wieści. Dowiedział się pocztą pantoflową, że June jest w ciąży. Usiłował mnie namówić, żebym jej wybaczyła, ale powiedziałam mu, że chyba zwariował, jeśli przypuszcza, że mogłabym zapomnieć o własnej krzywdzie dlatego, że June spodziewa się dziecka, którego zawsze pragnęłam. To niesprawiedliwe.

Rosalyn zamknęła pamiętnik. Lepiej zrobi, jeśli zaniecha dalszej lektury, bo kiedy czyta wynurzenia ciotecznej babki, jej samej udziela się podły nastrój. Wzięła do ręki pozostałe bruliony, by sprawdzić, jak długo Ida Mae prowadziła notatki. Ostatnia strona zapisana została cztery dni po śmierci matki Rosalyn.

Smutny dziś dzień. Cała rodzina odeszła poza córką mojej siostrzenicy, a i jej zapewne nigdy nie przyjdzie mi poznać. Przez tyle lat nie przestałam myśleć o córeczce June i liścikach, jakie do mnie pisała. Tak żałuję, że nie wzięłam pióra do ręki i nie odpisałam. A teraz jest już za późno. Czy nienawiść może wejść człowiekowi w nawyk? Jeśli tak, to chyba stałam się nałogowcem.

Wszystkie osoby, jakie mogłabym zaliczyć do grona najbliższych, odeszły już z tego świata. Została tylko Rosalyn. To piękne imię, które zapewne otrzymała po Rose, June Rose. A może to hołd złożony róży Iowy, którą nie było dane się nacieszyć ani June, ani jej córce.

Ostatnio sporo myślałam. Przez całe lata zamierzałam zostawić swój majątek młodemu Jackowi. To dobry chłopiec i kocham go jak własnego syna. Poza tym wiem, jak drogi jest mu ten dom.

Jednak odkąd dowiedziałam się o śmierci Lucille, z trudnością przychodzi mi zasnąć. Czy istnieje jakiś sposób na odkupienie winy? Może Rosalyn nie jest skażona nienawiścią? Może zechce tu przyjechać i pokocha róże Iowy i Plainsville tak, jak ja kochałam je przez całe życie? Może to będzie przynajmniej w niewielkim stopniu zadośćuczynienie za tragedię, na którą pozwoliłam i która zniszczyła rodzinę?

Tak brzmiał ostatni zapis w pamiętniku. Rosalyn oparła głowę o poduszkę i zamyśliła się nad smutnym losem Idy Mae i June Rose. Bliźniaczki o identycznych twarzach, a jak różne życie przyszło im wieść. Pamiętniki Idy w dużej mierze wyjaśniały brak tolerancji w zachowaniu babci Dutton.

Jednak mimo surowego wychowania mama podejmowała kolejne próby pogodzenia rodziny. Tylko dlaczego nie opowiedziała własnej

córcie całej tej historii, zanim dla wszystkich stało się zbyt późno? Dla nich wszystkich, ale może nie dla mnie, pomyślała Rosalyn.

Jack otworzył butelkę piwa, wyciągnął się w fotelu, oparł nogi wygodnie o stojące obok krzesło i słuchał z uwagą opowieści Rosalyn o kolejnych tomach pamiętnika ciotecznej babki.

- Aż trudno uwierzyć, że w kimś tak kruchym jak Ida Mae mogło być aż tyle nienawiści. I wierz mi, że nikt, kto ją znał, nigdy nie podejrzewałby jej o to, że żywi do kogoś tak potworną urazę.

- Pozory bywają mylące. - Rosalyn bujała się powoli w wiklinowym fotelu.

Siedzieli na werandzie o zmierzchu, rozkoszując się orzeźwiającymi powiewami wiatru. Po drodze z pracy Jack wstąpił do chińskiej restauracji i kupił jedzenie na wynos oraz kilka butelek piwa.

Właściwie kończyli już posiłek, a nie padło jeszcze ani jedno słowo na temat powrotu Rosalyn do Chicago. Jack przez cały dzień wymyślał kolejne argumenty, które mogłyby ją zachęcić do pozostania w Plainsville. Lenny nawet przyłapał go na bezgłośnym poruszaniu ustami i zaczął żartować, że stryj gada sam do siebie. Jednak teraz, siedząc naprzeciw Rosalyn, nie śmiał poruszyć tego drażliwego tematu z obawy, że może ją utracić.

- Nałożyć ci jeszcze makaronu? - zapytała. Przymknął powieki.

- Nie zmieszczę już ani jednej łyżki.

- Raczej pałeczki.

- A propos. Gdzie nauczyłaś się tak biegle posługiwać pałeczkami?

- To wynik wieloletniego doświadczenia - oznajmiła, otwierając ostatni pojemnik z jedzeniem. - Niedaleko mojego mieszkania jest świetna tajlandzka restauracja. Chodzę tam prawie w każdy piątek.

Jack z satysfakcją odnotował, że Rosalyn użyła liczby pojedynczej.

- Brakuje ci tego w Plainsville? - zapytał.

- Masz na myśli restaurację?

- Nie tylko. Myślałem też o mieszkaniu i w ogóle o całej scenerii Chicago.

- To zależy, co nazywasz scenerią. Chodzi ci o tryb życia, pracę, znajomych?

Wyprostował plecy i zdjął nogi z krzesła. Że też Rosalyn potrafi najniewinniejszą uwagę zmienić w pytanie godne hiszpańskiego inkwizytora.

- Chyba miałem na myśli wszystko, co niesie ze sobą życie w Chicago.

- To zależy, ale muszę przyznać, że bywają dni, kiedy w ogóle nie myślę o pracy. Sądzę, że tak naprawdę brakuje mi jedynie jakiegoś celu.

- Nie rozumiem.

- Kiedy przychodzę do pracy, nigdy nie wiem, co mnie czeka. Możesz mi wierzyć, że mimo dopracowanej w najmniejszym szczególe struktury firmy zdarzają się nam wzloty i upadki i musimy stawiać czoło najróżniejszym, całkiem nieprzewidywalnym sytuacjom. I to właśnie czyni tę pracę tak fascynującą. Tymczasem tutaj - zatoczyła dłonią po ogrodzie - dzień jest podobny do dnia. I choć muszę przyznać, że ma to swoje dobre strony, odnoszę wrażenie, jakbym wciąż stała w miejscu, jakbym zamiast płynąć z nurtem do przodu, wciąż odbijała się między jednym brzegiem a drugim bez żadnego celu.

Jack wiedział, że nadszedł czas na poważną rozmowę, tylko nie bardzo wiedział, od czego zacząć. Dopiero po dłuższej chwili, kiedy Rosalyn podniosła się z fotela i właśnie zamierzała iść po coś do domu, uznał, że nie może dłużej czekać.

- Może to przez to, że nie potrafisz się zdecydować.

- Ja nie potrafię się zdecydować? - syknęła, mrużąc oczy.

Miał wrażenie, że właśnie bierze udział w telewizyjnej debacie o tym, jak nie należy prowadzić dyskusji.

- Chciałem powiedzieć, że nie umiesz podjąć decyzji, czy zamieszkać w Plainsville, czy nie.

Opadła z powrotem na fotel i utkwiała wzrok w ogrodowych krzewach.

- Ach, tak.

Nie powiedziała nic więcej i Jack zupełnie nie wiedział, jak ma interpretować jej reakcję.

- Możesz mi wierzyć, że niezależnie od tego, co postanowisz, zaakceptuję twój wybór.

- Ty go zaakceptujesz?

Znowu zaczęła odpowiadać pytaniem na pytanie, czym kompletnie zbiła go z tropu.

- Oczywiście. Nie jest mi obojętne, co postanowisz, ale nie chciałbym wywierać najmniejszego nacisku, bo później któreś z nas może tego żałować - powiedział, odwracając wzrok od Rosalyn, której twarz przybrała teraz raczej niechętny mu wyraz.

Po chwili Rosalyn wstała i przechyliła się przez kamienną balustradę. Podążył w ślad za jej spojrzeniem i ni stąd, ni zowąd przyszło mu do głowy, że najwyższy czas posadzić jednoroczne rośliny w ogrodzie. Z trudem powrócił myślami do tematu rozmowy, jeśli w ogóle ta bezładna wymiana zdań zasługiwała na to miano.

- Myślałem, że uda nam się dzisiaj ustalić, czy zostaniesz w Plainsville na stałe.

- I zatrzymam dom - mruknęła, wciąż odwrócona do Jacka plecami.

- Oczywiście.

- To wszystko?

Nerwowo potarł dłonią czoło. Czuł, że zaczyna tracić grunt pod nogami. O co jej chodzi? Wiadomo, że trzeba ustalić, kto zatrzyma dom, pieniądze i całą posiadłość. I oczywiście krzew róży. Ale co poza tym?

- Mam na myśli dom i resztę majątku. Jeśli zostaniesz, wszystko będzie należeć do ciebie.

Nagle odwróciła się w jego stronę. Jack aż się wzdrygnął, tak zdziwił go wyraz twarzy Rosalyn. Czyżby płakała? Chyba nie, bo odezwała się z nienaturalnym wręcz spokojem:

- Majątku? Dobrze wiem, ile to wszystko jest warte. I rozumiem, że nie mam zbyt wiele czasu na podjęcie decyzji. Jeśli chcesz wiedzieć, obiecałam Edowi, że za tydzień wrócę do pracy.

Poczuł, że serce zamiera mu w piersi. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Rosalyn nie dopuściła go do głosu.

- Problem polega na tym, że jest wiele spraw, od których zależy mój wybór, a o których ty nawet nie wspomniałeś. Poza tym, oczywiście, liczy się jeszcze moje własne życie, mieszkanie, kariera, przyjaciele.

Jack podniósł się z miejsca.

- Dobrze o tym wszystkim pamiętam, Rosalyn, dlatego powiedziałem, że nie chciałbym wywierać na ciebie żadnego nacisku.

Poza tym mówiłem już przecież, że nie jest mi obojętne, jakiego dokonasz wyboru.

- A czy mógłbyś wyjaśnić mi dokładniej, dlaczego? Ton głosu Rosalyn i dziwny wyraz jej oczu wprawił

Jacka w prawdziwe zakłopotanie. Chciała usłyszeć od niego coś bardziej konkretnego i powoli zaczynał rozumieć, co chce usłyszeć. Lecz choć nie mógł oderwać od niej oczu, wewnętrzny głos nie pozwolił mu na poważniejsze wyznania. Nie tu i nie teraz.

- To chyba naturalne, że interesuje mnie twoja decyzja. Jestem przecież drugim spadkobiercą. Więc...

Nawet nie dała mu skończyć, tylko energicznym krokiem udała się do drzwi i otworzyła je z impetem, posyłając mu na pożegnanie miazdzące spojrzenie.

- Jest już późno, a mam jeszcze sporo spraw do przemyślenia - oznajmiła, wchodząc do pokoju.

Jack otarł pot z czoła. Coś dławiło go w gardle. Nie odczuwał żalu do Rosalyn, tylko do siebie, bo nie potrafił się zdobyć na wypowiedzenie tych kilku słów, które chciała z niego wydobyć.

Rozdział 14

Nie mogła zasnąć. Gdzieś w środku nocy przyniosła do łóżka dwa ostatnie tomy pamiętników Idy Mae, a kiedy zakończyła lekturę, na dworze już świtało. Podniosła się i podeszła do okna, żeby popatrzeć na wschód słońca. W ustach czuła gorycz, spowodowaną nie tyle przez bezsenność, co żal nad zmarnowanym życiem ciotecznej babki. Życiem poświęconym podtrzymywaniu ognia nienawiści.

Między kartkami ostatniego brulionu znalazła żółtą kopertę, a w niej liczne kartki, które June i Lucille wysyłały do Plainsville przez długie lata. Być może zmiana testamentu stanowiła próbę nadrobienia straconego czasu?

Niestety, nastąpiło to zbyt późno.

Myśli Rosalyn powędrowały w kierunku jej własnej babci, którego uczucie okazało się tak gorące, że kazało jej zdradzić własną siostrę i rodziców. I co po latach zostało z tej miłości? Podejrzewała, że trudności, z jakimi dziadkom przyszło się borykać, nie pozostały bez wpływu na ich związek. Czy babcia lub dziadek żałowali swego szalonego kroku? Tego Rosalyn już nigdy nie miała się dowiedzieć.

Poszła do łazienki i napuściła wodę do wanny, a potem długo przyglądała się własnemu odbiciu w lustrze. Czy ma w sobie coś z charakteru babci? Czy jest gotowa zaryzykować wszystko w imię miłości, czy też pozwoli odejść temu jednemu mężczyźnie, którego naprawdę kocha, tylko dlatego, że ją zranił? Na razie nie potrafiła odpowiedzieć na żadne z tych pytań.

Po kąpieli co prawda poczuła się raźniej, lecz nadal nie była pewna, co począć. Nie mogła się nadziwić zmianom, jakie zaszły w jej charakterze od chwili przyjazdu do Plainsville. Jeszcze kilka tygodni temu uważała, że nieprzewidywalność i ciągłe zmiany czynią życie w Chicago wręcz fascynującym. Teraz jednak uświadomiła sobie, że pozwoliła pracy i codziennej rutynie zawładnąć swym losem. Zdała sobie sprawę, że biurowe sukcesy i porażki, o których jeszcze wczoraj tak żarliwie opowiadała Jackowi, nigdy nie zaspokoją jej wewnętrznej potrzeby ciepła i miłości.

Nie miała pojęcia, jak silna jest to potrzeba, dopóki nie przyjechała do Plainsville i nie poznała Jacka. A teraz aż drżała na myśl, że powrót do Chicago sprawi, że stanie się taka jak dawniej, chłodna i nieczuła.

Starła rękami warstwę pary z lustra i jeszcze raz przyjrzała się swemu odbiciu. Nie ma wyjścia. Powinna zmusić Jacka do odpowiedzi na kilka podstawowych pytań.

Wczoraj wieczorem czekała, aż da jej znak, że pragnie, by zamieszkała w Plainsville nie tylko ze względu na dom. Powiedź coś, powtarzała sobie w duchu. Powiedź to, co tak bardzo chcę usłyszeć. Lecz Jack tylko plątał się w zeznaniach, zamiast po prostu wyznać, że ją kocha i chce spędzić z nią resztę życia.

Na samo wspomnienie dłoni Jacka wędrujących po jej ciele poczuła, że skóra znów pali ją rozkosznie. Mimo zastrzeżeń, że nie ma zbyt wielu doświadczeń, okazał się świetnym kochankiem. Opanuj się, panno Baines. Myślałby kto, że sama jesteś ekspertem w tej dziedzinie. Poza tym jeśli chcesz, żeby Sophie nie zastała cię w rosoli, poszukaj lepiej czegoś do ubrania, zamiast oddawać się marzeniom.

Dzień zapowiadał się upalnie, a Rosalyn znów mogła wybierać jedynie między czarną, wełnianą spódniczką a parą dżinsów. Zbiegła do kuchni i po krótkich poszukiwaniach znalazła w szufladzie ostre nożyczki. Niewiele myśląc, pobiegła z nimi na górę i kilkoma wprawnymi ruchami przerobiła spodnie na szorty.

Kiedy Sophie otworzyła drzwi, Rosalyn siedziała już przy stole, delektując się kawą.

- O, widzę, że jednak chodziłaś po zakupy - rzekła Sophie.
- Wcale nie, po prostu obciąłam nogawki. Gospodyni zmarszczyła czoło ze zdziwienia.
- Te dżinsy musiały cię sporo kosztować.
- Ale przynajmniej się nie ugotuję.
- Fakt, jest okropnie gorąco. - Sophie postawiła na kuchennym blacie plastikową torbę ze sprawunkami. - Nie kupowałam dzisiaj zbyt wiele, bo nie wiem, jak długo zamierzasz tu zabawić.
- No właśnie... - Rosalyn zawahała się. - Wczoraj poprosiłam szefa o dodatkowy tydzień wolnego.
- Jeszcze tydzień? Ale po co?
- No, wiesz, muszę coś postanowić, a poza tym pewnie powinnam podpisać jakieś dokumenty i...

Gospodyni usiadła ciężko na krześle. Jej twarz wyrażała ni to rozczarowanie, ni przyganę.

- Pozwolisz, Rosalyn - odezwała się - że będę z tobą szczerą. Mam tyle lat, że mogłabym być twoją matką, więc sędzę, że mi wybaczysz.

Nie miała najmniejszej ochoty na słuchanie Sophie, ale żadna wymówka nie przychodziła jej do głowy.

- Moim zdaniem, na początku, jak tu przyjechałaś, w ogóle cię to wszystko nie obchodziło. W najmniejszym stopniu nie wiązałaś swojej przyszłości z Plainsville. Potem wyjechałaś, miałaś ten okropny wypadek, i znalazłaś się tu z powrotem. Minęło kilka dni i zaczęłaś się zmieniać. Nie, nie przerywaj mi teraz. No więc stałaś się spokojniejsza, bardziej otwarta. No i poznałaś nas, a przede wszystkim Jacka.

Rosalyn zaczerwieniła się po same uszy.

- Nie wiem, jak tam się między wami układa, ale nawet ja, taka stara baba, nie jestem kompletnie ślepa i głucha. Ludzie mówią różne rzeczy.

- Na przykład jakie? Gospodyni wzruszyła ramionami.

- Przecież jesteśmy w Plainsville. Tutaj nic nie da się ukryć. Ale wierz mi, że to, co mówią, nie jest skierowane przeciwko tobie. Mimo że poznałaś zaledwie kilka osób, jesteś tu lubiana i wiem, że ludzie chętnie cię zaakceptują.

- Sophie...

- Poczekaj, zaraz skończę. Próbuję ci powiedzieć, że na początku sama chciałam, żebyś wróciła do Chicago i przekazała dom w ręce Jacka. Spędził tu mnóstwo czasu jako dziecko, a przez ostatnie lata sporo nam pomógł. Uważałam, że ten dom po prostu mu się należy, szczególnie że tobie w ogóle na nim nie zależało.

- To nieprawda - zaprotestowała Rosalyn.

- Nie bądź taka niecierpliwa. Właśnie do tego przechodzę. - Sophie otarła czoło papierową chusteczką. - Boże, co za upał! Więc o czym to mówiłam? Już wiem.

- Najwyraźniej nie zamierzała dopuścić Rosalyn do głosu.

- Więc potem znalazłaś pamiętniki Idy Mae i dowiedziałaś się, że panna Ida została oszukana przez własną siostrę i tak dalej. To był szok, ale przynajmniej poznałaś historię własnej rodziny, jej cienie i blaski. Jak to w życiu, bo wszystko ma swoje dobre i złe strony. Rosalyn pokiwała głową.

- W każdym razie wydaje mi się, że teraz już nie będziesz umiała wyjechać z Plainsville jak gdyby nigdy nic i udawać, że w ogóle nie istnieje. Na początku rzeczywiście mogłaś to zrobić, lecz nie teraz. Oczywiście, nie możesz zapomnieć o własnej karierze i o gronie przyjaciół, którzy czekają na ciebie w Chicago, więc masz teraz szalenie trudny wybór.

Przynajmniej grono przyjaciół nie będzie stanowiło większego problemu, pomyślała Rosalyn. W końcu może policzyć ich na palcach jednej ręki.

- Wydaje mi się, że w głębi duszy już wiesz, co chcesz zrobić, tylko brak ci odwagi, żeby się do tego przyznać - ciągnęła gospodyni.

Pochyliła się i spojrzała Rosalyn głęboko w oczy.

- Posłuchaj starej kobiety i kieruj się głosem serca. Na nic się zda analizowanie wszelkich za i przeciw.

- Tylko że Jack... Sophie machnęła ręką.

- Jack jest dorosłym mężczyzną. Niejedno już przeżył i możesz być pewna, że da sobie radę.

Pewnie tak, ale co ze mną? - pomyślała Rosalyn.

- Jeśli chcesz posłuchać mojej rady...

- Tak?

- Pospaceruj sobie jeszcze w tym tygodniu po mieście. Sprawdź, czy na pewno chcesz to wszystko zostawić.

Rzeczywiście, pomyślała Rosalyn, spacer po Plainsville może pomóc jej podjąć decyzję, ale przecież nie rozwiąże wszystkich kwestii. Najpierw musi jeszcze raz porozmawiać z Jackiem.

Spędziła ponad godzinę, przechadzając się po posiadłości. Dotarła nawet do kępy drzew, którą pierwszego dnia pokazał jej Jack. Teraz wszystkie gałęzie pokryte były już liśćmi, polne kwiaty mieniły się na łące wszystkimi kolorami tęczy, a wysoka trawa porastała brzeg rzeki. Oczami duszy Rosalyn ujrzała bawiące się i pływające tu dzieci i usłyszała ich radosny śmiech. Sama, od dziecka wychowana w Chicago, pływała dotąd jedynie w chlorowanej wodzie publicznych basenów.

Ruszyła przez pola w kierunku domu. Gdzieś tam pokładały się jeszcze zeszłoroczne łodygi kukurydzy, tu i ówdzie zahaczyła nogą o nie zaorany pas rzyska przy ścieżce. Na pewno jedną z kilku osób, które chciałyby już wiedzieć, jaką podejmie decyzję, jest rolnik

dzierżawiący tę ziemię. Rosalyn aż ugięła się pod brzemieniem ciężającej na niej odpowiedzialności.

Zerwała kilka różowych kwiatów o długich łodygach, minęła z daleka dom i skierowała się do miasta. Weszła na chodnik biegnący wzdłuż Goshen Road w miejscu, gdzie znak obwieszczał granicę miasteczka. Dalej szosa biegła na wschód, w kierunku Chicago. Jeszcze tylko tydzień, pomyślała.

Skierowała się do centrum. Sophie ma rację: wystarczy pół godziny, żeby przejść miasteczko wzdłuż i wszerz i przy okazji zamienić kilka słów z sąsiadami. Rosalyn pomyślała, że równie dobrze może jeszcze odwiedzić Jacka w pracy.

Kiedy znalazła się przed Centrum Ogrodniczym, bawełniana koszulka lepiała się jej do pleców, a adidasy, które przez pomyłkę zostawił w domu Sophie jeden z jej siostrzeńców, zaczynały obcierać jej pięty. Najchętniej w tej chwili wskoczyłaby dla ochłody do rzeki.

Na parkingu znowu stało mnóstwo samochodów, mimo że środek upalnego dnia i środek tygodnia nie zachęcał do robienia zakupów. Rosalyn przypomniała sobie jednak słowa Jacka, że druga połowa maja to sam szczyt sezonu ogrodniczego, bo to najlepsza pora na sadzenie jednorocznych roślin.

Zatrzymała się parę kroków od wejścia. Widok klientów wychodzących ze sklepu w wykrochmalonych koszulach i nienagannie wyprasowanych spodniach uświadomił jej, jak niekorzystnie teraz wygląda. Nawet bukiet polnych kwiatów, który przez cały czas trzymała w dłoni, już dawno stracił swą świeżość. W tej sytuacji uznała, że najlepiej zrobi, jeśli daruje sobie wizytę w centrum, i wróci prosto do domu.

Właśnie przechodziła przez parking, kiedy do jej uszu dobiegł wysoki, kobiecy głos, a zaraz potem głęboki baryton. Odwróciła głowę i zobaczyła Jacka, jak pomaga pewnej atrakcyjnej kobiecie załadować rośliny do samochodu. Klientka bez przerwy coś mówiła, uśmiechając się przy tym czarująco.

Rosalyn nie mogła usłyszeć treści rozmowy, ale roześmiana twarz Jacka świadczyła ponad wszelką wątpliwość, że dobrze się bawi. Szarmancko otworzył drzwi do samochodu, a kiedy kobieta wsiadła, rozmawiali jeszcze dość długo przez otwarte okno. Na koniec oboje wybuchnęli śmiechem, a Rosalyn, nie wiedząc czemu, poczuła bolesne ukłucie zazdrości.

Ta wstrętna baba na pewno uważa, że Jack jest przystojny i niezwykle czarujący, pomyślała i choć nie było w tym nic nadzwyczajnego, poczuła, że ogarnia ją złość.

Gdy tylko samochód ruszył z miejsca, wycofała się na chodnik, żeby Jack przypadkiem jej nie dostrzegł. Jednak w drodze do domu ani na chwilę nie przestała myśleć o scenie, która rozegrała się na parkingu. Jeśli stąd wyjedziesz, ostrzegła się w duchu, Jack bez wątpienia zwiąże się z inną kobietą. To jasne jak słońce.

Na pocieszenie obiecała sobie, że gdy tylko wróci do domu, zrobi sobie drinka z ostatniej buteleczki whisky, jaka została jej jeszcze z samolotu, i spróbuje zapomnieć o wszystkim. Nawet o tym, jak bardzo Jack jest przystojny, jak musi podobać się kobietom i jak bardzo sama go pragnie.

Walka z własną słabością, jaką wciąż do niego czuła, pozbawiła ją resztek energii, tak że kiedy w końcu dotarła do domu, z trudem wdrapała się na schody werandy.

Sophie już wyszła, ale na szczęście nie zamknęła drzwi na klucz, więc nie musiała mocować się z zamkiem i już po chwili siedziała w kuchni, rozkoszując się panującym tu chłodem.

Odpoczęła chwilę, odetchnęła głęboko i wstała, by przygotować drinka. Nagłe coś ją zaniepokoiło. Czyżby wyczuła zapach papierosów? Wciągnęła nosem powietrze. Bez wątpienia, ktoś tu palił. W holu woń nikotyny była jeszcze bardziej wyraźna, choć nigdzie nie dostrzegła śladu popiołu czy niedopałka.

Pomyślała, że pewnie ktoś przyszedł odwiedzić Sophie i zapalił papierosa. Żadne inne wyjaśnienie nie przychodziło jej do głowy. Dla pewności zapyta jutro gospodynię, czy rzeczywiście miała gościa.

Telefon zadzwonił około siódmej. Właśnie skończyła sałatkę z krewetek, którą Sophie zostawiła jej na wieczór, i opłukała naczynia nad zlewem. Tym razem nie wyniosła jedzenia na werandę, bo na zewnątrz nadal panował nieznośny upał.

Na dźwięk dzwonka aż podskoczyła z przejęcia. Była przekonana, że to Jack, i przez chwilę zastanawiała się, jakim tonem powinna go przywitać. Czy ma odezwać się tak, jakby nic się nie stało, czy może lepiej dać mu do zrozumienia, że już mu wybaczyła i chętnie zaprosi go na kolację? Niestety, głos w słuchawce nie należał do Jacka.

- Panna Baines?

- Tak, słucham.
- Tu szeryf Mac Christensen. Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam. I proszę się nie obawiać. Tym razem nie mam żadnych złych wieści.
- To dobrze. A o co chodzi?
- Chciałbym zadać pani kilka pytań dotyczących pana Naismitha. Właśnie dostałem faks z Chicago z prośbą o pewne ustalenia.
- To znaczy, że policja prowadzi dochodzenie w sprawie wypadku?
- Owszem. Podobno zgłosił się jakiś świadek, który jakoby widział, jak inny samochód zepchnął pana Naismitha z jezdni.
- Niemożliwe!
- To się dopiero okaże. W każdym bądź razie wiadomo już, że Jim Naismith zostawił swój samochód na parkingu przy lotnisku, a w Des Moines wynajął wóz, żeby dojechać do Plainsville.
- To prawda.
- Koledzy z Chicago chcieliby wiedzieć, czy powiedział pani, co zamierza zrobić po powrocie do Chicago.
- Niestety nie. Wyjechał stąd z samego rana, a może jeszcze w nocy. Wiem tylko, że kiedy się obudziłam, już go nie było.
- W słuchawce zapadło milczenie, więc Rosalyn pospieszyła z wyjaśnieniami.
- Położył się na kanapie na dole, a kiedy rano zeszłam, żeby zaparzyć kawę, okazało się, że już wyjechał.
- Rozumiem. I nie mówił, że zamierza pojechać do biura albo się z kimś spotkać?
- Nie. Ale co to może mieć wspólnego z podejrzeniem, że ktoś naumyślnie zepchnął go z szosy?
- Sam nie wiem, ale choć z jednej strony wygląda na to, że wypadek miał miejsce, kiedy wracał do domu...
- To nie bardzo wiadomo, jak pogodzić to z faktem, że wyjechał stąd rano, a wypadek miał miejsce w nocy.
- Właśnie. Samolot z Des Moines wylądował w Chicago o piątej, więc nie wiadomo, co pan Naismith robił przez kilka następnych godzin. Próbujemy to ustalić i dlatego pozwoliłem sobie do pani zadzwonić. Dam pani znać, jak się czegoś dowiemy. A propos, jak długo zamierza pani jeszcze zostać w Plainsville?

Rosalyn przymknęła powieki i odliczyła do dziesięciu, żeby nie wybuchnąć.

- Jeszcze przynajmniej kilka dni.

- To świetnie. Jeszcze raz dziękuję za pomoc. Odłożyła słuchawkę i bezsilnie opadła na fotel. Wiadomość, że ktoś mógł specjalnie zepchnąć Jima z jezdni, kompletnie ją przybiła. W głowie zawirowało jej od pytań, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Przez cały czas wierzyła, że śmierć Jima była wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Teraz już sama nie wiedziała, co myśleć.

Może rzeczywiście ktoś próbował go zrobić? Jeśli to prawda, może istotnie jego śmierć nie była dziełem przypadku? A skoro tak, to dyskietka, którą znalazła pod kanapą, jest zapewne na wagę złota.

Zgasiła światło i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w ogród za oknem. W blasku księżyca rozpoznała znajomy kształt. Róża Iowy wypuściła nowe pędy. Zapewne wkrótce pojawią się pąki pierwszych kwiatów.

Wróciła myślami do lat, które Ida Mae spędziła właśnie w tym fotelu, ze wzrokiem utkwionym w ukochany krzew. Nawet kiedy była zbyt chora, żeby wstawać, kazała ustawić swoje ciężkie łóżko tak, by nadal nie spuścić go z oczu.

Musiała mieć obsesję na punkcie tej róży.

Dlaczego?

Spędziła resztę wieczoru, starając się zrozumieć zachowanie ciotecznej babki. Aż w końcu pojęła, dlaczego Ida Mae do końca życia nie przestała pilnować krzewu.

Rozdział 15

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Sophie bez przekonania przyjrzała się rosnącej kupce ziemi nieopodal krzewu, po czym wróciła do domu.

Od bladego świtu Rosalyn z przejęciem kopała głęboki rowek dookoła krzewu, na razie niestety bez rezultatu. Posuwała się powoli i ostrożnie, uważając, żeby przypadkiem nie uszkodzić korzeni. Wbrew temu, co powiedziała Sophie, nie miała żadnej pewności, czy Ida Mae rzeczywiście zakopała w ziemi metalową skrzynkę z obligacjami.

Co gorsza, może przyjdzie jej przekopać cały ogród, zanim przekona się, czy jej podejrzenia są słuszne.

Kiedy mniej więcej po godzinie Sophie pojawiła się na werandzie z dzbankiem kawy w ręku, Rosalyn nawet nie podniosła głowy. Wiedziała, że gospodyni znowu się naburmuszy i miała lekkie wyrzuty sumienia, że nie wprowadziła jej w szczegóły własnych poczynań. Dopiero kiedy Sophie zostawiła dzbanek na balustradzie i z obrażoną miną zniknęła za drzwiami, Rosalyn postanowiła chwilę odpocząć.

Stanęła na werandzie, zastanawiając się, gdzie wznowić poszukiwania, skoro wokół samego krzewu nie znalazła skrzynki. Spróbowała postawić się w położeniu ciotecznej babki.

Ida Mae zapewne nie miała zbyt wiele czasu, a musiała wykopać głęboki dół, a potem zatrzeć po nim wszelkie ślady. Chciała ukryć obligacje tak, by nikt ich nigdy nie znalazł, co znaczy, że miejsce to musiało znajdować się w pobliżu róży, jednak nie za blisko, bo przecież, jak sama napisała w pamiętniku, co jakiś czas któryś z krewnych prosił o świeży pęd wyrastający z korzeni.

Uważnie rozejrzała się po ogrodzie. Jak daleko mogą sięgać korzenie krzewu? Szkoda, że tak mało wie o ogrodnictwie albo że przynajmniej nie ma tu teraz Jacka.

Kopanie to ciężkie zajęcie, myślała, ocierając pot z czoła. Co gorsza, o tej porze dom nie rzucał już cienia i cały trawnik tonął w promieniach słońca. Wciąż próbowała odtworzyć rozumowanie Idy Mae. Jack wspominał, że nie życzyła sobie, by sadił jakiegokolwiek rośliny w pobliżu krzewu, utrzymując, że róży potrzebna jest spora przestrzeń.

Może nie był to jedyny powód, dla którego nie chciała, by ktokolwiek ruszał ten kawałek ziemi.

Wróciła na werandę i jeszcze raz spróbowała zobaczyć ogród oczami Idy Mae. Z głębi domu dochodził przyciszony głos Sophie. Pewnie rozmawiała z kimś przez telefon.

Jest środek nocy, myślała Rosalyn. Ida Mae schodzi na palcach na ścieżkę, idzie w kierunku róży i zatrzymuje się na brzegu trawnika. Spogląda na tonący w ciemnościach dom. Wszyscy domownicy pogrążeni są we śnie. Gdyby weszła na malutki klombik wokół krzewu, w wilgotnej ziemi zniszczyłaby kapcie i pewnie musiałaby je wyrzucić. Jeśli pójdzie boso, zabrudzi stopy i zostawi ślady na podłodze. Najprościej będzie wykopać dołek przy samym brzegu trawnika, dokładnie na wprost krzewu. Musi się spieszyć.

Rosalyn znowu zaczęła kopać. Gospodyni akurat wystawiła głowę przez drzwi, by zawołać ją na lunch, kiedy szpadel natrafił na coś twardego. Jeszcze kilka szybkich ruchów i oczom Rosalyn ukazało się prostokątne, metalowe wieko.

- Sophie! - zawołała. - Znalazłam!

Następne kilka ruchów i skrzynka ukazała się w całej okazałości. Rosalyn udało się ją podważyć i bez większych kłopotów wyciągnąć na powierzchnię. Oczyszczyła ją z ziemi i przeniosła na werandę. Metalowe ścianki przez te wszystkie lata pokryły się grubą warstwą rdzy.

- Wielkie nieba! - zawołała Sophie z przejęciem. Rosalyn ustawiła skrzynkę na stole. Zanim zajrzy do środka, musi jeszcze poradzić sobie z niewielką kłódką, broniącą dostępu do wnętrza.

- Przecież nigdy nie znajdę klucza! - jęknęła zmartwiona.

- To żelastwo jest tak zardzewiałe, że chyba wystarczy mocno pociągnąć i się rozpadnie. A jak nie, to zaraz przyniosę młotek - powiedziała Sophie tonem eksperta.

Rzeczywiście, jedno uderzenie młotka załatwiło sprawę. Potem ostrożnie przeniosły znalezisko do kuchni. Rosalyn wręcz drżała z przejęcia. Jakoś nie mogła się zdecydować, by podnieść wieko. Co będzie, jeśli skrzynka okaże się pusta?

- No już - ponaglała ją Sophie.

Przypominała teraz dziecko czekające z wypiekami na twarzy na kawałek urodzinowego tortu.

Ciekawe, czy ja też tak wyglądam, pomyślała Rosalyn i podważyła wieko. Na dnie skrzynki leżała skórzana sakiewka. Wzięła ją do ręki i rozwiązała troki, po czym wsunęła do środka palce i

wyjęła zwitek papierów, które wyglądały tak, jakby ktoś sprasował je żelazkiem.

- Chyba dostała się do nich wilgoć - zauważyła, próbując rozdzielić kolejne warstwy.

- Może dobrze by było potrzymać je trochę nad parą?

- Poczekaj...

Rosalyn zdołała odchylić jeden z dokumentów na tyle, że przekonała się, iż przeczucie jej nie myliło.

- To naprawdę są te same obligacje, o których mi mówiłaś?

- Tak.

- Coś niesamowitego. Szczególnie kiedy wiesz, że ostatnią osobą, która widziała je na oczy, była panna Ida, i to tyle lat temu.

Rosalyn ostrożnie usunęła wierzchnią warstwę. Do tej pory widziała podobne dokumenty jedynie na zdjęciach. Obligacja opiewała na dziesięć tysięcy dolarów.

- Ile ich tu jest? - zapytała gospodyni.

- Powinno być pięć.

- Pięćdziesiąt tysięcy. To całkiem ładna suma.

- Zwłaszcza jak na tamte czasy. Nic dziwnego, że pradziadek dostał wylewu, kiedy okazało się, że zniknęły.

- Jak myślisz, dlaczego nie zażądał, żeby June je zwróciła?

- Nie wiem. - Rosalyn wzruszyła ramionami. - Ale wydaje mi się, że Ida Mae nie dopuściła do konfrontacji. Chyba po ucieczce June to właśnie ona przejęła kontrolę nad rodziną.

- Szkoda, że tyle bólu łączy się z tymi pieniędzmi. Rosalyn włożyła obligacje z powrotem do skórzanej sakiewki.

- Nie będę próbowała ich rozdzielić, zanim nie skontaktuję się ze specjalistą. Na razie trzeba je gdzieś dobrze schować. Może do szuflady tego starego biurka w salonie?

- Wiem, że to nie mój interes, ale jestem ciekawa, co zamierzasz z nimi zrobić - rzekła Sophie.

Rosalyn zatrzymała się w pół kroku.

- Należą do tego domu i przypadną temu, kto go odziedziczy - oświadczyła i wyszła z kuchni, nie oglądając się za siebie.

Gdyby tylko mógł, poprosiłby kogoś, by go zastąpił. Co chwila patrzył na zegarek, nie mogąc doczekać się końca pracy. Przez tą cholerną zatkaną rurę wczoraj nawet nie zajrzał do Rosalyn.

A gdyby ją spotkał, czy poprosiłby ją wtedy o rękę? Czy nie odniosłaby wrażenia, że w równej mierze chodzi mu o nią, co o dom?

Sprawdził, czy wszystko jest na miejscu, tak żeby zamknąć sklep, gdy tylko ostatni klient zniknie za drzwiami. Niestety, ostatnim klientem był Mac Christensen, a Mac lubił sobie pogadać.

Jack przestępował z nogi na nogę, podczas gdy Mac usiłował sobie przypomnieć, czy ma wziąć bratki, czy niecierpki.

- Chodzi o to, że nie pamiętam, o co prosiła mnie Patsy, a jak się pomylę, wścieknę się, że jej nie słucham.

- Więc weź jedno i drugie, a jutro zwrócisz te, których nie potrzebujecie.

Mac podniósł wzrok na kolegę.

- Czyżbyś się spieszył? Jack nie odpowiedział.

- Taki dziś upał, pewnie jesteś zmęczony. - Mac w końcu dokonał wyboru i zapłacił za rośliny. - Wczoraj rozmawiałem z twoją przyjaciółką. Mam na myśli Rosalyn Baines - wyjaśnił z dziwnym błyskiem w oczach. - Nie wspominała ci o tym?

Mimo że zdawał sobie sprawę, że Mac naumyślnie zarzucił przynętę, Jack nie był w stanie powstrzymać ciekawości.

- Nie widziałem jej od dwóch dni - odrzekł, odprowadzając policjanta do samochodu.

Znał go na tyle dobrze, by wiedzieć, że Mac ma coś jeszcze w zanadrzu.

- Dzwonili do mnie z Chicago. Wygląda na to, że śmierć tego Naismitha nie była dziełem przypadku.

- Co przez to rozumiesz?

Policjant otworzył drzwiczki i włożył rośliny do samochodu.

- Zgłosił się jakiś świadek, który twierdzi, że widział, jak drugi samochód zepchnął go z jezdni.

- Mają jego numer?

- Nie, ale opis jest dokładny, a na rozbitym samochodzie zostały odpryski lakieru niewiadomego pochodzenia. Dzwoniłem do panny Baines, żeby dowiedzieć się, czy Naismith powiedział jej, jakie ma plany. Nie wiadomo, co robił przez kilka godzin między lądowaniem w Chicago a wypadkiem.

- I czego się dowiedziałeś?

- Że nie mówił jej, dokąd się wybiera ani z kim zamierza się spotkać.

- Nie wspomniała o dochodzeniu? Mac przymrużył powieki.
- O jakim dochodzeniu? Nic na ten temat nie wiem.
- Podobno Naismith był podejrzany o sprzeniewierzenie funduszy firmy.
- Co ty powiesz? - burknął Mac jakby ze znużeniem, lecz Jack dobrze wiedział, że zdołał go zaintrygować.
- Może powinienes dać o tym znać do Chicago.
- Masz rację, chociaż pewnie wiedzą o wszystkim, bo przecież rozmawiali z dyrektorem i innymi pracownikami firmy.
- Ale może nie mają pojęcia, że Naismith uważał, że ktoś próbuje go zrobić. Przyjechał do Rosalyn, żeby jej o tym powiedzieć.
- A jeśli rzeczywiście tak było, może spotkał się z tym kimś, kogo sam podejrzewał...
- I ten ktoś spowodował wypadek. Mac popadł w zadumę.
- Wiesz, że to całkiem możliwy scenariusz - przyznał po chwili. - Na wszelki wypadek zadzwonię do Chicago. - Otworzył drzwiczki i wszedł do samochodu. - Nie domyślasz się, dlaczego panna Baines ani słowem o tym wszystkim nie wspomniała?

Jack poczuł, że się czerwieni.

- Nie mam pojęcia.
- Może próbowała osłaniać przyjaciela.
- Nie wiem - powiedział, patrząc prosto w oczy policjanta.

Począł, aż Mac wyjedzie z parkingu, po czym pobiegł zamknąć sklep. Dwadzieścia minut później podjechał pod dom Rosalyn.

To dziwne, że od pewnego już czasu myśli o domu Petersenów, jakby już należał do Rosalyn. Wszedł na werandę i nacisnął dzwonek. Przydałoby się zamontować tu dodatkowe drzwi z siatki na lato, pomyślał i natychmiast skarcił się w duchu. Czyżby zaczynał już rozporządzać się cudzą własnością?

- Cześć, Jack - rzekła Rosalyn, stając w progu. - Posiedzimy na werandzie, czy może wolisz wejść do środka? W domu jest chyba chłodniej niż na dworze.

- Wiesz, że Ida Mae od lat powtarzała, że chce wybudować dodatkowy taras z tyłu domu, żeby schronić się tam przed słońcem. Ale...

Urwał w pół słowa, widząc, iż Rosalyn nie jest zachwycona jego gadaniną. Może podejrzewa, że już zaczyna snuć plany na przyszłość...

Rosalyn poprowadziła go do kuchni. Idąc z tyłu, nie był w stanie oderwać od niej oczu. Tak cudownie i w dodatku całkiem nieświadomie kołysała biodrami. I ta długa szyja, która aż prosiła się o pocałunek. Czuł, że ledwie nad sobą panuje.

- Napijesz się piwa? - zapytała, otwierając lodówkę.
- Chętnie. - Aż drżał z pożądania.
- Chyba nie jest ci zimno?
- Nie, skąd.

Kiedy podeszła, by podać mu puszkę, marzył tylko o tym, aby pochwycić ją w ramiona. Jednak wiedział, że teraz nie może sobie na to pozwolić.

- Chciałam ci coś pokazać - powiedziała i niespodziewanie wybiegła z kuchni.

Wróciła po chwili, niosąc przed sobą z namaszczeniem zardzewiałą, metalową skrzynkę. Ostrożnie postawiła ją na stole, jakby stanowiła coś niezwykle cennego.

- Pamiętasz, jak mówiłam, że Ida Mae ukryła gdzieś obligacje, które ojciec kupił jej w prezencie ślubnym? Długo zachodziłam w głowę, gdzie mogła je schować. A potem przypomniałam sobie, jak mówiliście, że całymi godzinami potrafiła wpatrywać się w różę.

Nie bardzo nadążał za tokiem jej rozumowania, ale w obecności Rosalyn jego zdolność koncentracji stała się poważnie ograniczona.

Otworzyła zardzewiałą skrzynkę i wyjęła ze środka skórzaną sakiewkę.

- No więc pamiętasz czy nie? - powtórzyła.
- Tak, oczywiście. To prawda, że Ida miała obsesję na punkcie tego krzaka. Czyżbyś...
- Wykopała ją? Różę? Oczywiście, że nie. Ale domyśliłam się, gdzie mogła ukryć obligacje. I znalazłam tę skrzynkę.
- Obligacje?
- Właśnie. Warte pięćdziesiąt tysięcy dolarów.
- Boże! - westchnął przeciągle na widok papierów, które ostrożnie wyjęła z sakiewki. - Przecież to kupa forsy.
- A podobno przez te lata jeszcze zyskały na wartości.
- Co zamierzasz z nimi zrobić? - zapytał i od razu pożałował, że nie ugryzł się w język.
- Przekażę je Randallowi Taylorowi. Przecież to on jest wykonawcą testamentu - odrzekła ostrym tonem.

Co on sobie w końcu wyobraża? Że ona przywłaszczy sobie te pieniądze?

- To znaczy, chciałem zapytać, jak zamierzasz je zabezpieczyć, żeby nie dostały się w niepowołane ręce.

- Biurko w salonie wygląda całkiem solidnie.

- Może należałoby od razu odwieźć je do banku - zaproponował, jednak Rosalyn po prostu zamknęła skrzynkę i wyniosła ją z kuchni.

Nareszcie zrozumiał, dlaczego Ida Mae zwlekała z budową tarasu za domem, mimo że panował tam przyjemny chłód, a lekki powiew wiatru znad rzeki sprawiał, że powietrze było rześkie nawet w czasie największych upałów. Po prostu stamtąd nie mogłaby pilnować krzaku róży.

Kiedy Rosalyn wróciła do kuchni, oboje zaczęli mówić dokładnie w tej samej chwili, po czym oboje zamilkli.

- Proszę bardzo, mów pierwsza.

- Nie, ty zacznij. Chętnie posłucham...

Miała wrażenie, że coś stoi jej w gardle. Podeszła do zlewu i opłukała ręce.

- Ta stara sakiewka zostawia tłuste ślady na dłoniach - wyjaśniła, sięgając po ręcznik, i usiadła przy stole na tyle blisko Jacka, że unoszący się wokół niej zapach wiosennych kwiatów znowu go rozproszył.

Tymczasem od razu powinien przejść do rzeczy, wyjaśnić, dlaczego chce, by zamieszkała Plainsville, powiedzieć dokładnie to, co chciała usłyszeć. Że nie chodzi mu o spadek, dom, majątek, tylko o nią samą.

Poczuł, że coś go ściska za serce. Jak ma powiedzieć to wszystko teraz, kiedy dodatkowo pojawiła się kwestia tych nieszczęsnych obligacji?

Nie ma co, świetny moment, żeby się oświadczyć. Proszę cię o rękę, żebym wreszcie mógł dobrać się do spadku. A poza tym chcę ci powiedzieć, że cię kocham. Nie musiał długo myśleć, żeby wyobrazić sobie reakcję Rosalyn.

Nie, to na pewno nie jest odpowiednia chwila.

- Mac Christensen mówił, że dzwonił do ciebie w sprawie Naismitha i że podobno to mógł nie być zwyczajny wypadek - powiedział, przezornie zmieniając temat.

Rosalyn utkwiała wzrok w blacie stołu. Jej szyję i policzki oblał głęboki rumieniec. Jack mógł się założyć, że gdyby teraz uniosła głowę, dostrzegłby w jej oczach łzy.

Nic naturalniejszego, tylko wziąć ją teraz w ramiona, pomyślał, ale głos rozsądku kazał mu udać obojętność. Nie był już nawet pewien, czy to śmierć Naismitha spowodowała jej wzruszenie, czy może okoliczności tej śmierci. A może czuje na sobie brzemie odpowiedzialności? To raczej mało prawdopodobne, chyba że naprawdę wie więcej, niż mu powiedziała.

- Mówiłem Macowi o dochodzeniu toczącym się w waszej firmie. Ma zadzwonić w tej sprawie na policję w Chicago. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Na pewno i tak wiedzą. Przecież w całym biurze aż huczy na ten temat.

- Owszem, ale może nikt ich nie poinformował, że Naismith twierdził, że ktoś w to wszystko go zrobił.

- Tylko że to trudno jest udowodnić. Tylko Jim miał dostęp do kont, które prowadził.

- Mówiłaś, że zostawił tu jakąś dyskietkę.

- Owszem, ale nie mogę jej otworzyć bez hasła.

- Mimo to...

Próbował ją jakoś pocieszyć, ale żadne odpowiednie słowa nie przychodziły mu do głowy. Obracał w rękach puszkę po piwie, starając się zdobyć wreszcie na odwagę. Gdyby tylko dała mu jakiś znak, szepnęła jego imię, nie zawahałby się wziąć jej w ramiona i wyznać, jak bardzo ją kocha.

Zamiast tego Rosalyn nagle zerwała się z miejsca i podeszła do okna.

- Jak wrócę do Chicago, wszystko się wyjaśni - oświadczyła.

A więc podjęła już decyzję, pomyślał zrozpaczony. Sam też podniósł się z krzesła.

- Mam jeszcze sporo spraw do przemyślenia. Ale powstrzymaj się do jutra z rezerwacją biletu, dobrze?

- A co według ciebie do jutra się zmieni? - spytała i zanim zdążył otworzyć usta, zniknęła za drzwiami.

Rozdział 16

Nie słyszała, kiedy wychodził. Dopiero odgłos zapalnego silnika uświadomił jej, że Jack odjeżdża, i odruchowo rzuciła się w stronę drzwi, by go powstrzymać.

Tylko po co? Zatrzymała się w pół kroku. Żeby zebrać o miłość? Błagać, żeby poprosił ją o rękę? Czyżby kompletnie postradała rozum? Poznała go zaledwie kilka tygodni temu. Zaprzyjaźnili się, potem poszli do łóżka. Ale mimo że spędzili razem sporo pięknych chwil i wypowiedzieli wiele miłych słów, żadne z nich nie powiedziało „kocham”. Najwyraźniej nie było po temu powodu.

Miała nadzieję, że Jack wyjawi jej swoje zamiary. Co za staromodne sformułowanie! Jak mogła oczekiwać, że zachowa się jak adorator z początku stulecia. Mimo to czuła gorycz i rozczarowanie. W dodatku, kiedy zaczął wypytywać się o Jima Naismitha, naprawdę niewiele brakowało, by zaczęła wyć. Przecież i tak wciąż ją dręczą wyrzuty sumienia.

Dlaczego tamtej nocy nie wysłuchała Jima do końca? Albo przynajmniej nie namówiła go, by zgłosił się na policję? Dlaczego tak bardzo pochłonęło ją Plainsville i związane z tym miejscem wspomnienia i mrzonki, że zlekceważyła płynące z Chicago wiadomości?

Uznała, że tak dalej być nie może. Przypomniała sobie, że w kadrach pracuje najlepsza przyjaciółka Judy, na imię ma chyba Andrea. Mimo późnej pory zadzwoniła do biura i nagrała na taśmie prośbę o przekazanie Judy, że natychmiast musi się z nią skontaktować.

Nie bardzo wiedziała, co ma teraz robić. Była zbyt zdenerwowana, by zająć się sortowaniem zdjęć i dokumentów, które poza tym spokojnie mogą poczekać, aż wróci do Chicago. W samotne, zimowe wieczory będzie miała aż nadto wolnego czasu.

Pod wpływem nagłego impulsu postanowiła zadzwonić do Eda. Pewnie jest wściekły, że dotąd nie wysłała mu dyskietki. Zapewne nie zastanie go teraz w domu, ale przynajmniej zostawi mu wiadomość, żeby się nie denerwował, bo już za kilka dni osobiście pojawi się w Chicago. Postanowiła dodać jeszcze, że w ciągu najbliższej doby zapewne zdobędzie hasło Jima i gdyby okazało się, że dyskietka zawiera jakieś rewelacje, natychmiast przekaże ją do Chicago.

Eda rzeczywiście nie było w domu, co ją specjalnie nie zmartwiło, bo nie musiała wdawać się w niepotrzebne dyskusje. Zadowolona, że przynajmniej udało się jej pchnąć sprawy nieco do przodu, zdecydowała, że najlepiej zrobi, jeśli wybierze się teraz do miasta na kolację. Wcisnęła do kieszeni kilka banknotów i różnym krokiem ruszyła do centrum.

Pomyślała, że wróci pewnie przed zmrokiem, więc nawet nie zapaliła światła na werandzie.

Dochodziła siódma i większość sklepów była już zamknięta. Zamówiła u Laverny kawałek tarty i usiadła przy oknie, mając nadzieję, że może zobaczy Jacka wśród przechodniów. Mimo że jadła powoli, nigdzie nie dojrzała znajomej postaci. W końcu zapłaciła i wyszła na ulicę.

Postanowiła wrócić do siebie okrężną drogą. Poszuka domu Sophie i może wpadnie do niej z krótką wizytą.

Niestety, w żadnym oknie niewielkiego bungalowu gospodyni nie paliło się światło. Wiedziała, że Sophie wybierała się dziś z siostrą do Des Moines. Zapewne nie zdążyły jeszcze wrócić. Nie ma co, trzeba iść do domu.

Nagle zza rogu wypadł jakiś szalony rowerzysta i omal jej nie rozjechał. Przez chwilę czuła się prawie tak jak w Chicago.

Zastanowiła się, czy przypadkiem nie wstąpić do Jacka, uznała jednak, że to niezbyt mądry pomysł, i ruszyła ulicą, wzdłuż której właśnie zapaliły się lampy imitujące stare gazowe latarnie.

Gdy szła w kierunku siedziby Petersenów, świerszcze w ogrodach zaczęły swój wieczorny koncert. Rosalyn pomyślała z żalem, że to zapewne jeden z jej ostatnich wieczorów w tym uroczym miasteczku.

Skręciła w alejkę prowadzącą do domu. Kiedy znalazła się pod drzwiami, uderzył ją zapach nikotyny. Cichutko otworzyła drzwi i zapaliła światło. Odczekała chwilę, ale ze środka nie dochodziły żadne niepokojące dźwięki. Stąpając na palcach, weszła do kuchni. Tutaj zapach dymu był prawie niewyczuwalny. Tym razem tajemniczy gość chyba palił na werandzie.

Żałowała, że nie spytała Sophie, czy poprzedniego dnia ktoś nie złożył jej wizyty, ale zajęta poszukiwaniem obligacji, całkiem o tym zapomniała.

Zajrzała do wszystkich pomieszczeń, pozapalała światła, lecz nie zauważyła, by ktokolwiek coś ruszał. Zajrzała do szuflady biurka w

salonie - metalowa skrzynka leżała na miejscu. Chyba nie ma sensu zawiadomić szeryfa, skoro nic nie zginęło. Zastanowiła się, czy przynajmniej nie powinna zadzwonić do Jacka, lecz obawiała się, że może posądzić ją o przywidzenia. W końcu, zostawiwszy na wszelki wypadek światło na werandzie, położyła się do łóżka.

Sięgnęła po książkę i zatopiła się w lekturze. Dwie godziny później zgasła lampę.

Normalnie wkrótce zmorzyłby ją sen, dzisiaj jednak wewnętrzny niepokój sprawił, że tylko przewracała się z boku na bok. Zaczynało już świtać, gdy zdjęta złym przecuciem, pobiegła do salonu i odsunęła szufladę biurka. Co prawda po powrocie do domu sprawdziła, że skrzynka jest na miejscu, ale nie przyszło jej do głowy, by otworzyć wieko. Teraz zajrzała do środka. Sakiewka zniknęła.

Tak jak przypuszczała, Sophie zareagowała na wiadomość o kradzieży kompletnym niedowierzaniem. Dopiero kiedy wspomniała o zapachu nikotyny w powietrzu, gospodyni wyraźnie się zmieszała, a jej twarz oblała się rumieńcem.

- Dlaczego wcześniej mi o tym nie wspomniałaś?

- Po prostu zapomniałam. Pierwszy raz poczułam dym w przeddzień znalezienia skrzynki, a potem całkiem wyleciało mi to z głowy.

Sophie pochyliła się i zaczęła wyjmować naczynia ze zmywarki. Nagle wyprostowała się i spojrzała na Rosalyn przez łzy.

- Mam nadzieję, że mnie nie podejrzewasz?

- Co też ci przyszło do głowy? Oczywiście, że nie. Mówię ci o tym tylko dlatego, że nie bardzo wiem, co zrobić. Myślisz, że powinnam zawiadomić Maca Christensena?

- Sama musisz podjąć decyzję. Te obligacje są warte mnóstwo pieniędzy, więc sprawa jest naprawdę poważna. - Gospodyni ze smutkiem pokiwała głową. - Głupio mi cię o to prosić - dodała po chwili - ale coś podejrzewam. Mogłabyś powstrzymać się z telefonem do Maca, powiedzmy z godzinę?

- Oczywiście. - Rosalyn widziała, że gospodyni z trudem panuje nad sobą. - Jesteś pewna, że możesz prowadzić? - zapytała, kiedy Sophie sięgnęła po kluczyki samochodu.

- Jasne. W końcu wczoraj pojechałam do Des Moines i z powrotem.

- I co? Załatwiłaś wszystko, co chciałaś? Przechodziłam wczoraj koło twojego domu, ale chyba nie było nikogo, bo nigdzie nie paliło się światło.

- Co ty powiesz? - Sophie próbowała ukryć zaskoczenie. - W każdym razie wróciłam naprawdę zadowolona, bo siostra miała spotkanie w sprawie pracy i twierdzi, że bardzo dobrze jej poszło.

- To świetnie. Jedź do domu, odpocznij i niczym się nie przejmuj. - Rosalyn odprowadziła Sophie na werandę i pomachała jej na pożegnanie.

Muszę porozmawiać z Jackiem, postanowiła. Była pewna, że to nie on zabrał obligacje, i tym bardziej chciała się go poradzić. Poza tym niepokoiła się o Sophie. Może Jack wie, co też może jej leżeć na sercu.

Nie zastała go w sklepie. Kasjerka wyjaśniła jej, że Jack wziął dzisiaj dzień wolnego.

- A co? Zachorował? - spytała.

- Nie mam pojęcia - odparła kasjerka.

Rosalyn wyszła na parking, zastanawiając się, co począć. Szybkim krokiem obeszła centrum i za rogiem szklarni skręciła w alejkę prowadzącą do furtki przed domkiem Jacka. Niewiele myśląc, nacisnęła klamkę.

Jack właśnie zarzucał długą linkę na gałąź drzewa w ogrodzie. Na dźwięk otwieranej furtki odwrócił się, wypuszczając z dłoni końcówkę liny. Coś gruchnęło o ziemię, ale Rosalyn nawet nie zauważyła, co to było, bo nie mogła oderwać wzroku od połyskującej w słońcu, opalanej skóry Jacka.

- Rosalyn! - zawołał zdziwiony. Uśmiech, z jakim ją powitał, dodał jej odwagi.

- Jack, coś się wydarzyło i chciałabym z tobą porozmawiać.

Pochylił się i podniósł z trawnika drewnianą skrzynkę.

- Właśnie ściągałem karmnik dla ptaków. Poczekaj chwilę, zaraz przyjdę - powiedział, ustawił karmnik na stole stojącym na werandzie i znikł za drzwiami prowadzącymi do kuchni.

Po chwili pojawił się znowu na werandzie, po drodze zapinając koszulę.

- Wyglądasz, jakbyś biegła tu przez całą drogę. Co się stało?

Rosalyn poczuła dławienie w gardle.

- Wczoraj wieczorem wybrałam się na spacer do miasta. Kiedy wróciłam do domu, poczułam wyraźny zapach papierosów. To samo zdarzyło się już wcześniej...

Jack zmarszczył brwi i przyglądał się jej z uwagą.

- To znaczy kilka dni temu - wyjaśniła. - Po prostu poczułam zapach papierosów. Ale wtedy nic nie zginęło.

- Lepiej usiądź - powiedział i podsunął jej krzesło.

Sam stał na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi zatkniętymi za pasek spodni.

- Więc coś takiego miało już miejsce, ale nic nikomu nie powiedziałaś.

- Sądziłam, że to bez znaczenia. Przynajmniej do wczoraj. Kiedy znowu poczułam ten zapach, sprawdziłam cały dom i wydawało mi się, że nic nie zostało ruszone.

- A obligacje? - zapytał.

- Skrzynka była na miejscu. Tylko kiedy rano do niej zajrzałam, okazało się, że jest pusta.

- To znaczy, że obligacje zniknęły? Skinęła głową.

- Zawiadomiłaś Maca?

- Nie...

- Dlaczego?

Rosalyn patrzyła pod nogi.

- Najpierw chciałam porozmawiać z tobą, a potem Sophie...

- Sophie ich nie zabrała.

- Nigdy jej o to nie podejrzewałam. Po prostu powiedziałam jej o wszystkim, zanim postanowiłam zadzwonić na policję.

- A potem przybiegłaś tutaj?

- Tak, bo chciałam się z tobą zobaczyć. Możesz dać mi trochę wody?

- Oczywiście. - Przyniósł z kuchni pełną oszronioną szklankę.

Rosalyn zanurzyła usta w lodowatym płynie. Niechcący przechyliła szklankę nieco za mocno i parę kropli popłynęło jej po brodzie. Jack otarł je końcem palca.

- Trochę lepiej? Pokiwała głową.

- Wiem, że Sophie nie zabrałaby tych obligacji. Poza tym wczoraj wieczorem były z siostrą w Des Moines.

Wyraz twarzy Jacka sprawił, że Rosalyn pożałowała, że nie wyjaśniła od początku, że on sam jest poza wszelkim podejrzeniem.

- Oczywiście nie muszę dodawać, że ciebie w ogóle nie biorę pod uwagę.

- Dziękuję za zaufanie - rzekł z nutą goryczy w głosie, po czym wziął do ręki linę, do której przywiązany był karmnik, i zaczął ją owijać wokół ręki.

Rosalyn miała ochotę mocno nim potrząsnąć.

- Jack, musimy porozmawiać - nalegała. - Po prostu musisz mi powiedzieć, co według ciebie mam zrobić.

- Jeśli chodzi o obligacje? Zadzwoń do Maca.

- A co z wypadkiem Jima? Wydaje mi się...

- Przede wszystkim musisz skontaktować się z szeryfem, a potem możemy spokojnie pogadać o tym, kiedy chcesz wracać do Chicago, i w ogóle o wszystkim. - Rzucił linę na podłogę i popatrzył Rosalyn w oczy. - Przecież już wałkowaliśmy ten temat. Musisz sama podjąć decyzję.

- Ty chyba nic nie rozumiesz.

Rzeczywiście nawet się nie domyślał, o co jej teraz chodzi.

- Przecież moja decyzja nie zależy wyłącznie ode mnie. Niezależnie od tego, czy ci się to podoba, czy nie, w pewnej mierze zależy też od ciebie. Mógłbyś mi wyjaśnić, czego ty sam byś naprawdę chciał?

- To nie ma nic do rzeczy, Rosalyn. To ty musisz z czegoś zrezygnować, a nie ja. W moim życiu nic się nie zmieni, niezależnie od tego, co zdecydujesz.

Nie wierzyła własnym uszom. Nawet nie zauważyła, jak wyciągnął rękę w jej kierunku.

- Nie to miałem na myśli - zaczaj, lecz Rosalyn już go nie słuchała.

Zerwała się z miejsca i jak szalona wybiegła na ulicę.

Rozdział 17

Biegła przez całą drogę do domu, aż na schodach werandy poczuła ostry ból w boku. Zatrzymała się na chwilę i odetchnęła głęboko, potem otarła pot z twarzy i trzymając się poręczy, pokuśtykała do drzwi.

Weszła do kuchni, odkręciła kran i przemyła twarz zimną wodą, po czym napełniła szklankę i wypła jej zawartość duszkiem. Następnie z półki nad lodówką zdjęła książkę telefoniczną. Po kilku minutach wiedziała już, o której odchodzi najbliższy autobus do Des Moines. Ustalenie godziny odlotu do Chicago trwało nieco dłużej, lecz kiedy w końcu doszła do siebie po morderczym biegu, wiedziała, że o czwartej po południu opuści Plainsville.

Powinieneś być ze mnie dumny, Jack, powtarzała sobie w duchu. Właśnie podjęłam decyzję.

Pakowanie nie zajęło jej zbyt wiele czasu, zwłaszcza że przywiozła z Chicago niewiele rzeczy. Spojrzała na zegarek. Dochodziła jedenasta. Musi jakoś wypełnić te godziny, bo jeszcze zmieni zdanie. Może by gdzieś zadzwonić?

Wykręciła numer gospodyni. Telefon odebrała nie znana jej kobieta, która obwieściła niespokojnym, nienaturalnie cichym głosem, że Sophie nie ma w domu.

- Proszę powiedzieć jej, żeby skontaktowała się z Rosalyn Baines, jak tylko wróci. To bardzo ważne.

Kobieta bez słowa odłożyła słuchawkę. Rosalyn westchnęła cicho i zadzwoniła do szefa.

- Pan Saunders wyjechał na weekend - oznajmiła sekretarka, więc Rosalyn zawiadomiła ją tylko, że jeszcze dzisiaj wraca do Chicago.

Ciekawe, pomyślała, czy Ed wysłał już kuriera po dyskietkę? Oczywiście, nie można wykluczyć, że sam się po nią zjawi, bo Ed należy do ludzi, którzy mają w zwyczaju osiągać swe cele. Na samą myśl o wizycie szefa ciarki przeszły ją po grzbiecie.

Rozejrzała się po kuchni. Nie miała najmniejszej ochoty na jedzenie, mimo że dzięki zapobiegliwości Sophie lodówka była pełna różnych pysznych rzeczy.

Śmieszne, że kiedy urzędniczka na lotnisku zapytała, czy bilet ma być tylko w jedną stronę, czy też planuje powrót, Rosalyn sama nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zastanawiała się tak długo, że ta obca

kobieta w końcu podjęła za nią decyzję, i zarezerwowała bilet w obie strony z możliwością rezygnacji z powrotu.

Rosalyn podświadomie czuła, że jeszcze musi tu wrócić, choćby po to, by zabrać dzienniki i inne pamiątki po ciotecznej babce, pożegnać się z Sophie i zobaczyć różę Iowy w pełnym rozkwicie.

Teraz, kiedy podjęła już decyzję, czuła się o niebo lepiej. Sięgnęła po jabłko i wyszła na dwór, żeby jeszcze raz przespacerować się po posiadłości. Chciała zapamiętać wszystko, by móc odtworzyć ten obraz, kiedy przyjdzie jej spędzać czas na ciasnym balkonie w Chicago.

Na szczęście wzięła ze sobą zegarek, bo spacer okazał się tak cudowny, że pewnie nie zdążyłaby wrócić w porę.

Dochodziła druga. Rosalyn uznała, że ma akurat tyle czasu, żeby wziąć prysznic, przebrać się i wyruszyć na dworzec. I wreszcie dokona tego, do czego zbiera się od kilku tygodni. Wróciła myślami do wypadku. Miała wrażenie, że wydarzył się tak dawno. Przez ten czas stała się całkiem inną osobą i pewnie dlatego słowa Jacka tak bardzo ją zraniły. Jego życie nie ulegnie zmianie niezależnie od tego, czy Rosalyn wyjedzie do Chicago, czy zamieszka w Plainsville...

Wiedziała, że to nieprawda, bo jej własne życie pod wpływem Jacka zmieniło się nie do poznania.

Była jeszcze w ogrodzie, kiedy w domu zadzwonił telefon. Popędziła do salonu na złamanie karku i w ostatniej chwili zdążyła podnieść słuchawkę.

- Rosalyn? Co się stało? Jesteś taka zziajana?

Z radością rozpoznała głos Judy.

- Wszystko w porządku - odparła. - Po prostu po raz pierwszy od dawna dużo dziś chodzę. Co u ciebie słychać?

- Nic nowego. Andrea przekazała mi od ciebie wiadomość.

- Właśnie. Znalazłam dyskietkę Jima, ale nie mogę otworzyć plików, bo nie znam hasła.

- Więc jednak ci ją zostawił. Mówił mi, że zamierza ci ją podrzucić, ale po wypadku nie byłam pewna, czy zdecydował się na to. Nic nie mówiłaś, więc pomyślałam, że w końcu może zmienił zdanie.

- Dlaczego sama o nią nie zapytałaś?

- Przepraszam cię, Rosalyn - odparła Judy po chwili wahania - ale Jim uprzedził przed wyjazdem, że jeśli okaże się, że przeszłaś na drugą stronę, to ci jej nie zostawi.

- Na którą stronę?

- Mówił ci przecież, że ktoś w biurze usiłuje go zrobić. Chciał zobaczyć, jak zareagujesz.

- Czy to znaczy, że chciał mnie sprawdzić?

- Chyba tak. Posłuchaj, to naprawdę nie był mój pomysł. Powtarzam ci tylko, co powiedział przed wyjazdem.

Rosalyn przymknęła powieki. Więc jednak, mimo że nie zachowała się tak, jak by sobie życzył, Jim zaufał jej na tyle, żeby zostawić dyskietkę.

- Dlaczego tak nagle zmieniłaś numer?

- Trochę zaczęłam się bać. Miałam kilka głuchych telefonów.

- Zawiadomiłaś policję?

- Oczywiście, ale byłam za bardzo przerażona, żeby im wszystko powiedzieć. W każdym razie to oni poradzili mi, żebym zmieniła numer.

- Posłuchaj, Judy. Wracam dzisiaj do Chicago i przywożę tę dyskietkę. Ale muszę znać hasło, bo Ed naciska, żebym od razu oddała ją ludziom prowadzącym dochodzenie w firmie, a oni przekażą ją policji.

- Oddaj ją bezpośrednio w ręce policji. I pamiętaj, że Ed to łajdak. Nie żartuję, mogłabym długo opowiadać.

- Wiem, że okropny z niego kobieciarz, ale to nie ma nic wspólnego ze sprawą. Dyskietka stanowi własność firmy, więc Ed ma prawo pierwszy poznać jej zawartość.

Judy podała Rosalyn hasło. Umówiły się, że Rosalyn zadzwoni zaraz po powrocie do Chicago.

Do wyjazdu z Plainsville zostało jej jeszcze półtorej godziny, więc uznała, że może spędzić jeszcze chwilę przy komputerze. Postawiła laptopa na biurku w sypialni i włożyła dyskietkę do stacji dysków.

Zanim program się uruchomi, zdążyć się przebrać, pomyślała, ściągając bawełnianą koszulkę. Właśnie zdejmowała szorty, kiedy komputer zażądał wpisania hasła.

„Bezludna wyspa”, napisała. Nawet nie zdziwiła się, kiedy Judy wypowiedziała te słowa, tak pasowały do Jima i jego poczucia

humoru. Kiedy próbował namówić Rosalyn na wspólny wyjazd na Karaiby, używał właśnie tego określenia. Będziemy udawać rozbitków na bezludnej wyspie. Wyobraź sobie, żadnych telefonów...

Otarła łzy, które napłynęły jej do oczu. Nie czas na wzruszenia, pomyślała. Jedyne, co może teraz dla niego zrobić, to spróbować oczyścić jego nazwisko z podejrzeń. Nacisnęła klawisz „enter” i na ekranie pojawiła się lista dwunastu chyba plików.

Spojrzała na zegarek. Za piętnaście trzecia, więc nie zostało jej zbyt wiele czasu. Wybrała jeden z plików, któremu Jim, z właściwym sobie poczuciem humoru, nadał nazwę „Archiwum X”.

Akurat w chwili, kiedy cyfry zaczęły pojawiać się na ekranie, usłyszała skrzypienie na schodach. Ręka Rosalyn zamarła na myszy do komputera. Znow coś skrzypnęło.

Odwróciła głowę w kierunku drzwi.

- Sophie?

Nie usłyszała odpowiedzi. Zresztą podejrzewała, że to nie gospodyni, bo chodzenie na palcach po schodach nie leżało w jej zwyczaju. Rosalyn zerwała się z miejsca i gwałtownym ruchem otworzyła drzwi.

Tuż przed sobą zobaczyła męską postać. Krzyknęła i zasłoniła twarz rękami. Mężczyzna wepchnął ją z powrotem do sypialni z taką siłą, że wylądowała na łóżku.

To niemożliwe, pomyślała. To... Ed Saunders! Teraz pochylił się nad nią z twarzą czerwoną i wykrzywioną gniewem.

- Trzeba było słuchać poleceń, Rosalyn.

- Nie rozumiem.

- Nie? Jak widzę, udało ci się otworzyć pliki Naismitha - powiedział z oczami utkwionymi w monitorze komputera. - To nawet dobrze, bo będę miał dowód, że coś cię łączyło z tym łobuzem. To Judy podała ci hasło, tak?

Rosalyn milczała.

- Domyśliłem się, że właśnie z nią rozmawiałaś. Znowu uśmiechnęło się do mnie szczęście. A teraz bądź tak miła i włóż coś na siebie. Nie żebyś była mało atrakcyjna, ale już dawno postanowiłem oprzeć się twoim wdziękcom. Byłaś zbyt dobrym pracownikiem, żebym ryzykował, że zrezygnujesz z pracy z powodu moich pozasłużbowych upodobań.

- Judy mówiła, że jesteś łajdakiem.

- Nie żartuj - roześmiał się.

Rosalyn zignorowała rękę, którą wyciągnął, żeby pomóc jej podnieść się z łóżka. Sięgnęła po koszulkę i naciągnęła ją na siebie w popłochu.

- Spakuj laptopa i oddaj mi dyskietkę - polecił. Bez słowa spełniła polecenie.

- A teraz wyjdź. Masz już przecież to, po co przyjechałeś.

- Boże, jaka ty jesteś naiwna. Teraz jesteś już częścią mojej układanki. Kiedy policja znowu będzie mnie przesłuchiwać, opowiem im, jak rozpaczałaś po śmierci kochanka i jak przeraziłaś się, kiedy odkryłem, że byłaś z nim w zмовie.

- Nie masz żadnego dowodu na potwierdzenie tej historyjki.

- To żaden problem. Wystarczy pozmienić to i owo w prowadzonych przez ciebie transakcjach.

- Nie włamiesz się do mojego komputera, a sama nigdy nie zdradzę ci hasła.

- Wcale nie musisz. I tak je znam.

- To niemożliwe.

- Kilka miesięcy temu odwiedziłem żonę Bruce'a McIntyre'a. Zaniósłem jej butelkę wina i kwiaty i spędziliśmy bardzo miły wieczór. Zapytałem, czy mogę sprawdzić, czy koperta z hasłami jest nienaruszona, a ta zacna dusza wyjęła klucz do sejfów i sama pokazała mi kopertę. Tak to zaaranżowałem, że musiała na chwilę wyjść z pokoju, i w tym czasie zrobiłem odcisk klucza. Po kilku tygodniach znów wpadłem z wizytą. Wrzuciłem jej środek usypiający do wina, a kiedy zasnęła, bez najmniejszego problemu odpieczętowałem kopertę. Wosk, z którego wykonano pieczęć, tak wysechł przez lata, że łatwo dał się podważyć. Spokojnie przepisałem hasła i poszedłem do domu, a pani McIntyre smacznie chrapała sobie na kanapie.

- To obrzydliwe - rzekła Rosalyn.

- Ależ skąd! Skończyłaś się pakować? Czyżbyś przypadkiem właśnie wybierała się z powrotem do Chicago?

- Owszem.

- To wspaniale. Przynajmniej przez część drogi będę ci towarzyszył.

- Jakim cudem udało ci się tak szybko tu przyjechać?

- Poleciałem do Des Moines, a potem wynająłem samochód. Tak samo jak Naismith.

- Skąd wiesz, jak tu dojechał?

- Pogadaliśmy sobie trochę owej tragicznej nocy. - Ed był tak pewny siebie, że nie zamierzał niczego przed nią ukrywać. - Zadzwoił do mnie z lotniska i powiedział, że chce pogadać. To był bardzo głupi ruch z jego strony. Spotkaliśmy się w barze i opowiedział mi wszystko, co zdołał ustalić. Nawet dał mi dyskietkę. Był naprawdę naiwny. Choć muszę przyznać, że nie zdradził się słowem, że zostawił ci kopię.

- Pojechałeś za nim z lotniska?

- Oczywiście, choć jeszcze wtedy nie wiedziałem, jak z nim skończy. Okazja nadarzyła się sama, podobnie jak dzisiaj. Przecież próbowałem namówić cię, żebyś odesłała mi dyskietkę. Gdybyś nie była taka uparta... Ale teraz to już twój problem, moja droga.

- Przestań mnie tak nazywać! - krzyknęła, lecz zaraz ugryzła się w język.

Jeśli chce zyskać na czasie, nie może wyprowadzić go z równowagi. Z drugiej strony nie bardzo wiedziała, co może zyskać, odwlekając wyjazd. Musiałby stać się cud, żeby ktoś przyszedł jej z pomocą.

- Powiedz mi, Ed - odezwała się, zamykając komputer - jak działał ten twój system.

- Zaczęło się od tego, że kocham hazard i luksusowe życie, a to kosztuje. Więc przepisałem hasła, a reszta poszła już gładko. Ustanowiłem fikcyjny fundusz i spokojnie przekazywałem kolejne sumy na jego konto. Najprościej było zacząć od rachunków z funduszy powierniczych prowadzonych przez Jima, bo szanse na to, że ktoś zechce je sprawdzić, były naprawdę minimalne. Niestety, jakaś klientka postanowiła zasięgnąć dodatkowych informacji, a Jim nie mógł przypomnieć sobie, żeby dokonał transferu z jej konta. Zaczął sprawdzać, odkrył kolejne nieprawidłowości i połączył wszystko w jedną całość. No i to go zgubiło!

- Ale jak udało ci się ukryć prawdę przed współnikami? Czyżby wszyscy byli w to zamieszani?

- Skąd. Ustanowiłem własny fikcyjny fundusz, do którego nikt nigdy nie dotarł, zwłaszcza że ulokowałem go na Kajmanach. A żeby uprawdopodobnić te transakcje, stworzyłem całą teczkę fikcyjnych dokumentów. I żeby wszystko wyglądało jeszcze bardziej

wiarygodnie, użyłem hasła Jima i umieściłem ten sam fundusz w jego dokumentach.

- I wszystko dzięki temu, że nikt inny nie miał dostępu do haseł?

- Właśnie. - Ed uśmiechnął się szeroko. - Cóż za wspaniały, staroświecki system. Wyobraź sobie, że byłem na tyle głupi, że kiedyś nawet próbowałem namówić Bruce'a, żeby go zmienić. Na szczęście nie wyraził zgody. - Wskazał dłonią na walizkę. - No, bierz to. Czas ruszać.

- Skąd pewność, że cię posłucham? Zachichotał pod nosem.

- Jesteś naiwna jak dziecko. Powiem szczerze, że zawsze mi się to w tobie podobało. Ta mieszanka inteligencji i naiwności. Mogliśmy razem stworzyć świetny zespół.

- Chyba śnisz.

- Być może. Ale to powinno cię przekonać, że masz mnie słuchać - rzekł nagle poważnie, wyciągając rewolwer z kieszeni marynarki.

Oczy Rosalyn stały się okrągłe. Nigdy w życiu nie widziała z bliska prawdziwej broni. Co gorsza, wyraz twarzy Eda nie pozostawiał wątpliwości, że w razie potrzeby nie zawaha się strzelić.

- Bierz walizkę. Jedno zabójstwo mam już na koncie, więc drugie nie zrobi mi większej różnicy - zagroził.

Rosalyn ani myślała się sprzeciwić.

Ed schodził po schodach tuż za nią, tak że ilekroć zwolniła kroku, czuła na plecach lufę jego rewolweru. Kiedy byli na parterze, usłyszała, że ktoś otwiera drzwi prowadzące z ogrodu do kuchni. Zamarła w bezruchu.

- Rosalyn? Gdzie jesteś?

Na dźwięk głosu gospodyni serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

- Spław ją natychmiast - szepnął jej Ed prosto do ucha.

Zwilżyła językiem usta.

- Sophie, zaczekaj w kuchni! Już do ciebie idę.

- W porządku. A teraz postaw walizkę i wyjdź do niej. Pamiętaj, że stoję za drzwiami i jeśli dasz jej jakiś znak albo nie każesz jej wyjść, zastrzelę was obie, a potem upozoruję włamanie.

Rosalyn natychmiast pomyślała o obligacjach. Po ich kradzieży nawet policja mogłaby bez problemu uwierzyć w scenariusz, który Ed właśnie wymyślił. Wyraźnie sprzyjało mu szczęście.

Skinęła głową, postawiła walizkę na podłodze i wyszła na spotkanie gospodyni.

- Sophie? Co się stało? - zapytała.

Starsza pani stała w drzwiach i patrzyła na nią ze zdziwieniem. Rosalyn domyśliła się, że jej głos nie brzmi zbyt naturalnie. Przełknęła ślinę.

- Dzwoniłam do ciebie.

- Wiem, siostra mi powtórzyła. - Zauważyła zaadresowaną do siebie kopertę na stole. - Co to? Wyjeżdżasz?

- Owszem. Właśnie dlatego usiłowałam się z tobą skontaktować. Dobrze, że wpadłaś, bo chciałam ci to przekazać. - Sięgnęła po kopertę.

- Ale jak mogłaś chcieć wyjechać, nie wiedząc, co się stało z obligacjami... - Sophie wpatrywała się w twarz Rosalyn z niedowierzaniem.

- No, chcę to wiedzieć, ale proszę, weź kopertę i idź już, bo właśnie rozmawiam przez telefon.

Sophie spojrzała na słuchawkę tkwiącą na widelkach.

- Rozmawiam z aparatu w salonie - wyjaśniła jej Rosalyn.

- Ach tak - mruknęła Sophie i otworzyła torbę. - Poczekaj, mam coś dla ciebie - dodała i wręczyła jej skórzaną sakiewkę.

Rosalynomal się nie przewróciła z wrażenia.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro. - Oczy gospodyni wypełniły się łzami. - Tego dnia, kiedy wykopałaś skrzynkę i rozmawialiśmy o niej tu w kuchni, Frankie, to znaczy mój siostrzeniec, stał na ganku pod drzwiami i podsłuchiwał. - Ze smutkiem pokręciła głową. - Poprzedniego dnia też tu był. Dlatego czułaś dym papierosów.

Rosalyn chciała coś powiedzieć, lecz gospodyni nie dopuściła jej do głosu.

- Pozwól, że skończę, zanim całkiem opuści mnie odwaga. Więc, tak jak mówiłam, przyszedł tutaj, bo chciał pożyczyć ode mnie trochę pieniędzy, i słyszał, o czym mówiłyśmy. Później przyjechał jeszcze raz na rowerze, a jak zobaczył, że wychodzisz, po prostu wszedł do środka i zabrał obligacje. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak mi za niego wstyd.

Rosalyn aż zakręciło się w głowie. Przecież tuż za drzwiami stoi Ed z rewolwerem w dłoni. Jak najszybciej musi pozbyć się Sophie. Tylko jak? I jak długo jeszcze Ed zachowa cierpliwość?

- Nie przejmuj się, Sophie. Po prostu zanieś sakiewkę Macowi. Będzie wiedział, co z nią zrobić.

Gospodyni musiała pomyśleć, że Rosalyn całkiem pomieszało się w głowie.

- Ale właśnie dlatego do ciebie przyszedłem, żebyś nie zawiadamiła Maca. Wiesz, Jack wpadł do mnie przed południem...

Rosalyn zachwiała się.

- Źle się czujesz? - spytała Sophie zaniepokojona. - Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć. Może za długo dziś byłaś na słońcu?

- Nie. Wszystko w porządku. Tylko idź już, proszę, bo naprawdę mam rozmowę na linii.

- To podnieś słuchawkę i powiedz, że zadzwonisz za chwilę.

- Wolalabym tego uniknąć. Gospodyni gubiła się w domysłach.

- Daj mi jeszcze tylko chwilę. No więc Frankie za wszelką cenę chciał przeprowadzić się do Des Moines i ukraść obligacje. Teraz moja siostra umiera ze strachu. Gdyby policja dowiedziała się o jego kolejnym wyczynie, to na pewno wsadziliby go do więzienia. Jack przyszedł dziś porozmawiać ze mną o kilku sprawach, zresztą, sam ci o tym opowie. Powiedział, że jeśli dotąd nie zadzwoniłaś do Maca, to może zgodzisz się...

- Ależ oczywiście. Będzie jak zechcesz. Sophie spojrzała w stronę drzwi do holu.

- Co to było? Słyszałaś? - zapytała.

- Po prostu coś zaskrzypiało. Posłuchaj, porozmawiamy innym razem. Teraz oddaj obligacje Jackowi.

- Jackowi? - Sophie nie posiadała się ze zdumienia. - Przecież należą do ciebie! - Próbowała wetknąć sakiewkę w dłoń Rosalyn.

- Naprawdę ich nie chcę. Idź już i zanieś Jackowi sakiewkę. Mówiłam ci, że jestem zajęta.

Praktycznie wypchnęła oszołomioną kobietę za próg. Na pożegnanie cmoknęła ją w policzek.

- Nigdy cię nie zapomnę. Dziękuję - wyszeptała, zamykając drzwi.

- Nawet o tym nie myśl - rozległ się za jej plecami złowieszczy głos Eda. - Cofnij się i wracaj do holu. Jak ta stara odjedzie, ruszamy w drogę.

Rosalyn zrobiła, co kazał. Wiedziała, że Ed nie cofnie się przed niczym, a nie darowałyby sobie, gdyby Sophie przytrafiło się coś złego.

Wreszcie usłyszała warkot silnika na podjeździe. Gospodyni szczęśliwie odjechała spod domu.

Ed chwycił Rosalyn za ramię i popchnął w kierunku drzwi. W progu przykucnął i wyjrzał na zewnątrz. Chyba nie zauważył niczego niepokojącego.

- Świetne przedstawienie, Rosalyn - pochwalił. - A teraz bierz walizkę i ruszaj przodem. Wyjdziemy przez kuchnię. A propos, dziękuję, że zostawiłaś drzwi otwarte, bo oszczędziłaś mi kłopotu z dostaniem się do środka.

- Gdzie zostawiłaś swój samochód? Gdyby stał na podjeździe, Sophie na pewno by go zauważyła.

- Nie doceniasz mnie. Zaparkowałem na ulicy, parę metrów dalej. To chyba bardzo spokojne miasteczko, skoro nawet nie zamykacie tu drzwi. Aż się dziwię, że nie zdecydowałaś się tu zostać na stałe. Taki piękny dom. No ale teraz już za późno na zmianę decyzji. Idziemy.

Kiedy podniosła walizkę, Ed popchnął ją w stronę kuchni lufą rewolweru.

- Ruszaj.

Nie była w stanie uczynić kroku, więc wolną dłonią wykręcił jej rękę. Aż jęknęła z bólu i upuściła walizkę.

- No już! - krzyknął.

- Dobrze, ale mnie puść. Zwolnił uścisk.

- W porządku. Załatwmy to spokojnie, żeby nie zwracać uwagi sąsiadów.

Wypchnął ją za drzwi na malutki ganek. Chwyciła dłonią za poręcz schodów, żeby się nie przewrócić. Przez moment miała wrażenie, że kątem oka dostrzegła na trawniku jakiś ruch.

- Bierz walizkę.

Właśnie nachylała się, by podnieść bagaż, kiedy usłyszała głuchy łomot. Oskoczyła na bok i spojrzała za siebie. Ed leżał na brzuchu z twarzą do ziemi, a nad nim stał Jack ze szpadlem w dłoni.

Rozdział 18

- Jak to dobrze, że zapomniałaś odłożyć ten szpadel na miejsce - powiedział Jack i pochwycił Rosalyn w ramiona. - Stałem tu od kilku minut, starając się wstrzymać oddech, żeby mnie nie usłyszała.

- Skąd wiedziałeś? - zapytała, kiedy ochłonęła na tyle, że była w stanie wydobyć z siebie głos.

- Zbieg okoliczności. Po twojej porannej wizycie poszedłem do Sophie i odbyliśmy długą rozmowę. Opowiem ci o tym później. W każdym razie ona podejrzewała, że to Frankie ukradł obligacje i poprosiła, żebym pomógł jej go odszukać. Zjechaliśmy miasto wzdłuż i wszerz, zanim w końcu udało nam się go wytropić. Szczeniak był tak przerażony, że od razu się przyznał do wszystkiego.

Za plecami Rosalyn rozległ się cichy jęk. To Ed próbował usiąść na trawie.

- Nie przejmuj się. - Głos Jacka nie zdradzał najmniejszego niepokoju. - Przyłożyłem mu w kolana. Może jest przytomny, ale na pewno nie ruszy się z miejsca.

- On ma broń - ostrzegła Rosalyn.

- Rzeczywiście. - Jack podniósł z ziemi rewolwer i wycelował go prosto w Eda. - Policja już tu jedzie, więc leż spokojnie, bo ci znowu przyłożę. A właściwie co to za facet? - zwrócił się do Rosalyn.

- Mój szef, Ed Saunders. To właśnie on zabił Jima. A poza tym ma mnóstwo innych grzechów na sumieniu.

- Twój szef? To niesamowite. No więc słuchaj dalej. Kiedy Sophie wybiegła z domu zaskoczona twoim dziwnym zachowaniem, przypomniałem sobie, że na ulicy parę kroków od domu widziałem zaparkowany samochód. Zorientowałem się, że coś jest nie tak, więc kazałem Sophie jechać jak najszybciej po Maca, a sam zacząłem się ze szpadlem za drzwiami. Słyszałem, jak ten typ się na ciebie wydzierał.

Rosalyn aż zadrżała na myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby Jack wszedł do kuchni. Nie mógł przecież wiedzieć, że Ed jest uzbrojony. Nie wytrzymała i pocałowała go w policzek.

- Całe szczęście, że znalazłem ten szpadel - powtórzył, otaczając ją ramieniem.

Kiedy samochód Maca zaparkował pod domem, oboje wciąż jeszcze trwali w uścisku. Raz po raz ciszę przerywały żalosne jęki Eda, który bezskutecznie próbował podnieść się z ziemi. Policjant

natychmiast przejął kontrolę nad sytuacją. Upewniwszy się, że Rosalyn jest cała i zdrowa, poprosił ją, by wezwała karetkę, która miała odwieźć rannego do szpitala. Uczyniła to z największą przyjemnością, bo jęki Eda zaczynały jej działać na nerwy.

Wkrótce po przybyciu szeryfa pojawiła się Sophie. Ledwie ochłonęła z wrażenia, zaparzyła herbatę i przygotowała dla wszystkich kanapki, tak że kiedy karetka w końcu odjechała, cała czwórka mogła spokojnie zająć miejsca przy stole.

Rosalyn usiadła Jackowi na kolanach i przytuliła się do niego jak dziecko, zapominając o bożym świecie. A on obejmował ją mocno, jakby nieświadom obecności Sophie i szeryfa.

- Kocham cię, moja Różyczko. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham - wyszeptał.

I w ten oto cudowny sposób podjął za Rosalyn najważniejszą decyzję jej życia.

Dopiero kiedy Mac i Sophie zbierali się do wyjścia, Rosalyn spojrzała na zegarek.

- O czwartej miałam autobus do Des Moines! - krzyknęła.

- To chyba się trochę spóźniłaś.

Roześmiała się, udając, że nie dostrzega, iż Jack patrzy na nią z przerażeniem i niedowierzaniem.

- Nie zdążę na samolot. Muszę zadzwonić na lotnisko.

- I odwołać lot.

- Nie, przełożyć na później.

- Nie wyjeżdżaj, proszę.

- Muszę, Jack. Jest sporo spraw, które muszę zakończyć - zaśmiała się nerwowo. - W końcu spędziłam w Chicago pół życia. Nie mogę tak po prostu nie wrócić.

- Oczywiście, że możesz. Przecież jesteś wolnym człowiekiem.

- Ale nie mogę myśleć tylko o sobie. Są inni...

- Właśnie. Na przykład ja i Sophie.

- Oczywiście, i możesz mi wierzyć, że oboje znaczący dla mnie więcej, niż kiedykolwiek będziesz w stanie sobie wyobrazić.

- Skoro rzeczywiście musisz jechać, to przynajmniej powiedz mi, dlaczego aż tak wysoko nas cenisz.

- Sama nie wiem, od czego zacząć. Kiedy pojawiłam się w Plainsville, myślałam, że spędzę tu zaledwie kilka dni. A jak widzisz, wciąż jeszcze nie wyjechałam. - Znowu się roześmiała.

Tymczasem Jack przyglądał się jej z uwagą. Czekał, aż otworzy przed nim serce.

Rosalyn nie należała do osób, które łatwo okazują uczucia, jednak zdawała sobie sprawę, że tym razem nie może go zawieść.

- To wszystko, co przeżyłam w Plainsville, zmieniło mnie tak bardzo, że nawet nie potrafię tego wyrazić. Przynajmniej na razie. Wiem tylko, że zanim tu przyjechałam, byłam jakby kawałkiem kory dryfującym po oceanie. Nic mnie z nikim nie łączyło. Kiedy poznałam historię własnej rodziny, spojrzałam na życie z innej perspektywy. I jedno wiem teraz na pewno. Nie pozostanę głucha na głos miłości. Nie pójdę w ślady Idy Mae. Rozumiem, że babcia i dziadek wyrządzili jej straszną krzywdę. Ale dlaczego odrzuciła miłość mężczyzny, który darzył ją najszczerzym uczuciem i do końca życia pozostał jej przyjacielem, mimo że na pewno chciał być jej...

- Kochankiem - uzupełnił Jack.

- Właśnie. I pomyśl tylko, o ile szczęśliwsze byłoby jej życie, gdyby zgodziła się go przyjąć, kiedy jeszcze nie było za późno. Jack - ciągnęła łamiącym się głosem - wierz mi, nie chcę popełnić takiego samego błędu. Nie pozwolę szczęściu uciec.

Jack ujął twarz Rosalyn w dłonie i długo patrzył jej w oczy.

- Obiecaj mi - wyszeptał - że tu wrócisz. Kocham cię, Rosalyn. Jeśli nie wrócisz do Plainsville, moje życie straci sens.

Uśmiechnęła się przez łzy i pocałowała go w policzek.

- Wrócę. I to prędzej, niż myślisz.

Jack podniósł głowę znad kontuaru. Właśnie poprosił Lenny'ego, by zamknął sklep, lecz dzwonek, który rozległ się przy drzwiach, zapowiedział przybycie kolejnego klienta.

Gdyby był to ktokolwiek inny, Jack zapewne powiedziałby, że już zamknięte, ale Mac Christensen cieszył się tu szczególnymi względami.

- Wcześniej dziś zamykasz.

- Właśnie. A co ciebie tutaj sprowadza? Czyżbyś wreszcie przypomniał sobie, czy Patsy woli bratki, czy niecierpki?

- Ale śmieszne! - parsknął Mac. - Wpadłem ci powiedzieć, że proces Saundersa zacznie się pod koniec lipca. Jest oskarżony o zabójstwo Naismitha. Mam nadzieję, że ten termin nie koliduje ze zjazdem rodzinnym Jensenów.

- Nie, bo rodzina pojawi się zaraz po czwartym lipca.

- To dobrze. Miałaś ostatnio jakieś wiadomości od Rosalyn?

Jack poczuł skurcz serca. Tylko Mac może być tak obcesowy.

- Przecież wyjechała zaledwie dwa tygodnie temu - odpowiedział na pozór obojętnie.

- Tak tylko pytam. Policja w Chicago pewnie będzie chciała wysunąć dodatkowe oskarżenia przeciw Saundersowi i mogą chcieć ją przesłuchać.

- Chyba nas wszystkich to czeka.

- Też tak sędzę. - Mac bębnił palcami o kontuar i najwyraźniej nie zamierzał się wynieść.

Czyżby znowu miał jakieś złe wieści?

Jack za nic nie chciał się przyznać, że minął już tydzień, odkąd po raz ostatni rozmawiał z Rosalyn. Była wtedy tak przejęta tym, co się działo w firmie, że poważnie się zaniepokoił, czy przypadkiem nie zamierza zmienić zdania.

Kiedy próbował wyciągnąć z niej, kiedy wreszcie pojawi się w Plainsville, nie potrafiła mu udzielić żadnej konkretnej odpowiedzi. W dodatku wymieniła tyle spraw, które ma jeszcze załatwić, że stracił nadzieję na jej rychły powrót. Czyżby znowu Chicago pochłonęło ją bez reszty?

Zaproponował, że po nią pojedzie, ale wtedy obiecała, że przybędzie do Plainsville dostatecznie szybko, by zobaczyć różę Iowy w pełnej krasie. Nawet zapytała, kiedy to nastąpi. Jack bez zastanowienia odpowiedział: "Jutro", na co Rosalyn wybuchnęła głośnym śmiechem.

Wsunął szufladę kasy z takim impetem, że aż zadrżały szyby.

- Czyżbyś się denerwował? - dociekał Mac.

- Ja? A niby czym? Po prostu próbuję uporać się z robotą. Ale możesz powiedzieć mi, po co właściwie przyszedłeś?

Mac uśmiechnął się szeroko.

- Przecież mówiłem. Chciałem poinformować cię o dacie procesu. Aha, spotkałem dzisiaj Sophie, kiedy wychodziła ze spożywczego. Wygląda na to, że jej siostra jakoś urządziła się z dziećmiakami w Des Moines i zaczyna życie od nowa.

- Wiem. Dostała pracę, a Frankie wrócił do szkoły. Objęli go specjalnym programem resocjalizacji.

- To świetnie. Sophie nareszcie przestanie się martwić. Zdziwiłem się dzisiaj, że robi tak wielkie zakupy, ale wyjaśniła, że to

nie dla niej. - Mac powoli zarzucał przynętę. - Tylko dla Rosalyn - dodał cicho.

Jack zacisnął dłonie na ladzie. Chciał coś powiedzieć, ale głos uwiązł mu w gardle.

Policjant ryknął śmiechem i przyjaźnie poklepał go po plecach.

- Nie wściekaj się, Jack. Wszyscy wiedzą, że jestem okropny. Ale, ale... Wiesz, to dziwne, ale kiedy pół godziny temu przejeżdżałem koło domu Petersenów, w oknach paliły się światła.

Jack wręczył Macowi kasetkę z całodziennym utargiem.

- Zaraz, zaraz. Co ty wyrabiasz?

- Zamknij sklep i zabierz pieniądze do domu.

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem! - zawołał policjant, lecz jego przyjaciel w tej chwili znajdował się już w połowie drogi na parking.

Kiedy czerwona furgonetka zajechała pod dom, Rosalyn siedziała w fotelu na werandzie. No, no! - pomyślała z rozbawieniem. Jeep Maca przejeżdżał tędy zaledwie dwadzieścia minut temu. Najwyraźniej szeryf nie tracił czasu.

Mimo że obiecała sobie, że zachowa spokój, na widok Jacka wysiadającego z samochodu zerwała się na równe nogi i popędziła przez trawnik. Zarzuciła mu ręce na szyję i przez długą chwilę oboje tulili się do siebie. Jack otarł łzy szczęścia z twarzy Rosalyn i pocałował ją dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała przez ostatnie dwa tygodnie.

- Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś?

- Miałam zadzwonić, ale jeszcze dzisiaj rano nie byłam pewna, czy będę mogła wyjechać. W końcu jednak udało mi się wynająć mieszkanie i oto jestem. Po co miałam marnować następną dobę w Chicago?

Jack roześmiał się radośnie.

- Aż się boję, że to znowu sen i zaraz się obudzę.

- Śniłeś o tym co noc przez całe dwa tygodnie?

- Mniej więcej.

- Pewnie dlatego tak świetnie wyglądasz.

- Ty też.

Ruszyli ścieżką w kierunku domu.

- Czy róża już zakwitła? - zapytała Rosalyn, zatrzymując się w pół kroku. - Nie zdążyłam sprawdzić.

- Chodź, to ci pokażę.

Krzew obsypany był pąkami, które lada chwila miały się rozchylić.

- Chyba nie położę się w nocy, tylko zostanę w ogrodzie, żeby zobaczyć, jak rozkwitają.

Jack objął ją mocno ramieniem.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Co będzie, jeśli się rozczarujesz? W końcu to tylko krzew róży.

- Nie tylko. - Spojrzała mu prosto w oczy. - To moja przeszłość. I przyszłość.

Znowu musiał ją pocałować.

- Chodź - powiedziała i pociągnęła go w stronę werandy.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał na widok pięknie nakrytego stołu, butelki szampana i półmiska pełnego wspaniałych przystawek.

- No pewnie. - Napełniła kieliszki musującym płynem. - Ciebie.

- Ale nawet nie zadzwoniłaś po powrocie.

- Nie musiałam. - Odstawiła butelkę. - W Plainsville wieści rozchodzą się lotem błyskawicy.

- Rosalyn, chciałbym...

- Zaczekaj. Najpierw to ja chcę wznieść toast. Nie zdziw się, bo będzie dosyć długi. I uśmiechnij się nareszcie.

Podniosła kieliszek.

- Wypijmy za tę część mojej rodziny, o której istnieniu tak długo nie wiedziałam. I za moich bliskich, którzy już odeszli. Za mojego tatę, który niedługo ma odwiedzić nas w Plainsville. - Roześmiała się.

- Poczekaj, Jack. Weź tę rękę i pozwól mi skończyć. Proszę.

- Zamieniam się w słuch.

- I wypijmy jeszcze za rodzinę, którą mam nadzieję tu założyć.

- Mów dalej. - Delikatnie wyjął jej kieliszek z dłoni. - Nie do końca rozumiem, do czego zmierzasz, ale na razie bardzo mi się to podoba - powiedział, obejmując ją w pasie.

Rosalyn odchyliła głowę do tyłu i spojrzała mu w oczy.

- Zadzwoniłam wczoraj do Randalla Taylora.

- I co?

- I powiedziałam mu, że nie będę mogła zatrzymać domu...

Wstrzymał oddech, patrząc na nią, lecz nie odezwał się ani słowem.

- Chyba że spędzisz w nim ze mną...

- Resztę życia?! - wykrzyknął. - Z radością, moja ty najśłodsza Różyczko.